

Na low nie pojedziemy

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Na low nie pojziemy

TYTUL ORYGINALU: DARE TO GO A-HUTING

PRZELOZYLA: DOROTA ZYWNO

ROZDZIAL 1

Bylo cieplo, za cieplo dla jednego ze znajdujacych sie w pokoju. Mimo to uwazal, ze zwrocenie uwagi na ten upal byloby nieuprzejmoscia, chociaz okragla kropla potu zebrala sie tuz pod jednym z jego lekko skosnych oczu, aby splynac po policzku. Rozlegl sie cichy szelest, kiedy pokrecil sie na taborecie. Jego niewyscielane siedzisko znajdowalo sie nieprzyjemnie wysoko nad posadzka z jaskrawych kafelkow. Ulozono je we wzory, na ktore mogl spogladac tylko przelotnie, gdyz przyprawialy go o bol oczu. To, ze gospodarz nie tylko uwazal takie otoczenie za normalne, lecz czul sie w nim swobodnie, bylo jednym z tych irytujacych faktow, w jakie od pewnego czasu obfitowalo zycie Faree.

Napatrzyl sie do woli na kosmitow przez te zle lata, jakie spedzil w obskurnej portowej dzielnicy zwanej Obrzezem, skad wywodzily sie jego najwcześniejsze wspomnienia. Jednakże domowe zycie obcych bylo czymś, z czym zapoznawal sie dopiero teraz, dzieki pelnemu wymachowi kryształowego wahadla losu.

-Goraco - nadeszla pelna irytacji mysl Toggora, zawsze brzmiaca tak wysoko, ze ledwo mogli ja zrozumiec. Koszula Faree zafalowala, kiedy smaks wypelzil spod niej i wlepil w jego twarz oczy na szypulkach.

-Wiec... jessst ci goraco, malenki? - Tym razem nie byla to mysl, lecz slowa wypowiedziane z sykliwa intonacja. Siedzacy w dosc duzej odleglosci od nich trzeci osobnik wstal; pazury jego pletwiastych i pokrytych luskami stop zazgrzytaly na wzorzystej, kamiennej posadzce. - Uprzejmosc jest rzecza ze wszech miar godna pochwyly, moi mali przyjaciele, pozwolcie jednak, aby i mnie przypadl w udziale zaszczyt jej okazania. - Wyciagnal zolta, pokryta luskami reke, opasana w nadgarstku i powyzej lokcia szerokimi bransoletami z wytartego, twardego jak zelazo drewna, i nacisnal przycisk na scianie.

Nie uslyszeli szumu, jednak przez pokoj ciagnal teraz silny podmuch, wprawdzie nadal byl cieply, ale lepszy od prazacego powietrza, jakie przedtem stalo nieruchomo. Ten, ktory go wlaczyl, szedl miedzy malymi i duzymi stolami, zascielonymi tasmami do nauki i pudelkami plyt do czytnikow. Faree wydal stlumione, mial nadzieje, westchnienie ulgi. Udrapowane na jego ramionach faldy, splywajace wzdluz plecow tak, ze swym skrajem zamiataly podloge, uniosly sie lekko. Nie rozpostarl w pelni skrzydel - na to potrzebował wiecej miejsca - lecz przynajmniej mogli je rozprostowac.

Wysoki, stary kosmita przygladal sie Faree z entuzjazmem. Stracil na podloge cala kaskade pudelek z plytami do czytnikow, siadl z cichym sapnieciem i roztlarl sobie pokryta luskami i rogowymi plytami noge.

Potem pochylil sie, opierajac dlonie na kolanach. Faree nie wiedzial, od jak dawna Zakatianie dziedziczyli te plaszczynne istnienia (w taki bowiem sposob mowili o zyciu i smierci), byl jednak przekonany, ze Wielki Hist-Techzynier Zoror jest rzeczywiscie starym mistrzem tej umiejtnosci, ktora, podobnie jak w przypadku calego jego gatunku, polegala na gromadzeniu wiadomosci o roznych osobliwosciach tej rozleglej galaktyki - zwlaszcza o historii nowych ras, ktorych odkrycie od czasu do czasu notowano w dziennikach wypraw. Zaiste dlugowieczna byla ta jaszczurcza rasa, a mimo to nawet najstarsi z nich czesto twierdzili, ze dopiero rozpoczynaja swoja prace.

-Chcialbysss teraz - zasyczal znów Zoror - zeby ten stary luskowiec przeszedl od razu do rzeczy i powiedzial ci, kim jestes i skad przybyles. - Zakatianin pokrecil glowa, tak ze zmarszczona skorzasta kryza, ktora otulala tyl jego glowy i barki, rozpostarla sie niczym wielki, ozdobny kolnierz. - To nie takie proste. - Nie mozemy tak po prostu pojsc do archiwum i zapytac: "Kim jest ta skrzydlata istota? Z jakiej planety i jakiego ludu pochodzi?" To, co tu widzisz - znów machnal reka, wskazujac otaczajace ich sterty tasm i szpulek - to relacje z bardzo, bardzo licznych podrozy, dostarczone rowniez przez ludzi, ktorzy opowiadali niewiarygodne historie. Czasami sa to opowiesci wysane z palca, czasami jednak zawieraja ziarno prawdy, do ktorej - jesli Wszechmocny jest laskawy - mozna zbliczyc sie na mniej wiecej tyle! - Uniosl reke i pokazal mu niewielka szpare pomiedzy kciukiem i palcem wskazujacym.

-Wiec nic nie znalazles? - Faree niecierpliwil sie caly poranek, odkad wszystko, co potrafil sobie przypomniec, zostalo wprowadzone do pamieci wielkiego komputera. Jego niewielki zasob wiadomosci zapisano w celu ich porownania z kombinacjami wciaz watpliwych faktow.

-Tego nie powiedzialem. Istnieja opowiesci o istotach podobnych do ciebie. Mowia o nich bardowie z Loel, Zapamietywacze z Garth i Myslotance z Udofa. Opowiesci te zebrano na ponad setce swiatow, aczkolwiek nie zmienia to faktu, ze wszystkie pozostaja nieudokumentowanymi basniami. Ci, ktorzy je powtarzaja, zbieraja szczegoly na wielu planetach, najbardziej wiarygodne historie pochodza jednak z Terry...

-Terra? Przecież to też tylko bajka. - Faree nie próbował ukryć rozczarowania.

-Wcale nie. - Kryza na karku Zorora zafurkotała, kiedy jaszczur potrząsnął głową. - Istnieje pewien element wspólny dla wszystkich światów, z których pochodzą najbardziej zrozumiałe i szczegółowe opowieści. Są to pierwsze planety zasiedlone przez ludzi z Terry. Tak, nie ma najmniejszej wątpliwości, że Terra kiedyś istniała. Świat ten zrodził kilka ras, z których wszystkie obdarzone były jedną niezmienną cechą, a mianowicie ciekawością. Terranie nie byli pierwszymi badaczami kosmicznej ciemności, a mimo to w krótkim czasie rozprzestrzenili się dalej niż wielu ich poprzedników. Przyniesli też ze sobą, tak jak my wszyscy, opowieści - stare, lecz stanowiące część ich życia.

Faree siedział zaszepiony. Pomimo całej swej wiedzy, Zoror miał skłonność do gadulstwa. W innych okolicznościach przysłuchiwałby mu się z zaciekawieniem. Teraz jednak pragnął prawdy, nawet jeśli miałaby mu dać tylko bardzo cienką nitkę przewodnią.

-Ludzie z Terry... z pewnością nie byli do mnie podobni. - Unosił rękę, aby musnąć skraj jednego skrzydła.

-Nie, nie byli Faree'ami - potwierdził Zoror. - Przyniesli tylko opowieści o nich. W swych baśniach - wiele z nich zgromadził i zbadał Zahaj w mglistej przeszłości - wspominali o Małym Ludku, który mieszkał czasami pod ziemią...

-Z tym na plecach nie mogli! - zaprotestował, rozposcierając trochę szerzej skrzydła.

-To prawda. Żyli jednak różne ich gatunki lub odmiany. Według tych opowieści niektórzy nie mieli skrzydeł. Wszystkich łączyły dziwne stosunki z ludźmi z Terry. Czasami byli dobrymi przyjaciółmi, czasami zazartymi wrogami. Powiadano, że często wykradali ludzkie dzieci i sami je wychowywali, aby odmłodzić swoją krew. Byli bowiem bardzo starzy, tak że niekiedy ich rasa liczyła tylko kilkunastu osobników. Podobno posiadali wielkie skarby... może nawet zasoby wiedzy! - wykrzyknął na głos Zoror. - Zawsze jednak nadchodził taki czas, kiedy ludzie wyganiaли ich z domów, może nawet nie tyle z czystej nienawiści - choć legendy mówią i o takich czynach - lecz dlatego, że mieli ziemię, której oni pozadali. Wszyscy znają opowieści o nienasyconej chciwości Terran, która rozsiewała się niczym czarna mgła wszędzie, gdzie lądowały ich statki, dopóki nie nadszedł dzień Wielkiego Sadu. Zanim do tego doszło, skrzydlate i bezskrzydłe istoty uciekły gwiazdowymi szlakami, nie wiedząc same, gdzie wylądują. Znajdowały planety, na których osiedlały się na jakiś czas. Te same jednak światy przyciągały Terran. Przybywali ludzie, więc Mały Ludek znowu musiał ruszać w kosmos. Tak działo się wiele razy, sadząc z legend, które zapisaaliśmy. W końcu nie było już więcej meldunków i zostały tylko pieśni i opowieści.

-Więc prowadzili wojnę z Terranami? - Faree zaschło w ustach. Musiał za mocno scisnąć smaksę, gdyż zwierzątko obróciło się i ostrzegawczo uszczypnęło go w palec.

-Tak, była jakaś wojna, chociaż mało o niej wiemy - przeważnie są to ballady o jakimś Terraninie, którego zabiły złe czary Małego Ludka. Z Udolfa na przykład pochodzi cały cykl tanecznych pieśni oplakujących wodzów. Zginęli oni od oreza, który znał tylko Mały Ludek. Istoty te musiały też stosować jakiś rodzaj kontroli umysłów, gdyż przetrzymywały ludzi w swych twierdzeniach rzekomo przez dzień albo rok, a potem wypuszczały jenców, aby się przekonali, że w rzeczywistości minęły lata, odkąd opuścili domy. Jest również raport z Mingry. Chodź, sam zobacz.

Zakatianin zaprowadził Faree do większego stołu, na którym pietrzyły się niebezpiecznie kolejne sterty taśm. Zaczął robić na nim miejsce, układając przedmioty na podłodze. Faree szybko się schylił, aby mu pomóc, zwijając ciasno skrzydła, żeby nie spowodować katastrofy.

-Ten zapis - według rachuby czasu większości istot - jest również stary. - Hist-Techzynier manipulował przy czytniku, sprawdzając czy maszyna jest poprawnie ustawiona.

-Mingra? - Faree nigdy przedtem nie słyszał tego słowa.

-Świat mroku, planeta żywo-umarłych... - Zoror zwracał większą uwagę na dysk, który usiłował włożyć do czytnika, niż na pytania. Jeszcze raz obrócił szpulę, umieszczając ją wreszcie na właściwym miejscu. - To była Hanba Mingryjska, hanba dla wszystkich, którzy są kosmicznymi wędrowcami - choć być może przez lata pamięć o niej tak zbladła, że przetrwała już tylko jako jadowity szept. Patrz uważnie, gdyż spowodowała ją nienawiść jednego gatunku do drugiego, jednak nie ma żadnego wytłumaczenia...

Jego głos przeszedł w cichy syk i ucichł. Faree posłusznie spojrzał na mały ekran. Toggor niecierpliwie krecił się w jego objęciach, dopóki nie położył go ostrożnie na stole przed ekranem. Zwierzątko zwinęło się w kłębek i przypuszczalnie usnęło. Faree nie zamierzał spać. Odkąd przybył do domu Zorora, który pełnił także funkcję głównej siedziby badaczy z całego kwadrantu, obejrzał wiele takich zapisów. Niektóre były tak nieprawdopodobne i fantastyczne, że musiały być rzeczywiście wymysłami podróżników.

Na ekranie ukazał się obraz. Faree drgnął i poderwał się z krzesła. Bowiem nie był to tylko złowieszczy obraz kuli, słabo

podświetlonej z jednej strony czerwonym promieniem, lecz w jego głowie...

Nie wiedział, czy była to piosenka, nie potrafił nawet rozróżnić słów tego niewatpliwie zupełnie obcego języka. W głębi jego duszy zrodziło się jednak przeczucie, że kryła się w nich prawda, złowroga i potężna. Chwyciwszy krawędź stołu, zmusił się do tego, aby ponownie usiąść, lecz nie rozluźnił uścisku, który dodawał mu siły.

-Boli... ciemno... boli... - Zwinięty dotychczas w kule smaku obudził się i przycupnął przed ekranem, wymachując wielkimi szczypcami, jakby znalazł się w obliczu jakiegoś potwornego niebezpieczeństwa.

Czerwone światło na ekranie buchnęło ze zwiększoną siłą, jakby narastający dźwięk domagał się obrazu. W owym blasku ukazał się jalowy obszar pełen poszczerbionych skal, pociętych - przez erozję lub może szpony burz - na granie i płaskowyzie. U stop wzniesień wciąż zalegał mrok, a smugi cienia ruszały się, jakby rzucało je coś innego niż skały, pod którymi posepnie czatowały.

Trzewiami Faree targnął strach - strach narastający i potężniejszy z każdą chwilą. Sterta szpul z loskotem spadła na podłogę, kiedy jego skrzydła odpowiedziały na podświadomy bodziec.

W krwawym świetle mignęła z szybkością laserowego pocisku jakaś głowa. Była ucielesnieniem wszelkiego zła, jakie znał. Kłapała polamanymi zębami i wlepiła w niego oczy podobne do czeluski, w głębi których jarzył się ogień.

To coś znalazło go, nienawidziło, czyhało na niego! To był...

-Upiór... - Syk Zorora rozproszył straszliwy urok, jakim potwór omal nie omotał Faree, aby wciągnąć go do swej krainy lub wyskoczyć z ekranu. Jak to możliwe? Nigdy w życiu nie widział takiej tasmę. Z czyjego umysłu wydobyto tę okropność, aby ją a później badać... i gdzie... kiedy...?

-To był zbiorowy koszmar - rzekł Zoror. Faree usłyszał go, mimo że prawie całą uwagę wciąż poświęcał potworowi. Makabryczne stworzenie wyłonilo się już z mroku. Mgła przerzedziła się, jakby pełzająca bestia zyskała na realności jej kosztem. Stworzenie pełzło na skarlłowaciałych odnóżach - nie, raczej na grubych mackach; Faree miał wrażenie, że słyszy płasniecia przyssawek, odrywających się i ponownie przywierających do skal, w miarę jak sunął naprzód.

Koszmar? To było bardziej realne niż koszmar. Wystarczająco rzeczywiste, aby zabić, gdyby zaatakowało we śnie.

-Co rzeczywiście się stało - rzekł Zakatianin. - Przyjrzyj się skalom z prawej, mój mały przyjacielu.

Faree miał wrażenie, że jeśli oderwie uwagę od pełznacej bestii, narazi się na jej atak, nawet jeśli była to tylko tasma z nagraniem. Mimo to szybko spojrzał w kierunku, który mu wskazał Zakatianin.

U stop gładzi nie było cienia; wienczył on raczej jego czubek. Miał ludzkie kształty i... Faree wciągnął gwałtownie powietrze, dławiac okrzyk. Na szczycie skały stała uskrzydłona istota. Od razu pojął, że to ona kierowała potworem.

Szczuła nim ofiarę, nie po to, aby zabić - przynajmniej nie od razu - lecz żeby dreczyć ją strachem. Uskrzydłona istota. Przypatrzył się jej uważnie. Jej skóra na odsłoniętej nodze, ramieniu i twarzy miała brudnoszary kolor. Oczy, podobnie jak u stworza, któremu rozkazywała, były czerwone i płonące. Nosila ściśle przylegający do ciała, czerwony strój. Jego barwa współgrała z kolorem coraz jaśniejszego nieba. Skrzydła, które leniwie poruszały powietrze, nie przypominały szerokich skrzydeł Faree, których barwy stapiały się tak płynnie, że po rozpostarciu zachwycaly swym aksamitnym pięknem. Nie, skrzydła przywodcy bezlitosnych cieni były pozbawione tego delikatnego puchu, jaki pokrywał błony Faree. Miały natomiast ten sam ohydnie szary odcień, co jego skóra. Po rozpostarciu odsłaniały groźnie wygladające haki na czubkach.

-Skrzydlaty... - szepnął cicho Faree. Do strachu, który go wciąż przejmował, dołączył teraz element prawdziwej grozy. Czyżby mogło go łączyć jakieś pokrewieństwo z tą istotą - mimo tego, co Zoror mówił o prawdziwych i wymyślonych opowieściach? Skąd wiedział, że ta opowieść była prawdziwa...

-Tylko dla dwojga. - Zoror odebrał jego myśl i po raz pierwszy, odkąd odkrył swój talent, gdyż umiał się porozumiewać ze smakiem, Faree poczuł się tym urażony.

-Dla dwojga. - Zakatianin nachylił się i dotknawszy kontrolki jednym z mocno stopionych pazurów, zgasił ekran. Mimo to, kiedy Faree patrzył na monitor, nadal widział na szczycie skały uskrzydłate monstrum, gestem kierujące poczwara zrodzona z cieni.

-Dla dwojga. - Powtórzył Zakatianin. - Jednym jest śniacy, a drugim stworzenie, które wysłał taki sen! Ta scena pochodzi ze snu małego dziecka, jednego z wielu, jakie przywieziono na leczenie z Mingry na Yorum ponad sto planetarnych lat temu. Spośród nich przeżyło tylko pieciorko. Co się tyczy reszty... koszmary podobne do tego, jaki widziałeś, przesładowały je tak

dlugo, ze czesc umarla ze strachu, a pozostale tak skutecznie odciely sie od rzeczywistosci, ze nikt nie potrafil dotrzec do ukrytych zakamarkow, w ktorych przycupnelo przerazone. Staly sie zaginionymi dziecmi. Nie mogliśmy im pomoc.

-Mowiles jednak o hanbie... - odparl Faree. Widzial cos, co moglo wywolac niekonczace sie przerazenie, lecz nie rozumial, na czym moglaby polegac owa hanba. Taki strach nie byl powodem wstydu dla zadnego dziecka ani nawet doroslej osoby.

-Na Mingrze istniala kolonia sennych marzycieli. Uczyli sie tam panowac nad swymi snami - wyjasnil Zoror. - Kiedy wezwano ich na ratunek, a dzieci jeczaly i krzyczaly we snie, uciekli, odmawiajac udzielenia pomocy. Ci, ktorzy snia sny, zawsze balansuja na krawedzi tego, co wiekszosc ludzi nazywa szalenstwem. Bywalo, ze zadawali ciosy przez sen, a nawet chwytili za bron i mogli wyrzadzic krzywdę osobom znajdujacym sie w poblizu. Dlatego wysyla sie ich na odludzie, dopoki nie naucza sie panowac nad swoja moca. Jesli ty zareagowales tak gwałtownie na ten zapis snu, pomysl, jaki wpływ moglby miec na kogos, w kim celowo wzbudzono wzalwosc w tej materii. Senni marzyciele chcieli ochronic nie tylko siebie. Niemniej jednak ci, ktorzy widza, jak ich dzieci krzycza i rzucaja sie przez potworny, nie konczacy sie sen... coz, tacy ludzie nie zawsze moga odpowiadac za swe czyny. Doszlo do brutalnego najazdu na kolonie sennych marzycieli. Pojmano ich i torturowano, kiedy oswiadczyli, ze nie potrafia ani obudzic dzieci, ani im pomoc. Umierali dlugo i w mekach. Statek Patrolu na regularnej sluzbie wyladowal na planecie, gdzie ludzie mieli zbroczone krwia rece, a niejeden umysl nie mogl juz zniesc ciezaru wspomnien o tym, co sie stalo. Zyjace jeszcze wtedy dzieci, a nie bylo ich wiele, zabrano na Yorum, gdzie uzdrowiciele umyslu bezustannie starali sie przegnac upiora...

-Upiora - powtorzyl Faree.

-Tak nazywaly go przez sen. Juz wtedy byla to bardzo stara nazwa - kolejny fragment Starej Terry, który zawedrowal miedzy gwiazdy. Upiorem nazywano kiedys potwora wymyslonego po to, aby straszyc niegrzeczne dzieci. Dowiedzielismy sie tez, ze takie bajki opowiadano na Mingrze, gdzie uwazano je za nieszkodliwe i zabawne historyjki.

-Nieszkodliwe? Zabawne? - oburzyl sie Faree. - Przeciez cala ta scena tchnela zlem! Jakie dziecko mogloby cos takiego wysnic? Chyba, ze jego rasa stosowala kary i miala sklonnosc do przemocy.

-Dopiero plaga popchnela ich do takich czynow - odparl Zakatianin. - Zaden z sennych marzycieli nie byl tez na tyle niezrownowazony, aby tak igrac z wlasna moca. Jak z pewnoscia slyszales, sniacy sa posluszni nakazom umieszczonym w najglebszych zakamarkach ich duszy, tak aby swym postepowaniem nie wyrzadzili nikomu krzywdy. Pomimo to wszystkie dzieci, ktorzy sny potrafilismy zapisac, snily ten sam koszmar. Nie widziales jeszcze najgorszego, moj maly przyjacielu. Pewne sennie obrazy zamknielo w stanie stazy, poniewaz tylko bardzo opanowane i wyjatkowo zrownowazone osoby zdolne sa na nie spojrzec. Przezywanie wspolnego snu jest mozliwe - senni marzyciele uczynili z tej umiejtnosci prawdziwa sztuke. Osoby, ktore szkola sie w niej niemal od urodzenia, potrafia nawiazac lacznosc nawet na skale miedzyplanetarna. Jesli wiec wszystkie dzieci dreczyl ten sam koszmar, musial on miec jakis wzor. Patrolowcy, moj wlasny zespol oraz inne osoby obdarzone rozmaitymi zdolnosciami - wszyscy starali sie znalezc zrodlo tego wspolnego snu, jednak bezskutecznie. Odkrylismy natomiast, ze w calym sektorze galaktyki, skladajacym sie z pieciu ukladow, panowal niepokoj, wybuchaly zamieszki, nawet toczono male wojny. Krazyla rowniez pogloska - ktora bedzie miala dla ciebie znaczenie - ze poszukiwanym nieprzyjacielem byla rasa skrzydlatych istot. Nikt ich jednak w rzeczywistosci nie widzial, chociaz przeprowadzilismy szeroko zakrojone badania i dotarlismy do pewnych zrodel, do ktorych zazwyczaj wladza nie ma dostepu, na przyklad do Gildii Zlodziejskiej. Jednakze po wybuchu przemocy na Mingrze najwyrazniej wszystko sie uspokoilo. Koszmary nie powrocily, chociaz ochotnicy sposrod profesjonalnych sennych marzycieli dziesiatej klasy ofiarowali swoje uslugi, aby pomoc w poszukiwaniach. Wreszcie Patrol i wladze oznajmily, ze niewatpliwie przyczyna wszystkiego bylo czyjes umyslnie zlosliwe dzialanie (ci, ktorzy tak twierdzili, musieli klamac w obliczu naocznych dowodow) albo wrodzona wzalwosc dzieci, rozbudzona przez stare bajki. Wtedy wladze naznaczily osadnikow pietnem Hanby za urzadzenie masakry sennych marzycieli i wszystko mialo pojsc w niepamiec. Zaprzestano poswiecania czasu i uwagi napasci, ktora w gruncie rzeczy byla bardzo blahym wydarzeniem w porownaniu z przemoca, wiecznie zagrazajaca zdrowiu psychicznemu na wszystkich zamieszkalych planetach.

-Wiec ten sen... oni nigdy nie uwierzyli, ze byl prawdziwy? - spytal Faree.

Zoror poskrobal sie dwoma pazurami po podbrodku tuż powyzej pierwszego podgardzielowego faldy skornego.

-O tak, uwierzyli. I przez jakis czas mieli oczy i uszy szeroko otwarte. Wiele z tych tasm - znów wskazal szpule - to ich sprawozdania. Dlatego mamy teraz latwy dostep do materialow i nie leza one zapomniane w jakims magazynie. Co jakis czas dodajemy jakis fakt albo podejrzenie - zawsze pogloski, z ktorzy wiele sklada sie w jedna calosc. Maly Ludek, Lud z Kopcow...

Faree zeszywnial. Lud... z... z... Kopcow!

-Slyszales juz wczesniej te nazwe, prawda? - stwierdzil Zakatianin.

Faree potarl dlonia czolo, jakby chcial odgrzebac jakies dawno zatarte wspomnienie. Siegal pamiecia coraz dalej wstecz... Znajdowal sie w nedznym namiocie, kulil sie na stercie splensialej trzciny, ktora byla jego jedynym poslaniem. Mezczyzna bedacy jego wlascicielem siedzial przy lichym stole, obracajac w brudnych dloniach kubek z obtluczonym uchem. Na jego dnie wciaz bylo kilka lykow jakiegos cuchnacego napoju, ktory saczyl. Lanti uniosl glowe i obejrzal sie na Faree. Jego ponure spojrzenie zapowiadalo cos, co chlopiec dobrze juz znal. Za chwile masywnie zbudowany lotr nabierze ochoty, aby wezwac go i zbic na kwasne jablko. Wiekszosc tego gradu ciosow spadnie na jego garbate plecy. O tym dobrze pamietal - lecz wszystko, co poprzedzalo pobyt w tym namiocie i jego zalosna niewole, przepadlo.

-Tak. - Zoror pokiwal glowa. - Jakims sposobem wyczyszczono ci kiedys pamiec. Kiedy jednak wymienilem jedno z imion, jakie nadano Ludkowi w przeszlosci, zareagowales, jakbys je znal...

Faree potrzasnal glowa.

-Nie przypominam sobie. Slyszalem je jednak, na pewno slyszalem! Tylko w samych Obrzezach, gdzie przewijaja sie wszelkiego rodzaju kosmiczni wedrowcy, mozna uslyszec strzepy rozmaitych opowiesci albo przechwalek o wyprawach.

-Aczkolwiek - Zoror popatrzył na niego z troska - jest to jedno z mniej znanych imion ludu, ktory w rzeczywistosci mogli nigdy nie istniec. Tak czy inaczej, musze cie ostrzec. Maelen i Krip przywiezli cie tu w nocy powietrznym pojazdem. Wiem, ze wiedzialo cie niewielu i potrafisz zwinac je - wskazal jego skrzydla - zdumiewajaco ciasno, tak ze z oddali w przycmionym swietle mozna je wziac za zmarszczona peleryne, jednak za dnia spotkasz wielu ludzi o wzroku dosc bystrym, zeby dostrzec roznice. Pamietaj, chlopcze, nie jestes tu bezpieczny!

-Gildia? - To prawda, ze przyczynil sie do wykrycia jednego ze spiskow tych mistrzow grozby. Czyzby jednak zajmowal wystarczajaco wysoka pozycje na liscie ich wrogow, aby przyciagnac ich uwage? Jesli tak...

Zamyslil sie. Maelen i Krip Vorlund byli jego przyjaciolmi. Dzieki ich staraniom wyrwal sie z nedzy Obrzezy. To w ich obecności i podczas pracy w ich sluzbie stal sie ten cud - po raz pierwszy rozwinely sie jego skrzydla. Jesli az tak bardzo rzucal sie w oczy, przebywanie z tymi, ktorzy tak wiele dla niego znaczyli, moglo z kolei narazic ich na niebezpieczenstwo.

-Nie. - Bylo oczywiste, ze Zoror sledzil tok jego mysli. Faree nie probowal ich ukrywac, tak zaabsorbowany byl tym potencjalnie niefortunnym odkryciem. - To prawda, ze Gildia nie ma powodu zycyc szczescia zadnemu z was. - Zakatianin zachichotal cicho. - Wszyscy troje przysporzyliscie jej mnostwo klopotow i wystawiliscie ja na posmiewisko. Gdyby wiesc o tym sie rozniosla, bylby skompromitowani. Ufam jednak, ze jestescie na tyle dyskretni, zeby nie rozpowiadac o tym, co sie wydarzylo. Oczekujecie raczej z niecierpliwoscia tego, co przyniesie dzien jutrzejszy. Atoli wsrod rozlicznych paskudnych zajec Gildii mozna wymienic pewna odmiane handlu niewolnikami, ktora jej czlonkowie zajmuja sie przy kazdej nadarzajacej sie okazji. Maja oni liste klientow - wielu z nich mogloby dla przyjemnosci kupic cale te planete - kolekcjonujacych osobliwosci. Ty sie niewatpliwie do nich zaliczasz i na pewnych swiatach rozkoszy mogliby zaplacic za ciebie bardzo wysoka cene. Poza tym Gildia ma wlasne zrodlo wiadomosci, ktore moze nie dorownuje naszemu, lecz jest lepsze niz, powiedzmy, tasmy informacyjne, jakie studiuje Patrol. Niewykluczone, ze dowiedziala sie czegos o Malym Ludku, zwlaszcza od czasu Hanby Mingryjskiej. Zgodnie z legenda, jednym z czesto wspomnianych zajec tej skrzydlatej rasy bylo gromadzenie i strzezenie skarbow. Przypuszcmy, ze Gildia ubzdura sobie, ze pochodzi z tego tajemniczego ludu i mozesz ja zaprowadzic do skarbu... Ach, widze, ze mnie rozumiesz. Tak wiec to glownie dla twojego wlasnego dobra prosze cie, abys staral sie nie rzucac w oczy.

Faree raptownie odwrocil glowe. Omal nie potkнал sie o taboret, z ktorego przed chwila wstal. Slowa Zorora brzmialy jak brzczenie owadow, gdyz mlodzieniec podniosl wysoko glowe i rozdetymi do granic mozliwosci nozdrzami wciagal powietrze do pluc. W pokoju dotychczas czuc bylo stechlizna, kurzem i czasem. Teraz naplynela fala innego zapachu. Wczesniej podczas ogladania tej potwornej sceny znieacka ogarnal go strach, teraz zas poczul zachwycajaca won. Wypelniala jego pluca, sprawila, ze zatoczyl sie ku drzwiom. Wszystkie kwiaty, jakie znal... korzenny aromat krzewow... przenikliwy zapach wody na pustyni. Ominal stol, unoszac i rozkladajac skrzydla. Przes tworza... musi wzleciec...

ROZDZIAL 2

Bariera znikla i na progu staneli Maelen i Krip. Ale gdzie byla ta trzecia? Nie mogla sie chowac za nimi, poniewaz Faree i tak dostrzeglyby czubki lub brzegi jej skrzydel. Wiedzial...Gdzie ona jest!

-Kogo szukasz, braciszku? - spytal Krip, przygladajac mu sie uwaznie. W jego glosie zabrzmiala nuta zatroskania.

-Jej... tej wdziecznej... tej, ktora lata spowita pieknoscia! Gdzie ona jest, moj bracie, moja siostro? Ukryliscie ja? - Nagle przypomniał sobie ostrzezenie, ktorego zaledwie przed chwila udzielil mu Zoror. - Na statku? Chyba nie jest z Gragal! Oni

przedtem nie widzieli istot podobnych do nas... Tak - Faree wskazał palcem - powiedział mi.

Miał ochotę krzyczeć, śpiewać, wzlecieć triumfalnie w niebo, aby spotkać ją wysoko wśród chmur, gdzie biegła ich własna droga. Jednak na twarzach jego przyjaciół nie widac było uśmiechów. Dotarła natomiast do niego myśl Maelen, tłumiac podniecenie, jakie go ogarnęło.

-Tu nikogo nie ma, braciszku - ani z nami, ani na statku. Dlaczego sadziles...?

Faree podszedł do niej z wyciągniętymi rękami i wtedy chłód zgasił nagle radość, jakiej doznał po raz pierwszy w swym ciepłym i jałowym życiu. Ten zapach - nie, nie mogli się mylić! Dobiegał z...

Nagłym ruchem wyszarpnął z rąk Maelen jakiś pakunek zawinięty w kawałek luksusowy, jaka otula się delikatne przedmioty po dokonaniu zakupu. Opakowanie otworzyło się i ujrzał wtedy coś, co eksplodowało płynnie stapiającymi się barwami: różem, perłowa bielą i ciepłą szarością wczesnego zmierzchu.

Faree nadal wpatrywał się w nią, kiedy owionął go przepiękny zapach, wypełniający jego nozdrza przy każdym oddechu. Ona... ona...

Krzyknął ochryple i upuścił te cudne rzeczy na najbliższą stertę martwych tasm. Ale łączyło się z nią potworne okrucieństwo, cierpienie tak straszne, że natychmiast zdławiło wszystko, co czuł początkowo, zastępując te uczucia przejmującym bólem. Potem z tej meki zrodził się gniew, olbrzymi, wzbierający w nim, dopóki nie zamachnął się i nie stracił na podłogę stosu tasm. Obnażył żeby tak mocno, że wyglądał jak warczące zwierzę, które nie potrafi inaczej dać upustu swej wściekłości, jak tylko wykorzystując kły i pazury. Drugą ręką wyszarpnął zza paska krotki noż - pamiątkę spotkania z Gildia. Kto mógł mu za to zapłacić... za to cierpienie, smutek... SMIERC!

-Gdzie...? - warknął bełkotliwie. - Gdzie to było? - Nie odważył się ponownie dotknąć wielobarwnego przedmiotu; samo patrzenie sprawiało mu ból.

Maelen ostrożnie podeszła do niego. Niewielkie ciało Faree dygotało z chęci, aby się na nią rzucić, chociaż była taka duża, i wtrząsnąć z niej to, co chciał wiedzieć. Kobieta podniosła przepiękny drobiazg i rozwinęła go jednym ruchem. Zmuszony patrzeć pomimo wściekłości i zgrozy, zobaczył w jej ręku coś, co wyglądało jak szal. Pasek wycięto z ukosa, co uwypuklało gre kolorów.

-Co to jest? - Maelen nie próbowała przeniknąć zamętu, jaki panował w jego umyśle. Odezwała się cichym głosem, jakim przemawiała do swoich ukochanych malenstw

-tych dziwnych i znajomych zwierząt, z którymi dzieliła życie. - Co to jest, braciszku? - spytała powtórnie.

Od zbyt wielu gwałtownych emocji, jakie targnęły nim w tak krótkim czasie, zrobiło mu się niedobrze i kreciło mu się w głowie; musiał przytrzymać się krawędzi stołu. Trzy razy przelknął ślinę, zanim zdołał wykrztusić słowo.

-To... to jest kawałek skrzydła! - Jego własne skrzydła zadrzały, kiedy to powiedział.

-Doprawdy? - odparł Krip Vorlund. - Czy takiego jak twoje?

Faree odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na ten mieniący się barwami strzep, który Maelen znow wzięła do ręki. Wspomnienia... czy on coś takiego pamiętał? Borykał się ze swoją wściekłością i wreszcie ją stłumił.

-Być może podobnego do mojego. - Tylko że to, pełne ciepłych barw, było piękniejsze niż jego zielone skrzydła.

-Czy możesz nam powiedzieć coś więcej, braciszku?

-zapytała Maelen, przyjaciółka wszystkich - skrzydlatych i czworonogich - żywych stworzeń, przyglądając mu się badawczo.

Faree nawet nie podniósł ręki. Skrzywił się, gdy poczuł pieczenie w gardle. Nadal był wściekły, lecz czuł coś jeszcze - stratę tak wielką, że przytłaczała go jak brzemie jego skrzydeł, zanim uwolnił je czas i wielki wysięk.

-Ona nie żyje... - rzekł i w duchu zapłakał.

-Jak umarła? - Trzeźwy głos Vorlunda uspokoił Faree na tyle, że mógł odpowiedzieć.

-Nie wiem. Jeśli spróbuję się tego dowiedzieć - przesunął chudymi palcami kilka cali nad szalem - poczuje tylko to, co ona

czuła, a nie w jaki sposób zginęła i gdzie to się stało.

Zoror rozpostarł skorzasty kołnierz na szyi. Schylił się lekko, jakby próbował wydobyć więcej informacji z tego skrawka jedwabiu.

-Przemyt... kontrabanda? - Ostry ton pytania sprawił, że jego syk stał się niemal niesłyszalny. Nie próbował jednak dotknąć szala, który wciąż łopotał, chociaż nie było wiatru.

-Więc import tego towaru jest zakazany? Dlaczego ktoś miałby ryzykować utratą praw do podróżowania w kosmosie po to, żeby handlować czymś takim? Jakiego ten przedmiot ma zalety, oprócz piękna? - Vorlund zadał pytania w imieniu ich wszystkich.

Przemyt był rzeczywiście na wszystkich planetach uważany za ciężkie przestępstwo i sily wymiaru sprawiedliwości, tak na planetach, jak i w kosmosie, nieustępliwie dążyły do znalezienia i ukarania tych, którzy się nim zajmowali.

-Nie mam pojęcia - odparł Zakatianin. - Ponieważ oficjalnie handluje ciekawymi drobiazgami z innych planet, przedmiotami mogącymi uzupełnić nasze archiwa choćby o kilka słów, jestem członkiem Gildii Importerów, nie tylko na tej planecie, ale także na pięciu innych. Ta rzecz znajduje się na liście towarów zakazanych...

-A jak ją skatalogowano? - Maelen ostrożnie odłożyła szal na stół.

-Jako pajeczny jedwab - nowego rodzaju - o którym natychmiast należy powiadomić najbliższy posterunek Patrolu.

-Nie znam tego pajecznego jedwabiu. - Faree nie mógł oderwać oczu od połyskliwej szarfy. - Ale to nie może być...

-Nie. - Krip Vorlund pokręcił głową. - To najwyraźniej coś więcej. Ten strzep wycięto ze skrzydła...

Na dźwięk jego słów Faree zadygotał i znowu musiał przytrzymać się krawędzi stołu. Próbował przestać o tym myśleć. Wśród niedzy Obrzeży, gdzie tych dwoje znalazło go i ocaliło od gnicia wraz z innymi włoczekami, którzy ugrzęzli w bagnie zła, jakim w rzeczywistości była ta rozległa osada w pobliżu kosmicznego portu, po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że potrafi rozmawiać myślami. Dzielił się nimi ze smakiem, także więziem. Potem przyszło tych dwoje i zabrało Toggora, a wraz z nim i jego. Widział wiele rzeczy wzbudzających strach i grozę, lecz żadne z nich nie poruszyło go tak, jak ten przedmiot - jakby próbował odemknąć drzwi, które zaprowadziłyby go do innego czasu i miejsca, gdzie nie wolno mu jeszcze wkroczyć...

-Jeśli znajduje się na liście towarów zakazanych - powiedziała Maelen - ktoś musi wiedzieć, co to jest i skąd pochodzi - przypuszczalnie widziano to już wcześniej.

Wtedy odezwał się Zoror:

-Skrzydła, bracie. - Spojrzał na Faree i w jego oczach, częściowo przesłoniętych fałdami luskowatej skóry, pojawiła się troska. - Potrafisz nam powiedzieć, kto to zrobił albo gdzie?

Faree poczuł ogarniającą go falę mdłości.

-Ja...

-Nie! - przerwała mu Maelen. - Jedyne miejsce, do którego on mógł się zajrzeć, jest przeszłość, a stamtąd to pochodzi. - Odgarnęła z czoła Faree pasmo włosów wilgotnych od potu.

-A gdzie ty znalazłaś ten szal, Corko Księżycowej Mocy? - spytał Zoror oficjalnym tonem, jakby oczekiwał złożenia zeznań.

-Był jawnie wystawiony na sprzedaż na bazarze. Możemy przecież sami pojechać na poszukiwania! - odparła. - Może Faree znajdzie tam wskazówkę i jego umysł będzie mógł ją bezpiecznie przyjąć.

-Szukajcie kosmicznego wędrowca, od którego odwróciło się szczęście - skomentował Vorlund.

-Wędrowca, który przypuszczalnie odwiedził wiele planet, znanych i nieznanych - dodał Zoror, jakby atakował jakiś problem z całą siłą swojej wiedzy. - Musimy koniecznie znowu się spotkać z tym kosmonautą, zapewne najlepiej na jego własnym terenie. Może mieć tego więcej! - Nie dotknął szala, wskazując go pazurami. - Nasz mały braciszek potrzebuje jednak ochrony. Zobaczmy...

-Ochrony? - zaciekawil sie Vorlund.

-Tak. Wszystko wyjasnie, kiedy bedziemy mieli wiecej czasu. Zapada zmierzch i sadze, ze powinniśmy zajac sie tym, co mamy zamiar zrobic, zanim nadejdzie noc.

Maelen wprawnie zarzucila na Faree peleryne z kapturem, mocujac mu kaptur na czubkach skrzydel i zostawiajac szpare do patrzenia z przodu. Teraz mlodzieniec dorownywal wzrostem swoim towarzyszom. Zanim wyszedl, Toggor zeskoczył ze stolu, na którym siedzial skulony, sprawiajac wrazenie zaledwie klebka sterczacych szkarlatnych kolcow, i dal susa w szczeline widokowa w plaszczu, wczepiajac sie w jego koszule wszystkimi osmioma odnozami.

Gdy wyszli na maly dziedziniec domu, gdzie mieszкала druzyna Zorora, Zakatianin przemowil do tarczy na nadgarstku, wzywajac skuter. Vorlund pokrecil glowa.

-Z calym szacunkiem, Wielki Techniku, ale w tym pojezdzie bedziemy rzucac sie w oczy jak polowka zetonu na zamiecionym chodniku.

-Masz racje - odparl Zoror, po tym jak maly smigacz wyladowal, oczekujac na rozkazy. - Dostaniemy sie nim jednak do portowej bramy. Bedzie tam wielki ruch - a my przez ten tłum precisniemy sie do bramy Faxe - stamtad juz tylko krok do Ulicy Handlarzy.

Maelen przyjrzala mu sie uwaznie.

-Starszy bracie, mowisz jak ktos, kto opuszcza pole przegranej bitwy i spodziewa sie, ze przesladowca podazy jego sladem. Twierdzisz, ze Faree grozi niebezpieczenstwo. Co tu sie dzieje?

-O to samo moglbym spytac ciebie, siostrzyczko - odparl Zakatianin. - Tego braciszka ktos czujnie obserwuje, co do tego nie mam watpliwosci. Tak, moze mu grozic ogromne niebezpieczenstwo. Dlatego staramy sie zachowac wszelkie srodki ostroznosci.

Weszli do smigacza i Vorlund nachylil sie, zeby wystukac na klawiaturze miejsce przeznaczenia.

Faree zajmowal wiecej przestrzeni niz powinien, poniewaz nakryte plaszczem skrzydla znow utworzyly garb, który kiedys tak bardzo mu ciazył. Przynajmniej zostawili ten strzep skory ze skrzydla i uwolnil sie od jego wpływu - chociaz nie pozbył sie tego dokuczliwego, tepego bolu - glebokiego przekonania, ze gdzies stalo sie takie nieszczęście, jakiego on sam, pomimo wszystkiego, co wycierpial na Obrzezu, nigdy nie zaznal. Popatrzył po kolei na trojke swoich towarzyszy. Sadzac z tego, co potrafil wyczytac z pokrytej luskami twarzy Zorora, Zakatianin zachowal niewzruszony spokój. Maelen siedziala wyprostowana, a jej oczy blyszczaly jak za dawnych czasow. Faree znajomy byl tez grymas zacisnietych warg Vorlunda i fakt, ze kosmiczny podroznik przesuwal dlonia po pasku, jak gdyby szukal rekojesci dlugiego noza albo ogluszacza. Kiedy tu wyladowali, zgodnie z prawem obie bronie zostaly zamkniete w sejfie przez urzednikow portowych.

-Gdzie jest ten kupiec? - zaciekawil sie Zoror.

-Na samym skraju bazaru - odparla Maelen - niedaleko domow, gdzie ubozsi moga znalezc nocleg. - Nakryla dlonia noszona na nadgarstku tarcze, która wskazywala, jakim majatkiem dysponuje.

-Wyladujemy wiec przy Bramie Niezarejestrowanych Przybyszow. - Zoror postukal pazurami w luski pokrywajace jego wargi. - Potem...

-Ktos nas sledzi - przerwal mu Vorlund. - Jakis prywatny smigacz leci tym samym pasmem i nie zmienia kursu. Tutejsze rody kupieckie maja wlasne barwy, nieprawdaz?

Zoror nie odwrocil sie, aby samemu spojrzec i upewnic sie, ze jego towarzysz mial racje, co dowodzilo zaufania, jakim obdarzal Vorlunda.

-Tak, to prawda.

-Wiec, który z nich szczyci sie godlem z trzema czerwonymi pasami i zolтым sloncem posrodku?

Zoror dwukrotnie zamrugal. Faree mial ogromna ochote odwrocic sie i zobaczyc, o czym mowil Vorlund, ale byl zbyt ciasno otulony plaszczem, zeby probowac.

-To nie ma sensu - rzekl Zakatianin.

-Co nie ma sensu i dlaczego? - spytał kosmiczny wedrowiec.

-- Mowisz o barwach domu, zajmujacego sie handlem na morzu. Jego przedstawiciele nie pokazaliby swojego emblematu tak daleko w glebi kontynentu. Morskie rody naleza do innej rasy; wiekszosc z nich wychodzi na lad tylko na wezwanie Rady, a i to czyni bardzo niechetnie. Zaden nie ma tu nawet podrzednej filii.

-Nie! - rozlegl sie rozkazujacy glos Maelen, dosc stanowczy, aby wszyscy spojrzeli na nia. Miała zawziety wyraz twarzy, a jej dlonie, oparte na kolanach, wykonywaly ruchy, ktore zdaniem Faree, byly gestami Ksiezykowej Spiewaczki.

-Nie mysl sobie - zнизyla glos prawie do szeptu - ze nikt nie szuka!

Faree szedl wlasna stara sciezka. Przed oczami stanela mu wieza. Byla podobna do tej straznicy na Yiktor, gdzie otrzymal nalezne mu dziedzictwo, a Maelen odkryla pogrzebana i dawno zapomniana historie swego ludu. Nie zbudowano jej z kamienia ani zadnego znanego mu materialu budowlanego; oczami wyobrazni widzial, jak szybko staje sie ciemnorozowa. Przestrzen miedzy pietrami to powoli sie rozjasniala, to znow przechodzila w ciemna szarosc przybierajaca aksamitny odcien wczesnowieczornego nieba...

Tak mocno sie na niej skupil, ze kiedy Maelen go dotknela, drgnal jak ktos gwałtownie wyrwany z glebokiego snu.

Smigacz wyladowal. Tuz za ich plecami wznosila sie brama, o ktorej wspominial Zoror, chociaz o tej porze nikt tamtedy nie przechodzil. Niedaleko znajdowal sie rozlegly port wewnatrz portu, dzielnica takiego samego brudu i bezprawia, co Obrzeza. Wielu nazywalo ja swym domem: piloci zmuszeni oddac licencje czy handlujacy przemycnym towarem. Tutaj z pewnoscia mozna bylo zaopatrzyć sie w takie ogluszacze, jakie Vorlund i Maelen oddali po wyladowaniu.

Faree mial wrazenie, ze ciemniejace niebo nad dzungla niszczejacych i na pol zrujnowanych budynkow przeslania dym znad jakiegos cuchnacego ogniska. Otulil sie mocniej peleryna i delikatnie pogladzil Toggora. Byc moze ten gest sprawil, ze czasami nieuchwytny wzor mysli stworzenia zjednoczyl sie z jego umyslem na kilka chwil.

-Tam... tam...! - Przeslanie bylo tak naglace, ze Faree mimowolnie przebiegl kilka krokow, zanim Vorlund zlupal go za ramie.

-Nie tak szybko, braciszku - powiedzial cicho kosmiczny przybysz. - Wciaz nas obserwuja i oby tylko zainteresowanie tym, co robimy, nie sprowokowalo ich do ataku, jesli to wlasnie planuja.

Mimo tego ostrzezenia Faree uniosl glowe; jego peleryna zalopotala, kiedy obracal sie na boki. Ten zapach! Znow poczul aromat wypelniajacy wczesniej pokoj Zorora. Ta won byla znacznie slabsza, gdyz musiala walczyć z wszystkimi smrodami ulicy. Kiedy jednak raz ja poczul, nie mogli jej juz zgubic.

-Dobrze, bracie - rzekl Vorlund. - Prowadz nas, ale badz ostrożny.

Faree nie zwrocil wiekszej uwagi na jego slowa. Wysunal sie na czolo grupy, zostawiajac pozostalych kilka krokow z tyłu.

-Niedobry... boli... niedobry... - To byl znow Tog-gor. Faree nie potrzebował ostrzezen smaksa, gdyz zapach, ktory go prowadzil, zaczal sie zmieniac. Strach - tak, to byl niewatpliwie strach! Nie ogladajac sie na towarzyszy, dotarl do pierwszej smrodliwej sciezki, pelniacej role ulicy w tej nowej wersji Obrzezy. Podkasal poly peleryny i otulil sie nimi ciasno na widok dwoch zataczajacych sie pijakow. Posluzyl sie nabytymi w minionych latach umiejetnosciami, aby ich ominac, chociaz jeden z mezczyzn wymierzyl cios w miejsce, gdzie znajdowalaby sie jego glowa, gdyby plaszcz rzeczywiscie okrywal wysokiego czlowieka, na jakiego wygladal.

Na ulice wylegalo coraz wiecej ludzi. Czesc z nich szybko przemykala, korzystajac z oslony ciemnosci. Coraz wiecej bylo pijanych i takich, ktorzy dopiero mieli zamiar sie upic. Napoje odurzajace i narkotyki, jakie mozna bylo dostac w tych zaułkach, zapewne byly rozcienczone i mieszane z innymi substancjami, aby oslabic ich dzialanie, lecz potrzebujacy ich zdazali do miejsc, gdzie mogli sie w nie zaopatrzyć.

Dwie knajpy gapily sie na siebie zlosliwie z przeciwnych stron zasmieconej ulicy. Powoli zapalaly sie w nich swiatla, a z wnetrza dobiegal ogluszajacy huk muzyki.

-Wejsc... - Wydawalo sie, ze Toggor krzyknal, tak glosna byla jego mysl. Faree wlozyl reke pod luzna wierzchnia koszule, zeby dotknac szczeciny na grzbiecie smaksa. Nie potrzebował juz ponaglania Toggora - sygnal, za ktorym szedl, z kazda chwila stawal sie wyrazniejszy.

Bol i strach: teraz upewnil sie, ze oba te doznania pochodzily z przeszlosci - i nie spieszy na ratunek jakiemus jencowi. Niemniej jednak tam, gdzie mozna bylo znalezc strzepy skrzydel, mozna dowiedziec sie, skad pochodzily. Oczywiscie

handlarz będzie klamał. Faree obnażył na chwile szpiczaste zęby, uśmiechając się tajemniczo. Oprócz niego byli tu także Maelen i Vorlund, Zakatianin i oczywiście Toggor. Wszyscy mieli dar czytania w myślach. Jego zmysł wyostrzył się przez te ostatnie miesiące, kiedy podróżował z dwójkiem kosmicznych wędrowców, i wiedział, że teraz potrafi się nim posługiwać dużo lepiej niż poprzednio.

29 Zobaczył przed sobą zbiegowisko. Zatrzymał się na chwile i spojrzał na przeszkodę dzielącą go od celu poszukiwan. Jeśli zacznie przeciskać się przez tłum, wystarczy jeden szturchaniec pijaka, żeby zerwać z niego pelerynę i zdradzić go przed kupcem, który handlował skrzydłami.

Większość osób tłoczyła się wokół sceny wznoszącej się na wysokość ramion mężczyzny. Na niej jakiś wysoki i bardzo chudy człowiek, w stroju tak obcisłym, że wyglądał w nim jak kościotrup, wymachiwał szczupłą dłoń o sześciu palcach. Z czubka każdego z nich strzelał płomień. Z przewróconej skrzynki służącej za stół, mężczyzna wyjął nieduże naczynie do połowy wypełnione jakąś cieczą i przechylił je najdalej, jak mógł bez wylewania zawartości, aby widownia, a przynajmniej osoby stojące tuż przy podwyższeniu, mogły się upewnić, że w misce rzeczywiście coś się znajduje. Kiedy przekonał już o tym część publiczności, umieścił naczynko w szczypcach tuż nad własnymi płonącymi palcami, wymawiając przy tym niezrozumiałe słowa. Teraz przyciągnął ich uwagę. Gdy przysunęli się bliżej, w tłumie przed Faree powstała niewielka luka, przez którą mógł się przecisnąć. To, czego szukał, znajdowało się bardzo blisko; zew przesycony był coraz większym bólem i Faree ustalił, że dobiegał z budki tuż za plecami magika. Wydawało się, że w środku jest pusto, chociaż tuż przed wejściem stał mężczyzna w poplamionym wytartym mundurze członka załogi jednego z dużych statków korporacyjnych, wpatrujący się w iluzjonistę.

Faree wszedł do straganu i zaczął przyglądać się wyłożonym tam towarom. Była to po części tandeta z rodzaju tej, jaką kompanie wciskają tubylcom na niedawno otworzonych dla handlu światach, których mieszkańcy nie znali prawdziwej wartości przedmiotów z innych planet. Nie tego jednak szukał. Poczul ruchy Toggora i wiedział, że smaks chce się wydostać, poradził mu jednak szybko w myślach, żeby poczekał jeszcze chwile.

Sam trzymał rękę nad ładą, otulając się peleryną najciszej, jak mógł. Powoli przesunął dłoń, trzymając palce złożone razem i wyprostowane. Nie, nie czuł tego na kontuarze, ale blisko, bardzo blisko. Będzie musiał mimo wszystko narazić Toggora na niebezpieczeństwo. Ukradkiem obserwując plecy mężczyzny, najprawdopodobniej handlarza, zrzucił smaksę na sterty towaru. Toggor potrafił w razie potrzeby szybko się poruszać. Teraz pedził po przedmiotach wystawionych na sprzedaż, chociaż raz musiał się zatrzymać, żeby strześć z łapy krzykliwy naszyjnik ze sztucznych kryształów ru. Kiedy dotarł do końca wąskiej polki, wychylił się do połowy za jej krawędź, trzymając się powierzchni tylko dwiema tylnymi nogami. Strach-cierpienie nagle przybrał na sile. Faree zaparł się nogami w ziemię, jakby stał na drodze gwałtownej burzy.

Smaks znow się pokazał, wywlekając jakiś płaski pakiet, który zagarnął ze sobą kilka bezwartościowych świecidełek. Faree cały dygotał. Strach-zgroza szybko przeradzał się w gniew. Rzucił okiem na towary, lecz nie było wśród nich broni. Żaden niezarejestrowany handlarz nie chciałby, żeby Służba Bezpieczeństwa znalazła ją u niego. Faree chwycił pakunek. Dygotał coraz mocniej i przestał trzymać pelerynę, tak że w każdej chwili płaszcz mógł zsunąć mu się z ramion.

Toggor skoczył i wylądował na piersi chłopca. Wysunął szczypce, złapał za polę płaszcza i zaciągnął je za sobą. Faree tak drżały ręce, że omal nie upuścił pakietu.

-Hej, ty! Usiłujesz to wziąć bez płacenia? Nie z Ryssem Onvetem takie numery, o nie. Zaraz wezwę strażnika miejskiego. Może dla was, pyszałków z miasta, jesteśmy smieciami, ale mamy swoje prawa. Nie jesteśmy nigdzie notowani.

-Ależ oczywiście. - Faree zorientował się, że po jednej jego stronie staje Zakatianin, a po drugiej Maelen i kosmiczny wędrowiec. - Moj przyjaciel chce dokonać zakupu. Czekaj, żebyś zwrócił na niego uwagę. Muszę przyznać, że ten magik jest świetny, rzeczywiście doskonały. A teraz, jeśli zechcesz przejść do interesów, ile moj przyjaciel jest ci winien?

Mężczyzna miał na czole grubą bliznę wykrzywającą nienaturalnie jego brwi, lecz pomimo przytłaczającego uczucia, jakie biło z pakietu, Faree zauważył, że patrzy na nich zmrużonymi oczami, jakby rozglądał się za czymś lub kims nieobecny.

Musiał szybko podjąć decyzję, gdyż czym prędzej odparł, posługując się mową handlarzy dla podkreślenia wagi swych słów, że nie prowadzi interesów z nieznanymi...

-Czyżbyś więc handlował tylko ze swoimi sąsiadami? - spytała Maelen. - Przez to twój rynek jest bardzo mały i podejrzewam, że niewiele udaje ci się sprzedać.

-Szlachetna Fem - Kupiec powiedział to takim tonem, jak gdyby te uprzejme słowa grzeźły mu w gardle - handluje z wszystkimi, lecz sprowadzam także towary na specjalne zamówienie. Wasz przyjaciel wziął właśnie jeden z nich. Mogłbym także do skargi na niego dodać zarzut kradzieży, ponieważ rzecz, którą zabrał, w ogóle nie jest na sprzedaż.

-Nie? Spojrz na mnie, handlarzu, i na mojego przyjaciela. - Maelen nieznacznie wskazała Kripa Vorlunda. - Czyżbys nie sprzedał nam niedawno pewnej ciekawostki, która w rzeczy samej była towarem dużo lepszej jakości niż wszystko, co tu wystawiasz?

Mezyczyna otworzył usta, jakby chciał natychmiast jej zaprzeczyć, lecz potem spojrzał za nich, jak gdyby oczekiwał stamtąd pomocy.

-Czy to prawda? - nalegała Maelen.

Kupiec kaszlnął i rozmasował gardło, jakby polknął coś, czego nie mógł wypluć.

-Tak - odparł głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

-Ssensowna odpowiedź - Zakatianin tak zasyczał, że Faree przez chwilę sądził, że towarzyszy jakimś wielkiemu gadowi. - Co to jest? - Podszedł do młodzieńca i bez trudu wyjął pakiet z jego dłoni. - Ssskarb? Powinieneś go więc zadeklarować... - Sycząc coraz wyraźniej, bez wysiłku podważył pazurem wierzchnią warstwę opakowania i jednym szarpnięciem odsłonił zawartość pakietu.

Faree już wiedział, co zobaczy. W środku znajdowały się dwa kolejne kawałki połyskliwego materiału ze skrzydeł. Jeden był czerwono-brązowy ze smugami w kolorach ciepłej żółci i pomarańcza. Drugi zaś...

Zielony, w rozmaitych odcieniach zieleni, nie tak ciemnych, jak te, którymi pyszniły się jego skrzydła; jaśniejszych.

Nie zielony - czerwony! Cały świat poczerwieniał. Faree wydał dziwny okrzyk, jaki nigdy dotąd nie wydarł się z jego ust, i wyciągnął ręce - nie po to, aby pochwycić to, co trzymał Zakatianin - lecz żeby zacisnąć dłonie na szyi wylaniającej się z poplamionego kołnierza zhańbionego mundurku, aby wbić palce w brudne czerwone ciało handlarza i dusić, dusić, dusić!

ROZDZIAŁ 3

-Precz ode mnie...! - Kupiec unosił rękę. Skądś wziął pasek, którym ciasno owinał palce; jego metalowe płytki najeżone były ostrymi kolcami. Przyczaił się za wypaczoną ladą z rozłożonym towarem i wymachiwał uzbrojona ręka. Czerwona mgła przycmiewająca oczy Faree nie rozwiała się, lecz niespodziewanie poczuł na ramionach ciężar dłoni, a w jego umyśle pojawił się zakaz działający tak skutecznie, jak gdyby oplatała go sieć myśliwego. Mogł myśleć i patrzeć na to, czego pragnął, lecz ręce trzymające go za ramiona wlekły go do tyłu, a szybko umieszczona w umyśle bariera uczyniła go bezradnym - chociaż nie aż tak bezradnym, żeby nie zdążył pochwycić skrawka zielonego skrzydła.

Potem odwrócono go i pchnięto w głąb krotkiej uliczki wiodącej w stronę portu. Z czasem ucisk rozluźnił się na tyle, aby mógł sam stawiać kroki, jeśli tylko szedł przed siebie, a nie w stronę kramu handlarza. W duszy jednak czuł zamęt, wprawdzie podsycany przez gniew, a potem przez strzępy faktów, które z pewnością nie były jego wspomnieniami!

Wzgorza nad zieloną równiną nikiły w srebrzystej mgielce; nie dojrzał słońca, a jednak skądś była jasność. Widział tylko strzępki obrazów, znikające, zanim zdążył się na którymkolwiek skupić. W nozdrzach czuł rozliczne zapachy, zabijające smród zaulka, jakim go prowadzono.

W tej zielono-srebrnej krainie zapadła nagle ciemność. Domyslał się, że nie była to prawdziwa burza. Jeśli rzeczywiście patrzył czyimiś oczami - przeżywał czyjeś wspomnienia - w owych wspomnieniach nadleciał potężny wir zła i zdmuchnął wszystko, czego był świadkiem. Nie potrafił dostrzec źródła tego zła. Poczuł tylko... wprawdzie ukłucie ciekawości, tak bolesne, jakby rzeczywiście ugodził go ostry nóż. Obawiał się o swoje życie, lecz co gorsza, także o życie tej, której nie widział, lecz która była częścią jego samego nie mniej niż ręka albo serce...

Wkroczył do krainy snu, nieswiadomy tego, czy ktoś mu towarzyszy, wiedząc tylko, że śmierć ruszyła na łowy, a on musi stanąć między myśliwym i jego ofiarą.

Potem... po raz ostatni przeszył go ból. Wydawało mu się, że krzyknął, cały czas próbując spojrzeć w twarz temu, co się za nim skradło. Teraz jednak panowała nieprzenikniona ciemność. Kiedy się w niej pograżył, zrozumiał, że był zbyt słaby, zbyt mały i niewykształcony. To był mrok śmierci i kobieta się w niej rozplynęła. Zamrugnął i zobaczył przed sobą Brame Niezarejestrowanych Przybyszów w porcie. Obejrzał się za siebie. Ktoś wciąż trzymał dłonie na jego ramionach - Maelen. Obserwowała go bardzo uważnie.

-Co się stało, braciszku? - spytała. Jej głos wydawał się dochodzić z bardzo daleka.

-Śmierć... - odpowiedział prawie szeptem i wytarł dłońmi oczy. Nie było łez, które mogłby ocierać; wciąż kipiała w nim wściekłość. Drugą rękę, określoną strzępką jedwabiu ze skrzydła, wsunął pod pognieciony płaszcz i dotknął koszuli na

piersi. Toggor! Gdzie był Toggor?

Korzystając z faktu, że przyjaciele wypuscili go z uścisku, Faree odwrócił się tak szybko, że peleryna załopotła za nim. Dopiero po kilku sekundach poczuł ostrzeżenie, chłodniejsze i bardziej nieublagane niż jego gniew. Wtedy jednak znajdował się już o kilka kroków od nich wszystkich.

-Toggor! - wysłał myśl, tak jak wołałby na głos przyjaciela, z którym mógł się komunikować tylko mową.

-Tutaj... my... - Cokolwiek smaks chciał dodać, nie zdążył. Została tylko pustka, a Faree ją rozpoznał. Istniały pewne urządzenia, znane zarówno Patrolowi, jak i Gildii Złodziejskiej, potrafiące wygluszyć każde myślowe przesłanie. Aby jednak ich użyć, ktoś musiał podejrzewać Toggora - i samego Faree.

Pragnął zrzucić otulający go płaszcz i wznieść się w powietrze, żeby odnaleźć przyjaciela. Toggor, kiedy nadal to urwane wołanie o pomoc: tym właśnie bowiem był jego komunikat, znajdował się na samym skraju zasięgu.

Faree nie zauważał już swoich towarzyszy. Kontakty, jakie nawiązał myślami w przeciągu minionej godziny, najwyraźniej w jakiś sposób zerwały bliska więź, jaka łączyła go z kosmicznymi wedrowcami i Zakatianinem.

Oni jednak nie stracili kontaktu z nim. Faree zauważył, że ktoś do niego podchodzi i odsuwał się, nie chcąc, by znowu unieruchomiła go przeważająca siła umysłu czy ciała. To była Maelen, lecz nie próbowała ponownie go łapać. Nie odebrał też jej wyraźnego przesłania.

-Toggor - pomyślał szybko, pragnąc dobrze wykorzystać chwilę swobody. - Toggor jest z tym...

-Znaleźli twojego małego przyjaciela? - Myśl Zorora nadeszła gdzieś z tyłu.

-Chyba nie - odparł Faree. Zszedł z równej powierzchni drogi za bramą w kurz, a potem brud odludnej ulicy.

Popatrzył przed siebie. Handlarz i magik - zawsze jakos myślał o nich razem, jak gdyby, podobnie jak Maelen i Vorlund, byli tak ze sobą związani, że ich myśli stapiały się w jeden myślowy głos.

Nikt z jego towarzyszy nie próbował go zatrzymać. Może naradzili się i doszli do wniosku, że zał Faree jest także ich zalem.

Dopoki wąska uliczka nie zakreciła, świeciła za nimi nie-gasnąca luna portu. Później za ich plecami pojawiły się śmierdzące chalupy. Tu i tam jarzyło się słabe światło którejs z wymaganych przez prawo latarni nad drzwiami. Było jednak widac, że żadnej z nich nie pozwolono płonąć pełnym blaskiem lamp, wiszących w miejscu za nieregularnym murem oddzielającym portową dzielnicę od miejsc, gdzie panowało prawo i gdzie można było bezkarnie zadawać pytania.

Po drodze Faree starał się nawiązać kontakt ze smaksem, jednak nie udało mu się. Mimo to był przekonany, że wcześniej czy później trafi na właściwy trop.

Wciąż czuł zapach, który zaprowadził go do tego labiryntu cuchnących zaułków. Teraz jednak starał się nie zwracać na niego uwagi, gdyż chciał, aby jego umysł pozostał trzeźwy, nie zmacony wybuchami wściekłości. Musiał przecież odnaleźć ślady zostawione przez Toggora.

Wszyscy troje byli przy nim, Maelen, Vorlund i Zoror, ale tym razem najwyraźniej nie mieli nic przeciwko puszczeniu go przodem. Oto i rozklekotane podwyższenie czarodzieja. Kilka desek, z jakich je zrobiono, leżało na ziemi, ale nikt nie próbował ich posprzątać.

Faree odwrócił się, żeby popatrzeć na stragan, gdzie handlarz rozłożył swój żaloszny towar. Rzeczy były wymieszane, porzucane, niektóre spadły w błoto na ulicy. Sprzedawca zniknął. Faree - doskonale pamiętającego pobyt w obskurnej dzielnicy portowej - dziwił bardzo fakt, że właściciel porzucił cały swój towar. Zapewne część tych tandetnych artykułów już rozkradziono. Jeszcze na oczach zbliżającego się młodzieńca czyjes rece, bardziej przypominające szponiaste łapy niż dłonie, zgarnęły błyskawicznym ruchem największą stertę przedmiotów, które zniknęły za zaimprovizowanym stołem. Rozległ się szelest, kiedy coś małego i czarnego jak zgnieciony w klebek strzep nocy umknęło w popłochu.

Faree wyciągnął prawą rękę i powoli przesunął ją nad tym, co zostało. Nie wykrył niczego, dopoki nie dotarł do samego skraju lady za stołem. Poczuł przechodzące go ciarki i rozsunął szerzej palce. Wreszcie trafił na trop Toggora. Po drugim kawalku odciętego skrzydła nie było jednak śladu.

Bardzo ostrożnie wyciągnął dłoń nad czymś, co przypominało złamaną kosc, matowobrazowa i uformowana jakimś ostrym narzędziem na kształt noża. Właśnie, Toggor! Unosił rękę i powoli obrócił się, wskazując szerokim gestem zarówno

platforme magika, jak i opuszczona bude.

Tam! Reka Faree zatrzymała się, wskazując odleglejsze zakamarki tej niebezpiecznej dzielnicy.

-Nie znaleźli go. - Był tego pewny. Gdyby smaksa złapano, niewątpliwie by to wyczytał. - Musiał jednak pojsc za handlarzem.

-Przeszukanie takiego labiryntu zaułków i kryjówek nie wydaje się możliwe - zauważył Zakatianin. - Czy odbierasz coś jeszcze?

-Nie - odparł zniecierpliwiony Faree - ale... Ach!

-Przerwał i poprawił się. - On tam jest! Przekazuje jednak tylko emocje.

-Tak, ja też to wyczuwam - potwierdziła Maelen. - Czy zostawi jakiś ślad albo cie poprowadzi...

-Jeśli zdola. Tedy!

-Zaczekajcie. - Vorlund odezwał się po raz pierwszy.

-W pulapkach zwykle kładzie się przynęty. Jeśli chcą cie pojmać, braciszku, czym lepiej mogliby cie zwabić? Być może wiedza, że Toggor podąży za nimi, lecz zostawiają mu swobodę, aby cie wezwac.

-Trafna myśl - zasyczał Zoror. - Nie możemy się zwrócić o pomoc do strażników, ponieważ oni sami nie zaglądają tu po zmroku, a nawet w ciągu dnia nie zapuszczają się daleko. Jeśli ktoś tutaj ginie, odwracają głowy i nie patrzą. Dopóki mieszkańcy tej dzielnicy będą napadać na ludzi swego pokroju, nikt nie będzie ich zaczepiał. Tylko najwięksi ryzykanci odwagiliby się wyjść na ulicę, żeby zabijać albo rabować. Chyba nawet Gildia nie ma tu nikogo poza symbolicznym przedstawicielem.

-Idę po Toggora - odparł po prostu Faree.

-Nie powstrzymamy go od tego! - powiedziała Maelen. - Jeśli jednak zastawili pulapkę na jedną osobę, a zjawia się cztery, i to trochę lepiej uzbrojone niż się spodziewali, czy nie skorzystamy na tym?

Zoror zachichotał.

-Corko, na samą myśl o tym robi się lekko na sercu. Proponuję tylko, żebyśmy szli ostrożnie, a nie maszerowali jak drużyna przybyszów z flagą pokojową nad głową. Nie wiemy, czego szukamy...

Tym razem wtracił się Faree.

-Skrzydło!

-Co masz na myśli? - spytała Maelen.

-Skrzydła - to one mnie tu sprowadziły. Sądzę, że wciąż istnieje więź pomiędzy tymi, których szukamy i ich lupem, a ja go noszę!

-Nie sprzecajmy się na środku ulicy - ponownie zwrócił im uwagę Vorlund. - Wyjdźmy na tyły straganu. Przypuszczam, że jesteśmy nieustannie obserwowani, prawdopodobnie od chwili opuszczenia Miejsca Prastarej Wiedzy. Mimo to powinniśmy zachować wszelkie środki ostrożności.

Faree usłyszał, że Maelen wydała jakiś cichy dźwięk, brzmiący jak zduszony śmiech.

-Coż za mądra uwaga. Miejmy tylko nadzieję, że nie wpadniemy do jakiegoś dołu ze smieciami i nie udusimy się od smrodu.

Zanim skończyła mówić, Faree był już po drugiej stronie kontuaru. Ledwo zszedł z drogi, kiedy pozostali poszli jego śladem.

-Co możesz nam powiedzieć o tych skrzydłach - jesteś pewny, że to ich skrawki? - zaciekała się Maelen.

-Jestem - odpowiedział krótko Faree. - A ci, do których należały... - Przelknął dwukrotnie ślinę, jak gdyby walczył z uczuciem, jakie wzbudziła w nim ta myśl. - Oni nie żyją.

Zadne z nich sie nie odezwalo. Byc moze ton jego glosu sprawil, ze nie odwazyli sie zaprzeczyc.

Byli na zapleczu, szli gesiego ciasna alejka miedzy dwoma rzedami odwroconych od siebie straganow. Faree skupil sie wylacznie na poszukiwaniu.

Na koncu waskiego zaułka, w ktorego smierdzacym grzaskim podlozu zapadal sie prawie po kostki, stanal na chwile i obrocil lekko glowe, jakby sluchal czegos, co wszyscy mogliby uslyszec. Potem skrecil w szersza uliczke, prowadzaca w kierunku srodka labiryntu. Wciaz nie znalazl Toggora. Pomimo smrodu znow wyczul jednak leciutki zapach rozdartych skrzydel. niespodziewanie odwrocil sie do Maelen i wyciagnal ku niej reke, podczas gdy druga owinal sie szczelniej peleryna.

-Daj mi ten drugi kawalek! Ten, ktory wczesniej kupilas.

Bez zbednych pytan otworzyla dluga kieszen na udzie kombinezonu. Rozlegl sie szelest, a potem Faree dotknal kawalka jedwabistego materialu. Poczul i zobaczyl - choc nie padalo tu nawet przycmione swiatlo latarni straganow - nikla poswiata, otaczajaca skrawek skory. Owinal nim sobie nadgarstek. Kiedy scisal mocno w garsci oba te kawalki, poczul znow prowadzacy go impuls, lecz tym razem nie wyslal go Toggor. Mial wrazenie, ze zielony pasek materialu sam zacisnal sie wokol jego reki. Poczul przenikliwe zimno, plynace od niego w gore wzdluz ramienia i w dol, az do palcow. Skrawek byl martwy, nalezal niegdys do tych, ktorzy dzis juz nie zyli, lecz zarazem w jakis sposob byl zywy. Wiedzial tylko, ze dziala razem z nim, moze nawet dla niego. Przebiegl przez szersza ulice i znow skrecil w bardzo waski zaułek. Musial obracac sie bardzo ostrocznie, zeby zmiescic w nim skrzydla. Pasek na jego nadgarstku swiecil coraz jasniej, a moze to on bardziej ufal jego wskazowkom?

-Tutaj! - Cofnal sie o krok i przycisnal do ciala nadgarstek z opaska. Vorlund zblizyl sie bezszelestnie.

-Tu sa drzwi - oznajmil kosmiczny przybysz. - Tworza calosc ze sciana - nie widze klamki i nie wiem, jak je otworzyc.

-Pozwol, bracie. - Teraz nadeszla pora, aby Zoror mogl sie wykazac. Faree dostrzegl wiekszy cien, zblizajacy sie do Vorlunda. Na tutejszych ulicach zawsze panowal gwar, zwlaszcza teraz, kiedy zapadl zmierzch i wiekszosc osob, przemykajacych w mroku lub paradujacych bezczelnie, rozpoczynala kolejna noc przyjemnosci lub ciemnych interesow. Uslyszal cichy zgrzyt i domyslil sie, ze Zoror probuje na wlasny sposob otworzyc drzwi w murze.

-Prosssste. - Zakatianin znizyl glos do syku, ktory wsrod jego rasy uchodzil za szept. - Bardzo proste... Juz!

Nagle zniknal. Faree zdazyl jedynie dostrzec w gasnacym blasku szarfy, jaka nosil na reku, ze najwyrazniej przeszedl przez drzwi albo sciane, jak gdyby byly zludzeniem, a nie prawdziwa przeszkoda. Sam szybko poszedl w jego slady. Zobaczyl przed soba ciasny korytarz, lecz co najwazniejsze, po lewej stronie waskie, nadwerezone schody. Swiatlo rzucala zawieszona nad ich glowami kula. W jej wnetrzu pelzaly swietliste owady, snujac jasne, blyszczace nitki.

Schody byly waskie i bardzo strome. Faree zastanawial sie, czy zdola po nich wejsc, wciaz owiniety peleryna. Opuscil skrzydla i zwinal je najciasniej jak mogl, lecz i tak zawadzaly mu bardziej niz wypuklosc, ktora je kiedyś miescila i czynila z niego garbusa.

Do jego glowy wdarl sie nagle impuls myslowy. Toggor! Moze smaks przez caly czas usilowal sie z nim skontaktowac, lecz wczesniej przeslanie nie moglo do niego dotrzec.

-Tutaj... niedobry... niedobry... - Identyfikacja i ostrzezenie. W tej samej chwili Maelen zlapala Faree za pole plaszcza i zatrzymala go.

-Jeszcze nie... - szepnela jak Zoror, chociaz posluzyla sie mowa myśli. - Schowajmy sie tutaj!

Faree stanal. Mogl juz namierzyc Toggora i wzmocnil z nim kontakt. Zakatianin juz wchodzil po schodach, stapajac bezglosnie jak wszyscy przedstawiciele jego rasy; Vorlund podazal tuż za nim. Faree sprobował penetracji myśli. Napotkal tylko cisze - przyjaciel nie sluszał w ogole, a myśli oddalonych osob byly dziwnie stlumione. Nie po raz pierwszy stykal sie z aktywna bariera psychiczna, chociaz z pewnoscia bardzo przydalaby sie mieszkancom tego brudnego gaszczu gnijacych budynkow i bagnistych uliczek.

Natychmiast przestal wysylac myśli. Czyzby ich ostrzezono - a podejrzewal, ze rzeczywiscie tak sie stalo - wiec kazdy, kto ich sledzil, musial uciszyc swoje myśli? Czyzby odebrali komunikat smaksa i teraz ich czworo faktycznie wchodzilo w pulapke?

Schody zaprowadzily ich do korytarza na gorze, gdzie sciany wydawaly sie solidniejsze i czystsze. Po jednej stronie znajdowaly sie dwie pary drzwi, a po przeciwnej jedne, wszystkie zamkniete. Pomimo to dobiegl ich szmer glosow. Zoror

bezszelestnie zbliżył się do najdalszego pokoju i przyłożył dłoń do drzwi; wcześniej Faree dostrzegł w niej jakiś niewielki dysk. Przycisnąwszy przedmiot do drzwi, jaszczur wyciągnął do tyłu drugą rekę i mocno scisnął dłoń Vorlunda; on z kolei chwycił za rekę Maelen, a ona Faree.

Słyszał! Do tego czasu nie powinno go już nic dziwić. Wyteżył więc słuch, aby nie stracić ani jednego ze słów, padających w tym pokoju.

-Tak było. - Docierający do nich w ten sposób głos, wyprany był zupełnie z emocji. Równie dobrze mógł być nagraniem puszczanym z taśmy. - Dzisiaj wieczór był na Ulicy Malowanej. Mówię ci, że Varis udzielił właściwej informacji.

Wciąż słyszeli tylko szept tej drugiej osoby. Mówiła głębokim wyraźniejszym głosem, lecz trudniej go było zrozumieć: wymawiała słowa, których szpiegowski dysk Zorora nie wychwytywał.

-Były z nim trzy osoby... Szept.

-Zakatianin! Nie rozkazałbyś chyba napisać na niego? Zapewniam cię, był uważnie obserwowany. To ten szal go zwabił i niemal nie udało mi się go łatwo złapać. Ale nie przy Zakatianinie. O tych pozostałych też się wiele mówi, podobno mają jakieś moce.

Szept.

-Tak, najwyraźniej się domyślił, wpadł w straszny szal. Podobno oni nigdy nie opuszczają planety - coż, ktokolwiek tak twierdził, złożyłby też przysięgę Zambutowi, a potem napluł w tłustą gebę jego bogu!

Szept.

-Czy jestem pewny? Tak, jestem. Mogł wciąż jeszcze otrząpywać z ramion dymny pył Czerwonych Wydm. Nosił pelerynę, a pod nią miał skrzydła! Mówię ci, skrzydła! Słyszales raport, widziałes wirozapis. On jest jedyny w swoim rodzaju i przebywa z dala od swojej planety - tutaj nie może nam splatać żadnego figła. Złap go, a bez trudu znajdziesz te swoje płynące wstecz rzeki i skarb starego Saptala. Oni wszyscy znają te tajemnice, jeśli ja właśnie chcesz poznać.

Szept, który przerwał wypowiedź.

-Próbowaliśmy już tego wcześniej... widziałes meldunki. Oni wola umrzeć niż mówić i prędzej z własnej woli popadną w obłęd niż wyjawia prawdę. Złap go i...

Maelen odwróciła głowę w stronę schodów, po czym lekkim szarpnięciem ostrzegła Vorlunda, który z kolei w taki sam sposób zawiadomił Zorora. Zakatianin odsunął się od drzwi, lecz nie wypuścił dłoni Vorlunda. Cofnął się w głąb korytarza i trzymając dysk między dwoma palcami, pchnął drugie drzwi. Uchylił je i wszedł do niewielkiego pokoju. W świetle kolejnej kuli z owadami zobaczyli tylko łóżko, waskie i nie poscielone, niewielki stolik i dwa krzesła. Powietrze wydawało się stęchłe. Zoror puścił rekę Vorlunda na dość długo, żeby zamknąć drzwi za nimi i szerokim gestem pokazać większość tego, co znajdowało się po tej stronie pokoju. Potem podszedł do ściany dzielącej ich od izby, gdzie znajdowali się rozmawiający. Kiedy Maelen na moment puściła jego dłoń, Faree zawiązał drugi strzepek skrzydła na tym, który już miał na nadgarstku.

Gdy znów chwycili się za ręce, usłyszeli dalszy ciąg rozmowy.

-Mów więc! Jeśli tak trzeba, potrafisz to zrobić?

Szept.

-Spróbuj więc!

Na zewnątrz rozległy się kroki. Ktoś, kto nie miał powodu obawiać się osób w pokoju na końcu korytarza, minął właśnie ich drzwi, zdążając do sąsiedniej komnaty.

-To ja, Gulde. - Trzeci głos. Potem znów go usłyszeli, tym razem niewatpliwie z wnętrza pokoju.

Szept.

-Coś mi obiecywałeś, szlachetni panowie. Trzy sztuki za to, aby was osłaniać podczas pojmania...

Znów wtracił się szept.

-To nie ja zawiodłem, czcigodny. Zrobiłem, co miałem zrobić. To nie moja wina, że pozostali nie potrafili wywiązać się ze

swoich obowiazkow. Ty, szlachetny panie... a to co jest!

-Niedobry... niedobry... - Toggor wysylal komunikaty z szalencza intensywnoscia, jakiej mlodzieniec nie slyszal w jego myslach, odkad smaks zostal wypuszczony z klatki i uwolniony od tortur Russtifa, od kiedy zaczelo sie lepsze zycie dla niego i dla Faree.

-Zlap go, ty kretynie! Po co go tu przyniosles? - Szept stal sie normalna mowa, niekodowana przez zadne urzadzenie.

-Ja przynioslem? - To musial byc handlarz. - Nawet go nie widzialem. W tych zbutwialych scianach moze kryc sie jeszcze wiele dziwnych stworow. Kto moze zlozyc Wielka Przysiege, ze statki ladujace tutaj nie przywoza czasami czegos nie wymienionego w spisie ladunku? To tylko jakies... zwierz. Rozdepcz je...

-To klucz - powiedzial gleboki glos, a potem znow znizyl sie do szeptu. - Ten stwor myśli. - Tyle dalo sie zrozumiec z niskiego pomruku.

-Wiec mozemy byc w ten sposob szpiegowani, czcigodny. Pozwol mi go rozdeptac... - Glos magika drzal.

Szept.

-Przyneta, czcigodny? Czy to mozliwe, aby to byl ich towarzysz, a nie jakis stwor ze statku?

Szept. Potem rozlegl sie myslowy wrzask Toggora, tak przerazajacy i ohydny, jak te, jakie smaks zwykl wydawac, kiedy Rustif uzywal oscienia, zeby go poslac do walki.

Toggor! Faree przerwal lancuch komunikacji i ruszyl w strone drzwi. Wscieklosc, w ktora juz raz wpadl tego dnia, znow w nim wzbierala, tak ze przestal zwazac na bezpieczenstwo i myslal tylko o tym, zeby ocalic przyjaciela.

Toggor znow krzyknal. Vorlund zagrozdil Faree droge do drzwi. Zlapal go za obie rece i trzymal je w bezlitosnym uscisku. Mlodzienc nie mial szans, aby sie z niego wywinac. Ale... Toggor!

Kiedy wydzieral sie daremnie z rak kosmicznego wedrowca, zadrzal i wygial cialo do tylu tak, ze peleryna spadla na podloge. Jego twarz wykrzywil grymas bolu.

Zza drzwi albo scian dobiegl przerazliwy, swidrujacy w uszach dzwiek, ktory rozlegl sie w calym domu. Faree zastyl, przepelniony nieznosnym bolem, promieniujacym od glowy i rozchodzacym sie po calym jego drobnym cialku. Teraz, kiedy nie mogl zapanowac nad swoim cialem - albo umyslem -jego skrzydla drgnely, gotowe sie rozwinac.

Slyszal i widzial, lecz reszta jego zmyslow zostala zamknieta w jakimś strasznym pojemniku, tak jak uprzednio jego skrzydla. Zachwial sie na nogach, kiedy Vorlund na chwile wypuscil go z uscisku. Maelen zrobila krok w jego strone; widzial ja tylko katem oka. Zakatianin podszedl blizej do muru. Zerwal kontakt z pozostalymi i przyglinal do brudnej sciany, trzymajac dlon miedzy krazkiem a swoja glowa. Machnal druga reka, niewatpliwie dajac im znac, aby zachowywali sie cicho i zostali na swoich miejscach. Faree z paniki zaschlo w gardle. Nawet gdyby Zakatianin nie zasygnalizowal, aby zachowali cisze, nie moglby sie przebic przez otaczajaca go teraz bariere. Vorlund objal go mocniej, nie pozwalajac mu upasc.

Toggor! Faree zmrozil strach, ze rzeczywiscie wpadli w pulapke, lecz pomimo to najpierw pomyslal o smaksie. Tak sie przestraszyl, ze sprobował kontaktu myslowego. Natychmiast dostrzegl w poblizu jakis ruch, to Maelen przycisnela mu rece do glowy, tuz nad uszami.

Teraz nic nie widzial! Smugi jaskrawego swiatla tanczyly mu przed oczami jak blyskawice nad wzgorzami Yiktor. Maelen byla madra kobieta swego ludu i wiele wiedziala, lecz zeby posluzyc sie ta wiedza przeciwko niemu... Nie, Toggor byl lepszym przyjacielem od wszystkich innych na tym swiecie. Na chwile buchnal ogien - dosc goracy, aby przedrzec sie przez paralizujace go zimno. Zobaczyl szarfy, ktore owinal sobie wczesniej wokol nadgarstka. Na krawedziach skrawkow skrzydel tanczyly iskry - biale, zielone, a na samym koncu jaskrawozolte jak slonce. Energia ich przebudzenia przeszyla jego cialo.

ROZDZIAL 4

Przez cale zycie Faree postepowal rozsadnie i uciekal przed niebezpieczenstwem. Fakt, ze calkiem niedawno wyrosly mu skrzydla, niewatpliwie dodal mu pewnosci siebie, lecz zeby stawic czolo wrogowi duzo wiekszemu i bardziej muskularnemu, wrogowi, ktory walczyl na swoim wlasnym terytorium i przypuszczalnie mogl wezwac na pomoc wszelkiego rodzaju sily... Tylko tym razem jego bezwladne cialo nie sluchalo glosu rozsadku. Nie mial sil, zeby rzucic sie na Vorlunda, zepchnac z drogi tego wysokiego, zaprawionego w boju kosmicznego wedrowca i pospieszyc z pomocą Toggorowi. Wciaz stal jak oniemiały w petach tajemniczej sily, jakie nalozyl na niego ten gwizd. Jak sparalizowany pozwolil

ustawic sie miedzy Vorlundem i Maelen, tak ze znow wszyscy troje trzymali sie za rece, a Zakatianin nasluchiwal.-Czy to pomieszczenie jest wyciszzone? - Pytanie zadal magik. Zdradzilo go lekkie syczenie mowy handlarzy.

-Czy wygladamy na bezmozgcie robaki mulowe? Tak, jest wyciszzone, chociaz zaczynam sie zastanawiac...

Szept ucichl po raz drugi i uslyszeli zrozumiala mowe.

-Tak, zastanawiam sie... chyba nic nas tu nie moze zaskoczyc... a moze to rowniez nieprawda? Jaki podroznik moze oценic niezwykle moce i sposoby obrony nowego swiata? Milczec!

W tym momencie Faree zaczęło gnieć coś nowego. Krepujące go wiezy mocy zluszczyły się, jakby były blona, a on mógł zedrzyć ją ze swojego ciała. Uczucie, które ogarnęło go na dźwięk gwizdka, osłabło i częściowo ustąpiło. Żółte światło szarf na jego nadgarstku biegło w dół skali barw: zielone - brązowe - czerwone, a potem zapłonęło czerwienią tak prawdziwą jak kolor świeżo przelanej krwi. W głowie słyszał dziwne dudnienie, jakby beben albo grzechotka wystukiwały szyfr, podczas gdy szkarłatna opaska migotała.

Vorlund znow poluzował uścisk, lecz Faree i tak brakowało siły niezbędnej do tego, żeby wyrwać mu się z rąk. W połączonym świetle opaski na swoim nadgarstku i pojedynczej słabej lampy spostrzegł, że wszystko pulsuje w takt tego werbla. Z początku sądził, że kołysze się na boki w tym samym rytmie, lecz potem zobaczył, że Maelen, Zoror i nawet Vorlund zjednoczyli się z nim i tym dudnieniem. Wargi Vorlunda poruszały się; być może mężczyzna coś mówił, lecz werbel w głowie Faree zagłuszał wszystkie dźwięki z zewnątrz - pozostał tylko rytm beben.

Pierwszy zareagował Zakatianin. Siegnął do zawieszanej na pasku sakwy i wyciągnął nie jeden z noży zakazanych przybyśsom z innych planet, lecz coś, co przypominało raczej zakrzywiony i błyszczący pazur, dwukrotnie większy od tych, które wyrastały z jego palców.

Srebrny szpon usiany był błękitnymi kropeczkami, skrzacymi się niczym klejnoty. Odsunawszy się od ściany, Zoror posłużył się nim jak prawdziwym nożem. Wykonał kilkanaście wymachów w powietrzu, jak gdyby walczył z jakimś niewidzialnym wrogiem. Zakrzywiona brzoń zaczęła zmieniać kolor, kawaleczki wprawionej w nią błękitnej substancji przybrały ciemniejsze i bardziej zdecydowane odcienie, zupełnie jak wcześniej szarfy. Choć wyraz luskowatej twarzy Zakatianina był trudny do odgadnięcia dla kogokolwiek spoza jego rasy, łatwo dawało się odczytać wyraz jego oczu - błyszczący z zaciekawienia, jakby jego uwagę przyciągnął jakiś nowy fragment wiedzy i zamierzał poznać wszystkie tajemnice, jakie mógł.

Maelen wyciągnęła przed siebie ręce, obróciła je wewnętrzną stroną dłoni w dół i prostowała jeden palec po drugim, aż rozsunęła je maksymalnie na kształt wachlarza. Przyglądała się uważnie każdemu z nich po kolei, jakby się upewniała, czy wciąż ma wszystkie

Faree poczuł na nadgarstku coś mokrego. Spojrzał w dół. Na podwójnej opasce perlily się krople jakiejś cieczy, jakby przed chwilą wyjął ją ze strumienia albo stawu. Tylko że to, co z niej spływało, nie było przejrzystą wodą, raczej różowa piana, gestniejaca i ciemniejaca. Krew! Z pewnością była to taka sama krew, jaka mogłaby się saczyć z opatrunku na ranie. Kapąca, lecz rozplywała się w banieczki mgły, zanim znalazła się na poziomie kolan Faree.

Wydawało się, że wypełnia powietrze, gdyż najwyraźniej czuł jej smak i zapach.

Teraz z opaski uciekały kolory. Szarfa zmarszczyła się, kiedy wykwitły na niej szare plamy. Potem obie jej warstwy skurczyły się i zluszczyły jak płyty spalenizny. Na jego ciele został ślad, czerwony jak po oparzeniu. Znikło to, co trzymało go w niewoli, wiązka myśli Faree znow ułożyła się w sensowne komunikaty.

Toggor! Wysłał myśl, poszukując przyjaciela.

-Niedobry... - odebrał bardzo słaby i cichy impuls. To, co rozległo się później, wszyscy usłyszeli wyraźnie, tym razem nie potrzebując dysku ani złączonych dłoni. Nie był to krzyk wysłany przez umysł, lecz wydobywający się z gardła.

-Auuuu!

Toggor! Nie, to nie on wrzeszczał. Przekazał raczej kolejny impuls myślowy: wrażenie, że ktoś go mocno ściska, a potem nim rzuca...

-Kretyn! - Usłyszeli głosnie warkniecie. - Spaquet! - Przed ich oczami stał zamazany obraz bladego zwierzęcia taplającego się w rzadkim błocie.

-Malenki ugryzł kogos - zasyczał cicho Zoror, chowając srebrny pazur do sakwy przy pasku. - Chyba tego, który był

pajakiem w tej sieci. Jaka bronია dysponuje Toggor, braciszku?

-Ma jad na szczypcach przednich odnoży. - Musialo byc go teraz duzo, poniewaz Faree nigdy nie probowal usuwac tej rzadkiej, zoltej cieczy, jaka Rustif zawsze wyciskal ze szponow smaksa, kiedy trzymal go w niewoli.

Zakatianin bezglosnie przeszedl przez pokoj i Vorlund odsunal sie na bok, zeby przepuscic go do drzwi.

-Wiec osoba zaatakowana umrze? - Odsunal mlodziencia od kosmicznego wedrowca i przyciagnal go blizej do siebie.

Faree rozcieral rece i poruszał barkami, dokladajac wszelkich staran, aby zwinac skrzydla w tobolek, ktory znow daloby sie nakryc peleryna.

-Czy on umrze? - powtornie spytal Zakatianin. Mlodzienciec potrzasnal glowa. Czul sie tak zmeczony, jakby caly dzien maszerowal przez bagno Nexusa. Nawet utrzymanie sie na nogach wymagaloby wielkiego wysilku woli, a co dopiero skupienie uwagi na tym, co moglo dziazac sie w drugim pokoju.

-Nie wiem - odparl. - Dla pewnych form zycia trucizna moze nie byc smiertelna. Istnieja tak wielkie roznice... - Umilkł, masujac pietno na nadgarstku drugiej reki. - To, co moze przyniesc smierc jednemu gatunkowi, dla drugiego moze byc zaledwie ukaszeniem muchy lugk. Toggor! - Przeszedl od slow do sygnalu myslowego.

Nadeszla odpowiedz, lecz nie potrafil jej zrozumiec. Oznaczala jednak, ze smaks zyje.

-Zostaw go, niech lezy. - Zamiast gluchego pomruku znow rozlegl sie wyrazny glos. Cokolwiek maskowalo osoby za tymi scianami, przestalo dzialac. - Nigdy nie podsunal nam uzytecznego pomyslu ani w niczym nie pomogl. Wracaj natychmiast do tej nory, w ktorej sie zaszył, i przyprowadz mi... -Potem rozlegly sie nie slowa, lecz seria trzaskow.

-Oni moga mnie szukac, czcigodny. - Glos przypominal skomlenie i z pewnoscia nalezal do magika.

-Skoro tak, to lepiej zebys nie dal sie zlapac, czyz nie taka jest prawda? Pamietaj, ze mamy sposoby, aby nie dostac sie do niewoli - cialo moze wpsc w rece nieprzyjaciol, ale umysl... to juz zupełnie inna sprawa. Widziales to juz kiedyś, prawda? Pewien wlasciciel statku z Kregu...

-Czcigodny, nie... pojde. A co z tym stworem, ktory zrobil to Guldeowi? Nie powinniśmy go poszukac i...

-I zginac? Najwyrazniej bardzo ci sie dzis spieszy, zeby sciagnac na siebie nieszczescie, loque. Mozna by pomyslec, ze sam miales pomysl, aby bezpiecznie posluzyc sie tym potworkiem.

-Nieprawda!

-Mowisz to tak, jakbys skladal Przysiege Krwi Serdecznej, loque. Jesli wiec nadal trzesiesz sie ze strachu, rozejrzyj sie na dole pod oknem. Tam wyskoczyl ten stwor. Rozgniec mu glowe obcasem...

-Sam przeciez mowiles, szlachetny panie, ze to stworzenie moze przyprowadzic do nas tego, na kim nam zalezy. Czy zwiadowca nie przysiegal, ze ono nalezy do tego, ktorego sledzilismy?

-Przynajmniej masz dobra pamiec, loque. Mozesz z nim zrobic, co zechcesz. Nie jest nam juz potrzebny.

-Jak...

-Bardzo prosto - powiedzial glosniej mezczyzna, jakby zamierzal przemawiac do publicznosci. - Tak!

Faree padl na kolana, czujac, ze jego kosci nagle staly sie zbyt miekkie, aby go utrzymac. Tak jak uprzednio, ugrzazl bezradnie w jakiejś niewidzialnej sieci, oplatajacej tak z zewnatrz, jak i wewnatrz.

Maelen chwycila go i podtrzymala, znow kladac mu dlonie na ramionach. Od koniuszkow jej palcow poplynela w glab jego ciala nowa energia. Zesztywnial z jekiem, kurczowo trzymajac sie tego, co mu dala.

W glebi ducha znow toczyl walke. Musial znalezc zrodlo tej slabosci - nawet gdyby mial pelzac na czworakach - tej uleglosci, ktora byla mrocznym pragnieniem, i zwalczyc ja resztkami sil, jakie jeszcze mial, otrzezwiony i uzbrojony przez Maelen, zaszczepiajaca mu wiare we własne sily.

Pokoj zniknal, jakby zmieciony reka olbrzymia. Porwal go barwny wir i samo to sprawilo, ze mogli myslec... albo czuc... albo... co to bylo... snic?

Po niebie latały skrzydlate istoty. Kiedy nurkowały i wzbijały się w górę albo lądowały obok niego, ogarniało go uczucie wielkiego spokoju - albo może tylko jego cień - i miał wrażenie, że jest częścią jakiejś nieprzemijającej sprawy, nieznającej klęski, która była, jest i zawsze będzie!

Nie widział twarzy tańczących z wiatrem i na wietrze; gdy próbował przyglądać się im dokładniej, wydawali się spowici migoczącą mgłą. Nie wątpił jednak, że należy do nich i tam jest jego miejsce. Pragnął rozłożyć skrzydła, wzbic się w niebo i stać się prawdziwym współuczestnikiem ich zabawy, tańca albo ceremonii. Musiała mieć ona wielkie znaczenie i wymagała jedynie skupienia, aby zdradzić prawdę ważniejszą niż wszystko, co znał dotychczas.

Jak długo przebywał w tej krainie kolorów, życia i spokoju? Jeśli tylko kilka chwil, to miała ona moc panowania nad czasem rządzącym w znanym mu świecie.

Nagle powstało zamieszanie i skrzydlate istoty zebrały się, aby spojrzeć na niego, jakby dopiero przed chwilą uswiadomiły sobie jego obecność.

Wiatr przywiewał od nich kolorowe pasma, wirujące wokół niego, lecz nie dotykające jego ciała. Zamiast tego tworzyły wzor, w którym z kolei tańczyły migoczące punkciki. Iskierki nie latały bezcelowo, lecz zawisały w powietrzu, aż jego oczom ukazał się wyraźny rysunek. Bilo od niego inne światło, zielone i białe poswiata. Każdy z tych punkcików po kolei zatrzymywał się i wisiał przed nim nieruchomo, a wtedy rozumiał, chociaż nie miał pojęcia, skąd o tym wie, że musi tego użyć...

Kolor, miejsce, tancerze... znikli! Co widział oczami albo umysłem? Nie miał pojęcia. Wiedział jednak, że to, co zobaczył, istniało naprawdę; teraz narastał w nim nowy ból, podobny do dobrze znanego głodu, towarzyszącego mu w ponurych dniach poprzedniego życia.

-Chodź... - Kto to powiedział? Jeden ze skrzydlatych? A może rzeczywisty głos docierający do jego uszu? "Chodź... tam..." Tak, z całego serca pragnął tam pojsć.

Jednakże w chwili, gdy uswiadomił sobie istnienie tego miejsca poza ciemnością, zdał sobie sprawę, że coś go trzyma. Tym razem nie były to psychiczne wiezy, lecz raczej nacisk rak. Zamrugał kilka razy i stwierdził, że znowu znajduje się w pokoju, mając za plecami Maelen, a przed sobą Zorora, przyglądającego mu się z wyraźną, troską w wielkich zielono-złoty oczach. Straszliwe zmęczenie, jakie przedtem odczuwał, ustąpiło. Ogarnęła go natomiast ogromna chęć, aby ruszyć w drogę - sam jeszcze nie był pewny, gdzie; wiedział tylko, że musi zaspokoić ten nowy głód.

Jego prawa dłoń drgnęła. Reka uniosła się i palec wskazujący wymierzył w drzwi, podczas gdy z pietra zostawionego przez szarfe na jego ciele zaczęło wydobywać się ciepło, a nawet lekka poswiata.

-Co... - Vorlund odezwał się pierwszy.

-Nie! - Zorora potrząsnął głową, rozwijając w pełni kryzę na karku. - Później będzie czas na pytania i odpowiedzi. Na razie poszukamy bezpiecznej drogi powrotnej. Możesz iść? - Ostatnie zdanie skierował do Faree.

Roztrzesiony młodzieniec poruszył się w uścisku Maelen. Kobieta pomogła mu wstać.

Faree pokręcił głową, starając się odzyskać równowagę, gdyż świat wokół niego kołysał się i migotał.

-Może iść, ale jest jeszcze Toggor.

-Zawołaj go - odparł Zakatianin. Faree wysłał psychiczny sygnał, od tak dawna tworzący pomost między ich umysłami. Prawie nie wierzył, że nadejdzie odpowiedź. Mimo to usłyszał sygnał silniejszy od tych, którymi się poprzednio posługiwał w celu odnalezienia przyjaciela.

-Na zewnątrz... czekac... na zewnątrz. Duży... wyrzucił przez dziurę... na zewnątrz... - Nigdy jeszcze nie odebrał tak długiego komunikatu, był jednak pewny, że wysłano go w szczerzej intencji, a nie po to, aby zwabić go w pułapkę.

Vorlund podszedł do drzwi. Uchylił je i nasłuchiwał, zapewne zarówno uszami, jak i umysłem, czy nie grozi im znowu jakieś niebezpieczeństwo. Obejrząwszy się przez ramię, pokiwał głową i szybko wyslizgnął się na korytarz.

Nie usłyszeli ani nie wyczuli niczyjej obecności. Mimo to Vorlund nie ruszył w stronę schodów, co Faree zauważył, kiedy poszli w jego ślady. Sunął wzdłuż ściany, podkradając się do zamkniętych drzwi drugiego pokoju. Maelen wyciągnęła rękę i klepnęła Zorora w nadgarstek, lecz Zakatianin nie zareagował. Wszyscy nosili miękkie obuwie, nie ciężkie kosmiczne buty z metalowymi podeszwami, nie robili więc najmniejszego hałasu.

Zoror znow przylozyl szpiegowski krazek do drzwi i znieruchomial; pozostali zamarli za jego plecami. Potem szybko kiwnal glowa i lekko pchnal drzwi, pozwalajac im zajrzec do wnetrza wiekszego pokoju. Przez waskie okno wdzielal sie nie tylko ostry smrod smietniska, ale i odglosy osady, bardziej tetniacej zyciem w nocy niz za dnia.

Początkowo Faree sadzil, ze nikogo w nim nie ma i zastanawial sie, jak przebywajacym w tym osobom udalo sie niezauwazalnie przejsc obok miejsca, gdzie sie chowali. Potem zrobil dwa kroki za Maelen i zauwazyl lezace pod przeciwna sciana cialo. Mezczyzna mial obrzmiala twarz z purpurowa plama na policzku i wybaluszone oczy. Martwe oczy! Najwyrazniej na tego szczegolnego wroga jad Toggora podzialal ponad dwukrotnie silniej niz we wszystkich wypadkach, jakie dotychczas widzial.

Vorlund nie interesowal sie trupem. Szybko przeszedl przez pokoj, ominal zwloki i zatrzymal sie przy scianie, pod ktora lezaly. Uniosl rece i koniuszkami palcow wozdil po powierzchni muru.

-Tak, ukryte przejście. - Zoror pokiwal glowa. - Chociaz moim zdaniem wyszli juz dawno.

-Pojdziemy ich sladem? - spytala Maelen. Zakatianin wyciagnal reke ponad ramieniem Vorlunda i poskrobal pazurami poplamiona i luszczaaca sie sciane.

-Chyba nie.

-Toggor... - Faree nie mial zamiaru odchodzic, dopoki nie upewni sie, ze smaks jest bezpieczny. Zwierzatko niewatpliwie zostalo wyrzucone przez te szczeline okienna, co jednak nie oznaczalo, ze tam, gdzie spadlo, nie grozilo mu zadne niebezpieczenstwo.

Mysl zabrzmiala jak glosne wolanie. Na parapecie pojawila sie jakas kula, to smaks gramolil sie przez okno. Dal jednego z tych susow, do jakich jego gatunek byl zdolny w sytuacji zagrozenia, ladujac na piersi Faree. Chwile pozniej siedzial mu juz za pazucha, zwiniety w ochronny klebek, z ktorego wystawalo tylko dwoje oczu na szypulkach.

Faree szybko przelozyl smaksa do bezpiecniejszego schowka w wewnetrznej kieszeni peleryny. Oczy na czulkach wystawaly stamtad tylko na tyle, zeby sledzic poczynania mlodzienia.

Ostroznie szli korytarzem. Swiatlo rzucane przez kule mrugalo, lecz bylo dosc jasne, zeby mogli bezpiecznie zejsc po schodach. Vorlund znow wysunal sie na czolo grupy i pierwszy wygladnal przez lekko uchylone drzwi. Wreszcie gestem dal znac pozostalym, aby poszli za nim. Na twarzach jego i Maelen widac bylo skupienie, jakby szykowali sie do stoczenia walki lub odparcia podstepnego ataku. Teraz Zoror polozyl reke na ramieniu Faree ponizej fald peleryny i pociagnal go za soba.

Znow znalezi sie w blotnistym zauлку i Vorlund przywarl plecami do sciany. Nie mial broni, lecz rece trzymal w pozycji, jaka Faree juz kiedys widzial. Istnialy pewne sposoby ataku i obrony, opierajace sie tylko na sile miesni, rownie skuteczne jak ciosy nozem. Kosmiczni wedrowcy doskonale poslugiwali sie tymi metodami, jak rowniez wieloma rodzajami broni. Osoby rozwazne nigdy nie poddawaly w watpliwosc faktu, ze potrafili odeprzec kazdy atak, ktory nie zaczalby sie od natychmiastowego pozbawienia ich przytomnosc. Tak jak poprzednio Faree sprowadzil tu bezglosny, nie istniejacy teraz przymus, tak teraz cos nakazywalo mu stad odejsc. Walczyl z uczuciem, ze musi podporzadkowac sie dziwnemu poleceniu, wydawanemu przez nieznanomy glos. Czul, ze Toggor kreci sie w kieszeni na jego piersi i do jego umyslu wkradla sie mysl, niewatpliwie wyslana przez smaksa.

-Isć... daleko...

-Idziemy, idziemy stad - odparl myslami, starajac sie nadazyc za Zakatianinem. Maelen szla teraz na czele grupy, a Vorlund z tyłu. Sprawiali wrazenie straznikow eskortujacych jakas niezwykle wazna osobistosc, ktorej zyciu grozi niebezpieczenstwo.

Sam Faree ledwo mogl uwierzyc, ze wycofuja sie bez walki i mial wlasnie zamiar zapytac o to, kiedy Zakatianin przycisnal go mocno do siebie, tak jak uprzednio Maelen. Dostrzegl ruch jego szerokich ust, gdyz szybko przechodzili obok dymiacej pochodni.

-Jestesmy sledzeni. Uwazaj.

Faree wsunal reke za pazuche i poczul, ze Toggor delikatnie chwyta go za palec, nie jadowymi szponami, lecz pazurkami mniejszych lap. Poruszajacy sie ociezalej niz zazwyczaj smaks pozwolil sie wyjac z kieszeni i posadzic na piersi. Gdyby teraz zostali zaatakowani, zwierze bedzie mialo wieksze szanse obrony.

Okazalo sie jednak, ze nie bylo takiej potrzeby. Mineli zburzony stragan handlarza. Przekrzywiona platforma iluzjonisty rowniez zostala za nimi. Przyspieszyli kroku, az wreszcie poczuli pod stopami gladka nawierzchnie w bramie portu.

Wewnątrz palily sie rzesiste swiatla; beda zmuszeni wejsc w ich blask. Jesli nadal ich sledzono, stana sie doskonale widoczni.

Po raz pierwszy Faree odwazyl sie uzyc psychopolacji. Jego myslowy przekaz natychmiast przerwala potezna moc Zakatianina. Nie trzeba mu bylo wiecej powtarzac, zeby zachowal cisze.

Weszli do glownego pomieszczenia portu, w tlum podroznych, obslugi i straznikow. Faree wiedzial, co teraz zrobia.

Kazde takie miejsce, gdzie pelno bylo umyslow, ktorych wlasciciele zajeci byli sprawami waznymi tylko dla nich samych, dawalo im pewna oslone, dopoki beda potrafili ukryc swa tozsamosc w tlumie podroznych, probujacych dotrzec do jakiegos waznego celu. Szybko zaslonil sie zludzeniem, ktore bylo wytworem jego mysli, udajac sluzacego, spieszacego wykonac zadanie zlecone mu przez odlatujacego pana, przez reszte wieczoru zwolnionego z obowiazkow. Nie mial duzego doswiadczenia, ale dzieki Maelen poznal juz zasady odgrywania roli i troche sie na tym znal. Jego towarzysze byli w tej dziedzinie mistrzami i wiedzial, ze potrafili okryc sie pelerynami halucynacji, na swoj sposob tak mocnymi, jak jego wlasny plaszczyz tkaniny. Mial jednak ogromna ochote obejrzec sie za siebie i wyprobowac umiejetnosc demaskowania przesladowcow.

Gildia - niewatpliwie ich wrogow wynajela Gildia. Na Yiktor zamiary tej poteznej organizacji udaremnilo sily wezwane przez Maelen i Kripa - z pewna pomocą jego samego, smaksa i dwoch innych jeszcze zwierzat, ktore staly sie kudlatym ludem Maelen, czerpiac radosc z faktu, ze zostaly do niego zaliczone. Niemniej jednak nawet tam Gildia miala zabezpieczenia - maszyny potrafiaca zatrzymac kazda myslowa sonde i chronic uzytkownika przed takimi napasciami. Wspomnienia o tym... Nie! Mogly przeszkodzic w tym, czego teraz potrzebowali. Faree odegnal wspomnienie. Znow stal sie osoba, ktorej tozsamosc przybral wczesniej - sluzacym, spieszacym przekazac wiadomosc. Tak, teraz nie ulegalo watpliwosci, kim jest.

Przeszli przez bardzo dlugie pomieszczenie i wyszli brama, ktora opuszczaly port tylko osoby odwiedzajace - omijajac czesc przeznaczona dla pasazerow. Zoror wystukal pazurami prawej dloni sygnal wezwania na tarczy komunikatora na nadgarstku. Jeden ze smigaczy opuscil kolumne pojazdow i powoli zblizyl sie do nich. Walczac z checia rzucenia sie do uciezki, ktorej szanse dawal mu wehikul, Faree opanowal rozpaczliwe pragnienie opuszczenia tego miejsca, aby podazyc za Maelen i Zakatianinem w odpowiednim tempie. Dopiero kiedy wszyscy wsiedli do pojazdu i Zoror wystukal kod miejsca przeznaczenia, Krip powiedzial:

-Czlowiek, a zarazem istota nieludzka. Ciało Terranina osmego stopnia. Umysł zupełnie obcy.

-Pozaswiatowiec o wzorcu myslowym odmiennym od wszystkich, jakie spotykalismy. - Maelen pokiwała glowa i spojrzala na Zakatianina, jakby spodziewala sie, ze on wie, kim jest scigajaca ich osoba, odkryta podczas wnikliwych badan.

-To Plantgon - stwierdzil Zoror.

Krip ulozyl wargi jakby mial zamiar zagwizdac, a Maelen popatrzyła z niedowierzaniem.

-Jak...

Zakatianin potrzaskal glowa.

-Ma bardzo szczelna oslone. Moglbym troche poszperac i dowiedziec sie wiecej, ale wtedy zdalby sobie sprawe, ze i my nie jestesmy calkiem bezbronni i pozbawieni podobnych mozliwosci ataku. Takich jak on - nie, to bledne okreslenie - jak ono, rzadko tutaj widujemy. To, ze przeszedl swobodnie obok czujnikow w porcie, swiadczy o jego potedze. Musi byc telepata dziesiatego stopnia, aby dostac sie do miejsca, strzezonego przez wiecej srodkow ochronnych niz znaly wszystkie rasy zyjace teraz albo w przeszlosci. Mozemy byc wdzieczni badaczowi, ktorego rozwiane przez wiatr prochy zostawily ten nikly slad, choc jego rasy i czasow mozemy sie tylko domyslac. Istnieje jedno miejsce, do ktorego nawet Plantgon - a znam wszystkie opowiesci, jakie na ich temat kraza - nie dostanie sie ani umyslem, ani sennym ciałem.

Lecieli z najwieksza predkoscia dozwolona na pasmie szybkiego ruchu, prosto do siedziby zespolu badaczy Zakatianina. Faree odprezyl sie. Slyszal co nieco o Plantgonach, ale niezbyt dobrze wiedzial, kim sa. Skoro jednak ta nazwa znaczyła tak wiele dla jego towarzyszy, musieli byc rzeczywiscie poteznymi przeciwnikami.

ROZDZIAL 5

-Wiec co wiemy? - Zoror siedzial na wygodnym fotelu, ktory dopasowal sie do ksztaltu jego ciala. W reku trzymal czarny owoc z wbitym slomka, popijajac przez nia co jakis czas. Wszyscy towarzysze jego niedawnej przygody saczyli napoje odpowiadajace ich gustom. Faree chwycil wargami swoja rurke. Orzezwiajacy kwaskowy plyn zdawal sie tlumie resztki wspomnien o nieprzyjemnych przejsciach.

-Qun Glude p'itho. - Vorlund spojrzal na maly ekran czytnika stojacego na stole. - Brak zwiazkow z Gildia. Ostatnio zatrudniony jako drugi oficer na Halfway - mam na mysli legalna prace. Zniknal po odebraniu mu prawa do lotow. To bylo na Swiecie Waylanda, prawie piec planetarnych lat temu. Nie wiadomo, co robil pozniej, ale widziano go w towarzystwie Xexepana, kapitana statku Wolnych Kupcow, wobec ktorego Patrol zywi pewne podejrzenia. Notowany w kartotece, poniewaz dwukrotnie oskarzono go o przemyt - glownie w zwiazku z handlem niewolnikami z Wormost. Najwyrazniej ten Xexepan - Vorlund spojrzal ponad ekranem, z ktorego odczytywal w mowie handlarzy nieliczne dane z karty oceny - musial byc przebieglym podroznikiem. Co jednak handlarz niewolnikami robil tak daleko na cywilizowanych szlakach? Nie mogli przeciez... Maelen pochyliła sie lekko.

-Mozemy miec do czynienia z uprowadzeniem - zauwazyła. - Ten Xexepan na pewno nie jest zwiazany z Gildia?

Vorlund nacisnal guzik i znow rozblysnely linijki kodu.

-Nie, zadnych bezposrednich powiazan. Swiat Waylanda? - Popatrzył teraz na Zorora.

Zakatianin spojrzal na wlasny ekran.

-Czwarty kwadrant, widoczny Ast. Ten Xexepan jest interesujaca postacia. Za kogo podawal sie na Waylandzie?

-Za uczciwego kupca. Mial troche skor i ladownie pelna zbiornikow z sokiem yale. W zezwoleniu na ladowanie nie ma mowy o niczym wiecej.

-Jakie skory, czy wymieniono ich rodzaj? - wtracil sie poruszony Faree, gdyz ujrzal straszny obraz.

Wszyscy troje skierowali wzrok na niego. Oczy Zakatianina nagle rozblyslly.

-Miales chyba dobry pomysl, maly bracie. Skory rzeczywiscie moga byc kluczem...

Vorlund znow spojrzal na ekran.

-Zadnego opisu, tylko skory. Przydalaby nam sie mapa, czcigodny - zwrocil sie do Zorora.

Zakatianin lekko obrocil sie w fotelu w prawo, w strone drugiego ekranu, ukazujacego w tej chwili peknieta kamienna plyte, przez ktora biegła falista linia prawie zatartych przez czas kresek. Trzasnal przelacznik i obraz zniknal. Zoror wlozyl do czytnika inna plytke. Tym razem na ekranie pojawila sie gwiazdna mapa, stale rosnaca i zblizajaca sie do nich.

-Wayland, z lewej strony. - Nacisnal guzik i jedna z kropek na chwile rozblysla na zielono.

Faree zakrecilo sie w glowie, jakby jakas sila przyciagala go do ekranu, a on nie mogl sie jej przeciwstawic. Nie patrzyl na planete, ktora wskazywal Zoror, lecz jakby na czyjs rozkaz zaczal szukac wzrokiem innej. Rozpostarl skrzydla, choc nie na skutek swiadomego polecenia umyslu.

-Faree! - Glos Maelen rozproszyl rzucany na niego urok. - Co ci jest?

-Mapa. Tutaj i tutaj! - Mlodzieniec podszedl do stolu, ominal Zorora i wskazal palcem sektor bardzo odlegly od migoczacego punktu, przedstawiajacego planete Wayland na polnocnym wschodzie, prawie na samej krawedzi mapy, gdzie znajdowalo sie tylko kilka gwiazd.

-Dlaczego? - spytal Zoror. - Wayland znajduje sie blisko obrzezy - dalej sa juz prawie same niezbadane planety, widniejace na mapach sporzadzonych przez kartoplywakow, lecz brak na ich temat informacji, ktore moglyby zwabic nawet takich smialkow jak Zwiadowcy lub Wolni Kupcy.

-Nie! - Zniecierpliwiony Faree uderzyl piescia w stol. Toggor zapiszczal i wypuscil z lap jego tunike. Upadl na grzbiet i przez chwile wymachiwal rozsunietymi szeroko odnozami, ukazujac groznie wygladajace pazury. Jednym z nich drasnal lekko dlon Faree, kiedy ten wyciagnal reke, aby kolejny raz wskazac swiecace kropki na ekranie. - Tutaj... to wlasnie zobaczylem... niebianscy tancerze! Te wlasnie mape widzialem za ich plecami!

-Niebianscy tancerze? - powtorzyla jak echo Maelen. - Maly bracie, nas tam nie bylo.

Faree stracil cierpliwosc. Poczul szarpniecie, koniecznosc odpowiedzi na cos, co nie bylo slowami ani myslowym przeslaniem jego towarzyszy.

-Ja... kiedy bylismy tam... w dzielnicy portowej, zobaczylem cos... dzieki temu. - Przesunal palcami po pietnie, ktore

zostawily na jego ciele szarfy. - Widzialem skrzydlate istoty, Tancerzy Mgly, a potem swiatla przed nimi. Mowie wam, to sa te swiatla! - Znow wskazal na ekran. - One tu sa!

Vorlund nachylil sie, zeby lepiej przyjrzec sie mapie.

-Mowisz, ze ten Xexepan jest Wolnym Kupcem... i handlarzem niewolnikami? - Zapytal chlodnym tonem i z zacietym wyrazem twarzy. Nie zwracal sie do Faree, lecz do Zakatianina.

-Moj synu, istnieja nieuczciwi handlarze. Poza tym gdyby czlonek Gildii chcial poszukac sobie przykrywki, czy nie moglyby posluzyc sie tym tytulem?

-Nie! - wybuchl Vorlund. - Nie mamy brudnych rak, cokolwiek mowia o nas inni. Co sie zas tyczy tego Xexepana, jesli posluguje sie takim znakiem rejestracyjnym i nie nalezy do naszego grona, jest banita i nikt nie moze przeszkodzic kupcowi w ukaraniu go. Mozemy zabrac jego statek, a jego samego... - Zaczerpnal gleboko powietrza. - Byla kiedys sprawa Angol... chyba jeszcze sie o tym pamietasz? Ci, ktorzy tak ja potraktowali, nie polecili juz w kosmos, chyba ze za lot mozna uznac wyjscie w proznie za sluze powietrzna. Wolni Kupcy dbaja o reputacje, a ci, ktorzy chcieliby ich jej pozbawic, beda mieli przeciwko sobie wszystkie statki. Moim zdaniem ten twoj Xexepan jest albo klamca, albo najwiekszym z glupcow, skoro przybral takie miano!

-Zgoda. - Spokojny ton Maelen w porownaniu ze wzburzonym glosem Vorlunda zabrzmial bardzo chlodno. - Przyjrzyjmy sie Waylandowi.

Teraz ona wpatrzyla sie w mape. Zakatianin ustapil jej miejsca.

-Podrozuje w kosmosie od niedawna, ale... - Postukala palcem w ekran. - Popatrzcie, jesli statek leci stad... - byla to gromada gwiazd wskazana przez Faree - to gdzie znajduje sie pierwsza planeta, na ktorej mozna wyladowac w celach handlowych albo zeby nawiazac kontakt z przedstawicielem Gildii? Jezeli ktos znajdzie przypadkiem skarb zbyt wielki, zeby go uniesc w pojedynke, moze zrobic dwie rzeczy - wziac jego czesc i poszukac wspolnika lub zostawic wszystko i bardzo tego potem zalowac. Nie przypuszczam, aby Xexepan nalezal do osob, ktore czegokolwiek zaluja. Tak wiec z symbolicznym ladunkiem poszukal prawdopodobnie najblizszej planety sprzyjajacej jego zamyslom. Byc moze juz wtedy pelnil funkcje oczu i rak Gildii, wynajdujac wszystko, co mialoby dla nich jakies znaczenie. Nie sadze, zeby byl handlarzem niewolnikow. Przestrzeni na obrzezach pilnuje Patrol. Handel zywym towarem wiazalby sie ze zbyt wielkim ryzykiem. Przypuszczalnie polecial na Waylanda poszukac czegos, czego potrzebowal, mianowicie kontaktu z Gildia.

-On przylecial stamtad! - Faree wrocil do tego, co go interesowalo. - Ten Glude - wymowil imie z obrzydzeniem - mial skrzydla... ich czesci! Mowicie, ze wiozl skory - a jesli te skory byly skrzydlami?

Vorlund wciagnal gwaltownie powietrze. Maelen spytala jednak spokojnie:

-Co widzales, braciszku? Powiedz nam.

Faree zmarszczyl brwi, starajac sie przypomniec sobie wszystkie szczegoly.

-Otwarta przestrzen, bardzo piekna... - Na chwile urzeklo go wspomnienie tej krainy, tak zupelnie niepodobnej do wszystkich planet, ktore widzial dotychczas. - Byly tam gory... i istoty tanczace w powietrzu. Nie widzialem ich twarzy we mgle. Mialy jednak skrzydla - dotknal zewnetrznego ozebrowania wlasnych - podobne do moich. Tanczyly, a potem z mgly wylonily sie swiatelka i utworzily ten wzor! - Kolejny raz pokazal rog mapy.

-Psychometria. - Maelen przygladala mu sie badawczo. - To mozliwe. Sprobuj tego. - Nachylila sie nad stolem i podniosla lezaca przed ekranem grude ziemi, a w kazdym razie cos, co tak wygladalo w oczach Faree, i wcisnela mu ja w dlon. Wzial brylke do reki, a jego palce zacisnely sie na niej mimowolnie. Spojrzal na Maelen pytajaco.

-Co ci przychodzi na mysl, braciszku?

Czemu to robila, kiedy powinni myslec o innych sprawach? Mimo to, pod jej nieugietym spojrzeniem, popatrzyl na trzymana w reku ziemie. W tej czesci jego umyslu, ktora potrafil rozmawiac z Toggorem i pozostalymi, cos drgnelo.

Odruchowo zamknal oczy.

Zobaczyl przed soba ciemnosc, a potem z tej nocy wylonilo sie...

Jakies stworzenie. Mialo smukly, nieco zaokraglony tulow i mala glowe. Poruszalo sie na czterech szczudlowatych konczynach. W dwoch pozostalych, wyrastajacych z korpusu, sciskalo czarna rozdzke albo patyk. Emanowalo od niego

poczucie celowosci - a ten cel stanowiło zabijanie. Nie było pochodną wściekłości ani strachu, raczej neutralnym stanem rzeczy. Rosło, gdyż w jego wnętrzu krył się instynkt wzrostu, taki jak w nasieniu. Stworzyciel unosił brzo, jeśli rzeczywiście była to brzo, aby zadać cios, w który najwyraźniej włożył wszystkie siły.

To go jednak nie ocaliło. Cofnął się o krok, gdy ostra lanca płomieni przeszła jego tułów. Konczyny zwinęły się w kłębek, kiedy upadł, podrywając. Faree wiedział jednak, że już nie żył.

Otworzył oczy i spojrzał na Zorora. Kiedy zastanawiał się nad doborem słów, Zakatianin wyjaśnił mu:

-Śmierć... i istota, która była dość rozgarnięta, żeby się uzbroić i walczyć w swojej obronie. - Zwrócił się do Maelen i Vorlunda. - Widzieliście to?

Oboje pokiwali głowami. Zoror wziął grudkę ziemi od Faree. Ostrożnie postukał nią w blat stołu, a następnie wydobyl podobne do pazura narzędzie, którym tak skutecznie posłużył się w portowej dzielnicy. Twarda prawie jak żelazo wierzchnia warstwa odpadła, ukazując zdeformowany zlepek cienkich, złotych kości, z których żadna nie była większa od palca.

-To pochodzi z mojej planety - wyjaśnił Zakatianin. - Zatan zorganizował ekspedycję, kiedy byłem jeszcze małą jaszczurką. Szedł do Kanionu Podwójnej Ciemności i tam to znalazł. - Znow wsunął tasmę w krawędź ekranu i pojawił się nowy obraz - pekiaty cylinder, leżący na stole, a przy nim kawałek reki Zakatianina, aby pokazać, jak rzeczywiście był niewielki. - To wrak statku. Jest stary nawet według naszej rachuby czasu, niemniej jednak to prawdziwy gwiazdny statek. Załoga musiała być niewielka zarówno pod względem rozmiarów, jak i liczebności. Przesświetliliśmy go wiązką promieni, aby go zbadać i sklasyfikować. Nigdy nie widzieliśmy niczego podobnego. To - wskazał kostki tkwiące w twardej jak kamień grudce - znaleziono w pobliżu szluzki wyjściowej. Być może to, co pokazał nam nasz mały brat, stanowi część załogi tego statku. Ta grudka była przyklejona do wraku, który przywiozła nasza ekspedycja. Zatrzymałem ją sobie, aby przypominała mi o tym, że nawet na własnej starej planecie można się natknąć na niezwykle rzeczy - zagadki nie mające rozwiązania. Rozmawialiśmy z Faree o legendach i opowieściach zamkniętych w "historii", tak jak te kości w skamieniałej glebie, lecz być może wciąż żyją w przekazach ustnych pewnych ras. Wśród Terran krąży baśnie, które zabrali ze sobą w gwiazdy. Występuje w nich rasa skrzydlatych istot, zamieszkująca niegdyś tę samą planetę, z której oni się wywodzili. Rasa ta wzbudzała strach zarówno z powodu swojej niezwyklej wiedzy, jak i wrogości do dominującego gatunku ich ojczystej planety. Legenda ta odżyła na wielu światach, kiedy ludzie terranskiego pochodzenia rozprzestrzeleni się wśród gwiazd: Mały Ludek czasami był przyjazny, lecz przeważnie budził strach, gdyż władał niezrównaną mocą, której nie umiał zrozumieć nikt spoza ich rasy. Być może nie jest to czysty przypadek, że taka baśń mogli znać ludzie na Waylandzie. Prawde mówiąc, tak nazwał tę planetę zwiadowca, który zasłynął jako zbieracz legend. Zasłużył się również mojemu ludowi, przywożąc niezwykle opowieści i przedmioty. Na starość osiadł na planecie Zorp, gdzie przyjęto go z honorami, a jego wykłady cieszyły się dużą popularnością. Ja sam poszedłem na wykład poświęcony Waylandowi, planecie, której nadał imię legendarnego boga albo bohatera opowieści. Zacytował nam wtedy fragment pewnej piosenki i odtąd na stałe utkwił mi on w pamięci, gdyż zawiera interesującą wzmiankę. Dla jego rasy miała to być przestroga, dla mojej zaś wyzwanie na drodze ku wiedzy. Ten skrawek starej mądrości brzmiał następująco:

Ani na wysoka góra,

Ani dolinami,

Na łow nie pojedziemy,

Ze strachu przed ludkami.

Vorlund poruszał wargami razem z Zakatianinem, powtarzając wierszyk. Zoror pokiwał głową.

-Więc ty też go znasz, podróżniku do odległych krain?

-Kiedyś słyszałem jego fragment z ust bazarza na Dawn. Była to jednak część innej opowieści, kończąca się słowami: "ze strachu przed grindami". Grind był miejscowym potworem z bajek, pozeraczem dzieci.

-Przed ludkami - powtórzyła Maelen. - Więc wieść o nich rozeszła się, choć żadnego w rzeczywistości nie widziano?

Zoror wskazał głową Faree.

-Może teraz właśnie ich widzimy. Co się zaś tyczy zdolności, które wydają się dziwne i nawet groźne tym, którzy ich nie posiadają - nasz brzośzek potrafi posługiwać się mową umysłu, a także po części odczytywać przeszłość. - Postukał w pekiętą grudkę.

Tylko Faree myślał o czymś innym.

-Skrzydla. - Uniosl reke i musnal skraj jednego z wlasnych. - Skrzydla... "skory"?

Wracala wscieklosc, ktora czul uprzednio. Jego rece znow sie zetknely, tak ze mogl palcami pocierac pietno wypalone na jego ciele. Zagladnal Zororowi przez ramie na ekran, na ktorym nie bylo juz widac miniaturowego statku kosmicznego, lecz mape gwiazd. Najwyrazniej on i Zakatianin mysleli o tym samym, chociaz tym razem Faree nie poczul wtargniecia obcego umyslu.

-Wyglada na to, ze sa pewne klopoty.

-Patrol? - spytal Vorlund. Zakatianin powoli pokrecil glowa.

-Jakie mamy dowody? Przeczytales dane, jakie istnieja na temat czlowieka, z ktorym sie kontaktowalismy. Xexepan jest podejrzany, ale dopoki nie zdobedziemy wiecej faktow, Patrol nie zacznie dzialac. Gildia? Po nich mozna sie wszystkiego spodziewac. Z tego, co podslychalismy, wynika, ze Faree byl sledzony. Bez watpienia wy rowniez. Mimo to sadze, ze ich glownym celem jest nasz mlodszy brat. Nie ma on jednak zadnej wiedzy, ktora moglaby im sie przydac. Szukaja go wiec z powodu tego, kim jest.

-A kim ja jestem? - wykrzyknal Faree. Czasami mial wrazenie, ze placze sie w slowach, kiedy tylko pragnalby swobody, aby... No wlasnie, co zrobic? Na to nie umial odpowiedziec.

-Dlatego przybyles tutaj, zeby sie uczyc - odparl Zoror. - Rasa, o ktorej dotychczas slyszelismy tylko w starych legendach...

-Rasa - powtorzil Faree - ktora niegdys wzbudzala strach i przypuszczalnie ma na pienku z Gildia... - Jego mysl pomknely od tego, w co wierzy, ku temu, w co mozna bylo uwierzyc. Istnialy rozmaite strzepki i skrawki, z ktorych mozna bylo utkac prawdziwy obraz rzeczy!

-Zachodni kwadrant. - Vorlund wciaz wpatrywal sie w mape, lecz bylo jasne, ze myslami jest juz gdzie indziej. - Niewatpliwie istnieja tasmu do podrozy na Waylanda, ale czy sa takie, ktore zaprowadzilyby statek jeszcze dalej?

-Oficjalnie? - Zoror znow wzial do reki owoc i zaczal pic. - Jest krotki zapis skanera. Byc moze istnieje inna... mozliwe, ze maja Xexepan.

-Tasma ze skanera - rzekl zamyslony Krip. - Uzywalismy kiedys takich. Bez watpienia to ryzykowna metoda podrozowania, ale moi rodacy wielokrotnie udowodnili, ze mozna tego dokonac.

-To prawda - zgodzil sie Zakatianin.

-Nie mozecie tam poleciec - powiedzial Faree wbrew sobie. - Tyle dla mnie zrobiliscie. - Wyciagnal rece, jedna do Maelen, druga do Wolnego Kupca. - Dwukrotnie zwrociliscie mi wolnosc. Uwolniliscie mnie od smrodu Obrzezy i wypusciliscie z kryjowki, ktora nosilem w samym sobie.

Jego skrzydla zafalowaly, kiedy przypomniat sobie, jak chodzil przygnieciony ich ciasno zwinietym ciezarem, sadzac, ze jest garbusem i smieciem. Mieszkancy Obrzezy przezywali go "Smierdzielem", a on uwierzy, ze nie ma dla niego innej przyszosci niz dnie i noce grzebania w odpadkach. Dopiero kiedy wraz z tym dwojgiem stanal w obliczu niebezpieczenstwa, jego skrzydla rozwinely sie, a wtedy zrobil dla nich to samo, co oni dla niego - wyswiadczył im przysluge, czyniac cos, do czego oni sami fizycznie nie byli zdolni.

Nie patrzyli na niego. Krip najwyrazniej rozwalal w myslach jakis problem, spogladajac na niego - jak czesto to robil - wpierv z jednej, potem z drugiej strony. Maelen znow poruszala palcami i wydawalo sie, ze kresli w powietrzu jakis obraz, ktory tylko ona i jej lud potrafilyby zrozumiec.

Zoror usiadl glebiej w fotelu i odstawil wyssany owoc.

-Tak. - Nie odpowiadal Faree, lecz najwyrazniej myslal na glos. - Organizowano juz ekspedycje na podstawie tak niklych sladow. Niezbjedne beda jednak dwie rzeczy - zezwolenie Patrolu i dosc pieniedzy, aby wyposazyc statek na prawdopodobnie wieloletnie badania.

-A my nie mamy ani jednego, ani drugiego - rzekl Krip, krzywiac sie.

Faree znow spojrzal na wzor gwiazd. Nie mial zadnych znajomosci ani pieniedzy, oprócz swojej czesci nagrody za udaremnienie spisku Gildii na Yktor. Jego skrzydla nie moglyby go niesc gwiezdnyimi szlakami. Narastal w nim jednak coraz wikszy glod, przeswiadczenie, ze nie zazna spokoju, dopoki sie nie dowie...

-Faktycznie, nie macie - przyznał Zoror. - Ale...

Wtedy wtraciła się Maelen.

-Wyprawa, której celem jest zbadanie nowej rasy albo pozostałych ruin: czy może istnieć jakiś lepszy powód? Poswieciłeś badaniom całe swoje życie, i gdyby udało ci się uzupełnić ten olbrzymi zasób wiedzy, jaki twój lud posiada...

Zakatianin parsknął gardłowym śmiechem.

-Siostrze, nie musisz mnie kusić. Jak każdy z moich pobratymców, jestem przekonany do tej wyprawy. Masz rację, nie dbamy o żadne korzyści, z wyjątkiem wiedzy. Słyszałem, jak te kosmiczne wyrzutki mówiły o skarbie. Z pewnością tego argumentu użyli, aby zainteresować Gildie. Możemy jednak dopasować te plotki do własnych potrzeb. Wiele razy skarby znajdowano w ruinach wymarłej i zapomnianej rasy, a nawet gatunku. Zaczekajcie...

Wstał z wygodnego fotela i podszedł do drugiego ekranu. Przed naciśnięciem guzika dał znak pozostałym. Zrozumieli i odsunęli się poza pole widzenia, aby ten, kto odbierze sygnał, nie zorientował się, że Zoror nie jest sam.

W odpowiedzi na wezwanie Zorora na ekranie pojawiła się twarz Tryistanki. Czub jej łśniących włosów leżał płasko, wielkie oczy były półprzymknięte. Naszywka na jej kurtce wskazywała, że była archiwistką i Patrolowcem, aczkolwiek należała do Zwiadowców. Zoror zaczął pierwszy:

-Służebne Skrzydło, czy istnieje możliwość obejrzenia taśmy obserwacyjnej dotyczącej obszaru... - Tu wymienił serie liczb niezrozumiałych dla Faree.

-W jakim celu, Czcigodny?

-Potrzebuję nowych informacji. Przypuszczalnie można tam dokonać ważnego odkrycia. Zanim złożę sprawozdanie, muszę to sprawdzić.

-Tasma obserwacyjna, Czcigodny, zawiera niewiele danych. Jeśli jednak zapisano na niej cokolwiek, co mogłoby cię zainteresować, masz do niej dostęp. Wejdz do plików wewnętrznych...

-Dziękuję, Służebne Skrzydło. - Twą Tryistankę zniknęła z ekranu. Zastąpił ją diagram złożony z liczb i symboli, zupełnie obcych dla Faree, który ledwo mógł opanować narastające zniecierpliwienie. Niemniej jednak Krip i Maelen podeszli do Zakatianina i zaglądając mu przez ramię, obserwowali przetwarzanie danych.

Faree niecierpliwił się coraz bardziej. Miał wrażenie, że szeregi wzorów nigdy nie przestaną się przesuwać. Krip dwukrotnie gwałtownym ruchem zatrzymał na chwilę kolumny. Wyjął z wewnętrznej kieszeni niewielkie przenośne urządzenie nagrywające i przyłożył je do maszyny nadającej, najwyraźniej zapisując ważne fragmenty. Potem dane znikły z ekranu, zostawiając po sobie tylko mrugające światełko. Zoror wystukał na klawiaturze odpowiedź, przekazując podziękowania za informacje i zapisując je na konto zakatianskich badań naukowych,

-Dwa układy słoneczne - rzekł Krip. - W sumie dwanaście planet. Obawiam się, że nawet Zakatianie poważnie się zastanowią, zanim wyśle ekspedycję na tak długą misję.

-Niektóre z tych planet - zauważyła Maelen - nie nadają się do zamieszkania przez podobne do nas organizmy żywe.

Krip pokiwał głową w milczeniu. Zaabsorbowany był własnymi notatkami.

-Sa trzy planety typu Arth-A, sześć z pogranicza, a reszta... - Wzruszył ramionami.

-Masz więc teraz już trzy, nie dwanaście - oznajmiła Maelen.

-Dwie w jednym układzie, jedna w innym - zgodził się Zakatianin. - Gdybyś był kupcem - a kiedyś nim byłeś, bracie - na którą poleciałbyś najpierw?

-Rzyk-fizyk, na te. - Wskazał jedną z nich. - W raporcie nie było jednak mowy o śladach życia. Czy nie powinni tego szukać?

-Niektorzy szukają, inni nie - odparł Zoror. - Sonda, z której pochodzi meldunek, znajdowała się daleko od rodzimej bazy albo statku, skąd została wystrzelona. Jej banki danych były prawie pełne. Te urządzenia są wystarczająco czułe, aby przewidzieć możliwość wyłączenia i wziąć ją pod uwagę, kiedy przekazała całą swoją zawartość, gdy nadchodzi czas, aby wrócić do domu. Te sondy wysłano w 7546G, a wróciła w 7869G.

-W czasie wojny Pan-Wen! - wtracil Krip.

-Wlasnie. W tym czasie Patrol mial pelne rece roboty. Raport mogl zostac dolaczony do pozostalych i lezec niezauwazony przez sto albo wiecej planetarnych lat. Ciekawe. - Zoror pazurem palca wskazujacego postukal sie w kly. - Byc moze nie jestesmy pierwszymi, ktorzy sie nim zainteresowali.

-Kto mogl dotrzec do takich informacji bez pozwolenia? - spytala Maelen.

Zoror znow rozesmial sie gardlowo.

-Bardzo wielu, siostro. Istnieje wiele tajemnic, o ktorych wie tylko Gildia. Wiesc niesie, i nie sa to plotki, ze nowa bron i urzadzenia informacyjne czesto zdobywaja przez przekupstwo, morderstwa i kradzieze. Bez wzgledu na to, jaka bron przemycaja i sprzedaja walczacym podczas wojen na planetach, najskuteczniejsze jej rodzaje zatrzymuja dla siebie, na potrzeby wlasnych napadow i tajnych atakow. Wiadomo, ze maja dostep do utajnionych danych. Jesli wiec wykorzystuja informacje z archiwum tasm eksploracyjnych, z jakiego my wlasnie korzystalismy, niewatpliwie umieja czerpac z tego korzysci. Kto wie, moze urzadzaja licytacje praw do wlasnych niedawno odkrytych swiatow, przestepcy biora w nich udzial, a w regularnych odstepach czasu Gildia otrzymuje duze udzialy. W podobny sposob twój lud, mlodszy bracie - wskazal glowa Kripa - kupuje prawa kupieckie od Zwiadu.

-Czyzbysmy wiec probowali wyjasnic tajemnice, ktora byc moze nie jest tajemnica? - zapytal Krip.

-Sama obecosc Faree jest tego dowodem - rzekla Maelen. - Jak znalazl sie na Obrzezach? W jego umysle umieszczono blokadę o takiej mocy, ze nawet Starsi Thassow nie potrafiliby przeszukac jego pamieci. Byc moze to dzieło jednej z waszych skradzionych maszyn Gildii. On jest tutaj, a my... co my wiemy?

-Znamy tylko strzepki krazacych legend - powiedzial Zakatianin.

-Skrzydla! - wybuchnal Faree. A jesli Gildia miala tyle maszyn, ile gwiazd rozsypanych po nocnym niebie? Byly jeszcze te przecudne szarfy, ktore trzymal w rekach. Rowniez ten sen albo wizja - tancerze na wietrze, przypominajacy jego samego.

-Skrzydla - powtorzil Zoror. - I to, co podslychalismy tej nocy. Wiec... - Kiedy mowil gwaltowniej, dawalo sie slyszec syczenie. - Mamy mape i tajemnice, w ktorej Gildia moze odgrywac role wspolnego wroga wszystkich osob zainteresowanych. Mamy statek. - Teraz wskazal palcem zakonczonym pazurem Kripa. - Mamy Ksiezykowa Spiewaczke, ktorej zdolnosc nie pojmuje chyba nawet wscibska, wszedobylska Gildia. Mamy istote z nieznanego swiata i jego dzielnego towarzysza. - Przesunal palec w strone Faree, a potem Toggora. - Mamy starca, ktory pragnie dowiedziec sie czegos na wlasna reke i przez jakis czas zaprzestac zglebiania cudzych raportow. - Teraz wskazal palcem wlasna piers. - Moze wymieszalibysmy to wszystko i sprawdzili, co uzyskamy w rezultacie?

Maelen rozesmiala sie.

-Zdaje sie na ciebie, czcigodny, na mojego towarzysza przygod i na naszego mlodszego brata. A na twoje pytanie jest tylko jedna odpowiedz. Chodzmy sprawdzic!

ROZDZIAL 6

Faree wisial w sieci, ktora chronila go podczas startu i przejscia w nadprzestrzen. Ze wzgledu na skrzydla nie mogl lezec na koi. Jak za kazdym razem krecilo mu sie w glowie i mdlilo go. Nie mial najmniejszej ochoty ruszac sie z miejsca. Wokol niego sciany tetnily sila, ktora byla zyciem statku. Pojazd nalezal do Kripa i Maelen. Zamierzali oni wedrowac nim po gwiazdnych szlakach z wszystkimi futrzanymi i opierzonymi stworzeniami, aby udowodnic ludziom z innych swiatow, ze pomiedzy zywyimi istotami istnieje wiez, o ktorej nie wolno zapomnac. Zaczeli na swiecie Obrzezy od barda i Yazza. Kazde z nich odegralo swoja role, kiedy Gildia zagrozila im na planecie Yiktor, i nie zgodzilo sie zostac w domu, chociaz Maelen skomunikowala sie z nimi myslami, wyjasniajac im, co trzeba zrobic. Tym razem nie musieli polegac na obcym pilocie, ktory - jak stalo sie to poprzednio - mogl okazac sie zdrajca. Statek pilotowal Zoror. Wczesniej z danych sondy skompilowal z Kripem tasmę i przestudiowal ja starannie. Odlecieli, podajac jako miejsce przeznaczenia planete wystarczajaco oddalona od poszukiwanej, aby prawdziwy cel podrozy pozostal tajemnica.

Zoror byl przekonany, ze zaden szpieg Gildii nie zdola sie wdrzec do jego biblioteki polaczonej z laboratorium. Budynek obslugiwaly glownie roboty, skonstruowane tak starannie, aby sluchaly tylko jego glosu. Wprawdzie Zakatianie poslugiwali sie mowa handlowa, ale ich ojczysty jezyk wymagal skali glosu niedostepnej zadnemu innemu gatunkowi.

Mimo to Maelen odkryla, ze podczas tych dwudziestu dni, jakie zajely im przygotowania, ktos kilka razy bezskutecznie probowal przeniknac umyslem do wnetrza ich twierdzy. Nie napotkali zadnych przeszkod ze strony wladz. Komendant Patrolu na sektor przybil wlasna pieczec na zezwoleniu. Kiedy Zakatianin wyruszal w podroz, jemu lub jej nigdy nie

zadawano pytan.

Poslugujac sie udoskonalonym sprzetem Zorora, zbadali - Faree mogli sie przylaczyc, dotykajac wszystkiego - kazda dostawe sprzetu i prowiantu przed wniesieniem jej na poklad. Tym razem nie bedzie zadnych ukrytych w ladunku niespodzianek mogacych ich zaatakowac.

Faree od czasu do czasu pograzal sie w medytacji. Ku swemu rozczarowaniu nie mial wiecej wizji. Rownie dobrze mogli myslec o ojczystej planecie Zorora. Ostatniego wieczoru, jaki spedzili na planecie, odwazyl sie o tym wspomniec, gdyz obawial sie, ze jego widzenie moglo nie byc prawdziwe, a ich dzialanie wynikac z wplywu dlugodystansowej motywacji wpojonej przez Gildie.

Stanal miedzy nimi, zwinawszy skrzydla najciasniej jak mogl, i opowiedzial o swoich obawach.

Maelen potrzasnela glowa.

-To niemozliwe, braciszku! Gdyby twoja wizja byla podstepem, szybko wyszloby to na jaw. My, nie widzac tego, co ty, moglibysmy zamiast niej ujrzec zarzucona siec, w ktorej znajdowala sie przyneta.

Zoror przyznal jej racje.

-Zwaz jeszcze na to: przedmiot, przekazujacy wiadomosc, moze zrobic to tylko raz. Zetknawszy sie z toba, zuzył swój ładunek. Ten rzeczywiscie odcisnal na tobie swój ślad. - Delikatnie dotknal pietna na nadgarstku Faree. - Ale tylko my o tym wiemy.

Wprawdzie mlodzieniec czul spory respekt przed Ksiezycowa Spiewaczka i Zakatianinem, a takze ich zblizonymi - choc odmiennymi - zasiegami myslowych przekazow i zdolnosciami badania umyslu, nie byl przekonany. Niemniej nie wspomnial wiecej o swoich obawach. Przynajmniej nosil na nadgarstku dowod tego, ze znalezione szczatki mialy ogromna moc.

Ku jego rozpaczy wspomnienie o tancerzach i mapie nieba zacieralo sie, mimo iz staral sie zachowac kazdy szczegol. Opowiesc Zorora o nieznanym maszynie, ktorymi mogla poslugiwac sie Gildia, przygnebila go jeszcze bardziej. Kiedy urzadzili wypad do miasta na skraju Pola, przez jakis czas byl bezsilnym wiezniem jednej z nich. Czy mogl wtedy rowniez zostac naznaczony - nawet przez te blizne na nadgarstku - aby nieswiadomie sluzyc innym za przewodnika?

Bez trudu weszli w nadprzestrzen. Faree - ze wzgledu na wazkie przejścia - chodzil po statku ostroznie i z ciasno zwiniętymi skrzydłami. Niewygoda dokuczala mu takze podczas snu, gdy musial przebywac w ciasnym pomieszczeniu. Czesc czasu spedzal na dolnym pokladzie z Bojorem i Yazz. Wielki, kudlaty bartel, ktory pochodził ze swiata Obrzezy, bez trudu zapadl w sen, spedzajac wiekszosc podrozy w stanie swoistej hibernacji. Yazz jednak szukala kontaktu myslowego i zadawala Faree pytania.

Tak, czekala na nich planeta, po ktorej otwartych przestrzeniach fisual mogla biegac do woli. Wprawdzie niewiele zapamietal ze swiata swojej wizji, ale jaskrawa zielen lak u stop spowitych mgla gor nadal tkwila w jego pamieci. Byl pewny, ze taka planeta gdzieś istniala - mogl tylko zywic nadzieje, ze tasma zmontowana przez Kripa tam ich zaprowadzi.

Poniewaz statkiem sterowala zapieczetowana tasma podrozna, a w razie nieprzewidzianego wypadku wlaczylby sie alarm, Zoror nie zajmowal fotela pilota dluzej, niz bylo to konieczne. Raz na jakis czas sprawdzal, czy wszystko jest w porzadku. Kiedy znow sadowil sie na duzej kanapie na koncu mostka, wlaczal niewielki czytnik i wyswietlal ciag obrazow, przerywany kolejnymi linijkami zawilego pisma swej rasy. Maelen siadala z nim na jednej kanapie i dzielala jego zainteresowanie raportami o odkryciach, jakich dokonano - o dawno zaginionych dzielach Pionierow. Miala prawo ich szukac, gdyz cialo, jakie teraz nosila, nalezalo do Pionierki - jakiejś krolowej albo bogini, o ktorej nikt nie pamietal, dopoki nie odnaleziono jej kryjowki pelnej skarbow i usponionych istot w tajnej gorskiej twierdzy, gdzie Gildia wtracila sie do czegos, nad czym przypuszczalnie nie moglaby juz dluzej panowac, gdyby posunela sie w odkryciach troche dalej.

Konajaca Maelen zajela cialo kobiety, od dawna przebywajacej w zamknietej komnacie, oczekujacej na przebudzenie, ktore nie nastapilo w ciagu tysiacleci, jakie uplynely miedzy czasem, kiedy wzniesiono ostatnia bariere, a godzina, gdy do srodka wdarli sie rabusie. Tam stoczyla bitwe z pozostaloscia zlej woli, wciaz tkwiacej w tym cielem, wypedzajac ja po zacieklej walce. Teraz spytala Zorora, czy w kronikach Zakatian sa jakies wzmianki o istotach podobnych do niej, lecz w odpowiedzi uslyszala tylko, ze ta, ktora odeszla, mogla pochodzić z jednej z polowy setki ras, jakie wyruszyly do gwiazd tak wiele lat temu, ze nie sposob ich zliczyc.

-Widzicie - rzekl Zoror, kiedy zebrali sie razem, a Vorlund odwrocil sie w fotelu drugiego pilota do trojki pozostalych - dla nas jest to kwestia powiazania wielu na pozor nie majacych ze soba nic wspolnego odkryc, jakbysmy probowali zlozyc okruchy trysuanskiego szklanego obrazu, ktory strzaskano. Bywa, ze znajdujemy wrak statku zakonserwowany w przestrzeni kosmicznej, gdzie unosil sie od niepamietnych czasow, albo jedna ze smaganych wiatrem ruin z pustyni Uavan

na Tav, której pierwotnego kształtu można się tylko domyślać. Analizujemy stare opowieści, historie opowiadane przez doświadczonych podróżników. Jedną z nich mówi o Numerodzie...

-Znalezisko kapitana Famble! - wtracił się Vorlund.

-Właśnie. Famble mógłby być moim rodakiem, tak zawzięcie szukał czegoś, o czym dowiedział się dzięki kilku zdaniom wyszeptanym przez konającego kosmicznego wędrowca znalezionego w kapsule ratunkowej. Skarb na Pogorzelsku był prawie tak cenny, jak ten odkryty przez was na Sechmet. Tylko o rasie, która stworzyła te dzieła sztuki, te przepiękne przedmioty, nadal nic nie wiemy. Z żadnego ze skarbów nie można było nawet wywnioskować, jaki gatunek go stworzył. Istoty te posługiwały się licznymi motywami kwiatów i dziwnych ptaków - a przynajmniej skrzydlatych zwierząt - i innych stworzeń biegających na szesściu nogach. Wszystkie wysadzono drogocennymi kamieniami, aby przetrwały wieki. Pomimo to nie znaleźliśmy niczego, co przypominałoby wizerunek istoty, która można byłoby uznać za jednego z twórców. Pogorzelsko, jak wiecie, było spalona planeta, w połowie pokryta zastygłym żużlem, tak promieniotwórczym, że uniemożliwiał prowadzenie poszukiwań, nawet w szczelnym skafandrze. Drugą jej część porastał gąszcz dzikiej roślinności. Z tego, co tam zobaczyliśmy i znaleźliśmy, wywnioskowaliśmy, że ci, którzy zostawili swoje mienie w jaskiniach, uczynili to w pośpiechu, jakby sadzili, że jeszcze wróca. Nie wrócili jednak...

-Jest też czaszka Orsuisa - powiedziała Maelen. - Nawet twoi rodacy, Czcigodny, nie widzieli jeszcze czegoś takiego.

-Okazała się zagadka, którą wielu z nas próbowało rozwiązać podczas młodzieńczych studiów. - Zoror pokiwał głową. - Sprawa wrażenie czaszki współczesnego kosmicznego wędrowca ze starej Terranskiej rasy, lecz wykonano ją z pojedynczej bryły kryształu, a zdaniem dzisiejszych ekspertów nie można jej zrobić żadnymi znanymi metodami. Mimo to istnieje i nie ulega wątpliwości, że służyła kiedyś do porozumiewania się. Tu i owdzie można znaleźć jeszcze wiele zagadek.

Faree kiwnął głową, tracąc znamie na nadgarstku. Podczas pobytu w kwaterze Zakatianina widział wiele dziwnych rzeczy. Wysłuchał licznych legend tak ważnych dla Zorora, opowieści o skrzydlatych ludziach i Małym Ludku, którego podobno znali Terranie, nie tylko na swoim własnym świecie, lecz również wśród gwiazd.

Lot w najlepszym przypadku był nuzacy, zwłaszcza jeśli statek pilotowała tasma. Niemniej jednak Zakatianin wykorzystał ten czas, aby utrzymać ich umysły w napięciu i zainteresować ich czymś więcej niż tylko przetrwaniem do końca podróży. Podczas arbitralnie ustalonych godzin pracy na statku Faree i pozostali słuchali licznych opowieści Zorora o znaleziskach i tajemniczych światach spustoszonych na skutek jakiejś wojny albo katastrofy, gdzie prastare bronie wciąż toczyły walki i każdy, kto próbował wylądować, padał ofiarą ataku. Faree początkowo przysłuchiwał im się z wielką uwagą. W świecie jego dzieciństwa - na smierdzących Obrzeżach - nie było niczego, co mogłoby rozbudzić jego wyobraźnię albo wyszkolić umysł, a te historie zapierały dech w piersi.

Dopiero kiedy wracał do swojej kabiny, gdzie Toggor zajmował łóżko, z którego on nie mógł korzystać z powodu skrzydeł, tarł przegub aż do zaczerwienienia skóry, żalując, że nie ma reszty jedwabistych skrawków, które miał właściciel straganu. Nateżał umysł aż do bólu, próbując znaleźć odpowiedź, lecz nie potrafił jej uzyskać.

Co jakiś czas drżał, kiedy najwyraźniej w odpowiedzi przeszywał go ból tak ostry i ulotny, jakby trafiał go promień laserowy. Po każdym takim przejściu czuł mdłości i był obolący.

Siedział na krawędzi posłania, odwrócony plecami do drzwi, kiedy nadeszła kolejna z takich sesji. Okazała się tak bolesna i wyczerpująca, że zaczął kołysać się w przód i w tył. Toggor zaklekał szczypcami, wyraźnie dając do zrozumienia, że odebrał silny impuls bólu Faree. Nie tylko on jeden, gdyż od strony drzwi dobiegł czyjs głos.

-Faree! To śmierć!

Owinał się ramionami, jakby musiał przytrzymać się jakiejś części własnego ciała, żeby nie poddać się paralizującemu strachowi. Niemal udało mu się przedrzeć przez kurtyne leku i dotrzeć do kogoś lub czegoś, co było po drugiej stronie. Twarz miał mokra od potu, który zbierał się na jego czole i spływał mu po policzkach.

Strach... tak, strach, lecz zmieszany z gniewem... Najwyraźniej oba te uczucia odcisnęły swe piętno w jego umyśle, tak jak opaska na jego nadgarstku zostawiła ślad na jego ciele.

-Faree. - Maelen szła wzdłuż ściany, aż mogła mu spojrzeć prosto w twarz. - Nie wolno ci tego robić...

Potrząsnął głową. Potem rzekł półgłosem:

-Muszę się dowiedzieć!

-Coz ci przyjdzie z tej wiedzy, mlodszy bracie, jesli zrani cie ona tak gleboko, ze nie bedziesz juz mogl funkcjonowac? Widzisz? - Wyciagnela reke i pogladzila palcami jego mokry policzek. - Wkladasz w to tyle wysilku, a to, co do siebie przyciagasz, to... smierc. My rowniez mamy wewnetrzny wzrok, ale nie wolno nam isc dalej - dalsza droga oznacza zaklocenie rownowagi Szal. Molaster obdarzyl nas tym wzrokiem a my przysieglismy nie uzywac go w zlym celu.

Po raz pierwszy Faree spojrzal na nia.

-Musze sie dowiedziec - powtorzyl, lecz jego glos zabrzmial glucho, a bolesne wyczulenie zmyslow ustapilo.

-Byc moze... ale nie w taki sposob... nigdy nie w taki sposob, Faree. Nikt nie moze zobaczyc, co jest dalej, kiedy wstepuje na Biala Droge, tak jak nikt nie moze stamtad wrocic. - Znow wyciagnela reke i polozyla ja na jego nadgarstku. - Nawet ja potrafie wyczuc, co sie w nim kryje, maly bracie. Nie uzywa sie beztrosko tego, co przesycone jest smutkiem i smiercia. Dla twojego wlasnego dobra, nie probuj tego wiecej.

Do jego umyslu plynelo cos wiecej niz slowa - bylo to kojace, przynoszace ulge uczucie, jakby czyjes dlonie opatrywaly bolaca rane. Jak przez mgle uswiadomil sobie, ze Maelen przekazywala mu myslami to samo zapewnienie, jakiego wiele razy uzywala w stosunku do tych, ktorzy nazywala swoimi malenstwami, choc inni mogliby okreslic ich mianem bestii. Westchnal i przycisnal nadgarstek do piersi, gdyz pod wplywem jej kojacej myslil zdal sobie sprawe, ze mowila prawde. Nie powinien marnowac sil na te poszukiwania, kiedy czekaly ich trudniejsze zadania. Nie mial watpliwosci, ze nadciagaloby niebezpieczenstwo.

-Doskonale - powiedziala. - Obiecuje ci, mlodszy bracie, ze twoja chwila nadejdzie, a kiedy to sie stanie, odegrasz wielka role.

Spojrzal na nia zaskoczony. Zawsze sugerowano, ze osoby obdarzone zdolnoscia porozumiewania sie myslami potrafia wiecej - on sam udowodnil, ze umie czytac dotykem. Jednakze jasnovidzenie nie bylo powszechnie znane, a on sam slyszal o nim tylko pogloski.

-To nie jasnovidzenie. - Szybko wychwycila jego mysl. - Raczej rozumowanie, Faree. Nasza podroz nie bedzie latwa. Jesli odnajdziemy planete twojego ludu, musimy byc przygotowani na klopoty...

Pokiwal glowa. Tak, nie trzeba bylo zadnego zmyslu oprócz zwyklego myslenia, zeby to zrozumiec. Miala racje, nie powinien marnowac posiadanych darow na bezcelowe proby wymuszenia odpowiedzi. Kazda zdolnosc telepatyczna przychodzila i odchodzila falami. Nie mozna bylo jej zmusic do niczego.

Nie probowal juz wiecej przywolac obrazu, ktory przez krotka chwile ujrzal w swojej wizji. Spelnila ona swoja role, kiedy przypomnial ja sobie i odczytal mape, co sklonilo ich do wyruszenia w podroz. Zaczal natomiast w inny sposob przygotowac sie na to, co moglo ich czekac. Nie tylko naklaniał Zorora do coraz czestszego wspomniania, lecz także odwiedzal Bojora w jego kabinie, specjalnie przerobionej, aby pomiescila wielkie kosmate cielsko tego niegdys dzikiego lowcy, zwierzecia siejacego postrach na swojej rodzinnej planecie, ze nawet opowiesci o jego krwawych spotkaniach z osadnikami budzily groze.

Faree czerpal teraz wiedze z zyjacego i oddychajacego zrodla, z dala od tasm i zwojow, tak pilnie strzezonych przez Zakatianina. Przez cale swoje krotkie zycie - a przynajmniej od tak dawna, jak siegal pamiecia - mieszkal w zasmieconych rynsztokach Obrzezy, duzo gorszych nawet od portowej dzielnicy na planecie, ktora opuscili. Otwarta przestrzen zobaczyl po raz pierwszy, gdy wyladowali na Yiktor. Tam wydarzenia potoczily sie tak szybko, ze nie mial czasu myslec o tym, co widzieli, lecz tylko o tym, co trzeba zrobic, i to jak najszybciej. Jego postepowaniem kierowal przewaznie instynkt, nie wiedza.

Teraz zjednoczyl sie myslami z bardem i zyl zyciem tego ogromnego kudlatego myśliwego. Czlapal po gorskich sciezkach, zadzierajac leb, aby rozkoszowac sie wiatrem i wiesciami, jakie on przynosil. Ostrzyl pazury na ulubionym glazie, ktory jednoczesnie zaznaczal terytorium lowieckie Bojora. Lazil od jednego skalnego wzniesienia do drugiego, obserwujac niewielkie stadko grusow pasacych sie w wysokiej trawie. Czatal na brzegu strumienia, gotow zanurzyc w nim lape ruchem z pozorow zbyt delikatnym jak na bartla i wylowic szybko plywajace stworzenie o gibkim ciele plazza. Tym, co laczylo Faree z Bojorem podczas tych sesji, nie byla wylacznie jednostronna wymiana myslil. Bartel bowiem ocknal sie z zimowego snu, zeby przejawic ciekawosc i zazadal, aby jego kompan rewanzowal sie przygoda za przygoda. Zycie na Obrzezach bylo czymś, o czym Faree opowiadal bardzo rzadko, a od czego Bojor odwrocil sie z obrzydzeniem. Jedynymi wspomnieniami jakiegomuz zaproponowac, byly godziny spedzone na Yiktor.

Wciaz potrafil przywolac w pamieci te cudowna chwile, kiedy wstretny garb, przez cale zycie czyniacz z niego obrzydliwego kaleke, pekl, odslaniajac jego skrzydla. Dobrze pamietal pierwsze chwile lotu, kiedy niepewnym, niezgrabnym ruchem usilowal wzniesc sie w powietrze, i szanse, aby wyswiadczyc Maelen i jej ludowi przysluge, ktora mogli oddac tylko

ktos tak obdarzony przez nature jak on.

To wspomnienie zdawalo sie najbardziej ciekawic Bojora. Jego doswiadczenia z istotami latajacymi ograniczaly sie dotychczas do ptakow, w tym jednego gatunku podazajacego za nim smialo i pozywiajacego sie resztkami jego upolowanej zdobyczy. Dla stworzen takich jak on i pozostali na pokladzie tego statku (Faree od razu odkryl, ze Bojor uwazal ich wszystkich za zwierzeta, wyraznie odmienne od myśliwych, ktorzy go zlapali, chociaz tamci ludzie nosili takie same ciala, jakie mieli jego obecni kompani) latanie bylo czymś bardzo dziwnym. Zasypywal Faree myślowymi pytaniami na temat tego, co sie czuje, kiedy mknie sie w przestworzach, zamiast po ziemi.

Mogl czerpac nie tylko ze wspomnien Bojora, lecz i Yazz. Smuklonogie, pokryte piekna sierścią zwierze dostarczylo mu nowych informacji, ktore on laczyniwe chlonal. Takie i takie jest uczucie, kiedy natrafia sie na nieznanomy trop na błotnistym brzegu wodopoju. W takich sytuacjach pomagal lepiej niz wzrok ustalic czy byl to nieprzyjaciel.

Faree z zalem wtedy pocieral nos. Wprawdzie udalo mu sie dojsc śladem skrawkow skrzydel do statku, mimo to jego wech nie byl az tak wrażliwy i wybiorny. Tak wiec Yazz wzbogacala jego zasob wiadomosci o tym, czego mozna szukac w nowej okolicy.

Zoror, Bojor i Yazz, kazde z nich moglo dodac cos od siebie do wiedzy, jaka zdobywal z mysla o przyszlosci. Jednakze to od Maelen i Vorlunda nauczyl sie rzeczy mogacej okazac sie najwazniejsza, gdyby po przylocie z gwiazd okazalo sie, ze na ich wybranym swiecie grozi im inne niebezpieczenstwo - byc moze ze strony tych, ktorych uwage juz przyciagneli.

-Mieli ten kawalek skrzydla. - Vorlund wskazal ślad na nadgarstku Faree. - To prawda, ze towar moze wedrowac od planety do planety i przebyc prawie cala dlugosc kosmicznych szlakow, lecz te skrawki, chociaz sa osobliwoscia, same w sobie moga miec niewielka wartosc. Byc moze przywieziono je na poparcie czyichs slow, jako zachete do udzielenia wsparcia, albo znak rozpoznawczy dla jakichs wazniakow. Moze mialy posluzyc nie tylko jako przyneta na ciebie, lecz na nas wszystkich, maly bracie. Gildia zna nas dobrze - czyz nie popsulismy jej szykow na Yiktor? A oni nie zapominaja latwo o porazkach. Postepowaliby nieroztropnie, gdyby ponosili kleski i pozwalali winowajcom ujsc bezkarnie - maja wielu wrogow, ktorzy mogloby to zachecic do stawiania oporu. Tak, jesli to przyneta - to byc moze zdazamy wprost do pulapki. Musimy byc na to przygotowani.

Tak oto Vorlund zaczal go uczyc innych umiejetnosci, miedzy innymi poslugiwania sie waskim nozem, ktory kosmiczny wedrowiec chowal w cholewce swego buta. Choc przestrzen do cwiczen byla bardzo ograniczona, Faree nauczyl sie rzucac ta bronia. Sluchal Vorlunda rownie pilnie, jak wszystkich swych innych nauczycieli, i zdobywal uzyteczne informacje, jakich mogl mu dostarczyc tylko Wolny Kupiec znajacy wiele swiatow. Wiele z nich dotyczylo Gildii. Vorlund zgromadzil je przez lata, nadstawiajac ucha w portach i sluchajac swoich towarzyszy.

Faree sadzil, ze zycie na Obrzezach jest niewiele warte, gdyz nawet straznicy chodzili tam tylko parami i z oplatywachami gotowymi do strzalu. Niemniej jednak, im wiecej sluchal, tym bardziej przekonywal sie, ze istnieja zagrozenia, o ktorych nawet mu sie nie snilo, kiedy przemyslal ukradkiem w mroku tego siedliska szumowin i wyrzutkow. Dawniej wydawalo mu sie, ze zycie w lepszej dzielnicy miasta jest latwiejsze, teraz byl jednak pewny, ze niebezpieczenstwo czyhalo rowniez tam.

Sen... Pewnej nocy, kiedy ulozyl sie w hamaku w swojej kabinie, zaczal snic.

Unosil sie wysoko nad soczystozielona laka, na ktorej jakies punkciki mienily sie w sloncu kolorami, tak jak planety migoca na gwiazdnej mapie. W poblizu pluskal strumyk, tak przejrzysty, ze mozna bylo dostrzec kamienie rozsiane na piaszczystym dnie i wysledzic smukle ksztalty mieszkancow jego toni.

Brzeg strumyka porastaly wysokie rosliny, a pomiedzy nimi fruwalow owady o cienkich jak mgielka skrzydlach i opancerzonych cialach skrzacych sie niczym drogie kamienie. Pejzaz przesycony byl cieplem i swiatlem - nie tylko slonca, lecz takze bijacym od gor wznoszacym sie wysoko, aby oslonic te zaciszna doline. Byla tu tez ta snujaca sie srebrzysta mgla, co jakis czas przeslaniajaca jedno lub drugie wzgorze. Tylko tym razem nikt wsrod niej nie latal - kraina sprawiala wrazenie opustoszonej. Zienacka Faree owladnelo uczucie wielkiej samotnosci, w ktorym kryla sie rozpacz.

Nie byl swiadomy wlasnego ciala - jedynie tego, co widzial - i co czul: mial wrazenie, ze musi dokads pojsc. Blyselo swiatlo i znalazl sie przed wejsciem do czegos, co przypominalo gorska jaskinie. Z jej wnetrza wyplywala spiralna smuzka roziskrzanej mgly.

Jesli byla to naturalna szczelina w skale, ktos zadal sobie trud, by ja ociosac, a potem osadzic w niej krysztalow, jakich Faree nigdy jeszcze nie widzial. Czystobiale jak sople zamarnietej wody, w miare znizania sie do progu lub wznoszenia sie ku ociosanej powierzchni stawaly sie coraz ciemniejsze. Krysztalow sterczace u podnoza byly ciemne i zazolcone, jak gdyby przeniknela do nich gleba, zanim zastygly w bezruchu, a wysoko w gorze przezroczyte niczym woda, bladofioletowe

przechodzące w ciemną purpurę.

Wrota przyciągnęły go ku sobie i poszybował (ponieważ nie czuł we śnie, by latał) w stronę ich otworu - lecz coś go tak gwałtownie i niespodziewanie odepchnęło, że w tej samej chwili wyrwał się zarówno z marzenia sennego, jak i ze snu. Leżał zaspany, a serce waliło mu tak szybko, iż miał wrażenie, że wstrząsa całym jego ciałem. Przez krótki czas, który można było tylko mierzyć jego przyspieszonymi oddechami, uswiadomił sobie, że znajduje się w kabinie, a nie przed tą łodzią, wysadzana klejnotami, otwarta brama.

W głębi jego umysłu coś drgnęło, jakby szarpnięto drzwiami, od dawna mocno zamkniętymi. Leżał nieruchomo i próbował dotrzeć do tych drzwi, lecz wtedy doznał takich zawrotów głowy, że zrobiło mu się niedobrze.

Kiedy zasłonił usta dłońmi, żeby opanować narastające mdłości, rozległ się sygnał. Wychodzili z nadprzestrzeni - jeśli wysiłki Kripa zakończyły się sukcesem, poszukiwany przez nich układ znajdował się przed nimi.

Faree ostrożnie wstał z hamaka. Nadal mdliło go, lecz wciąż doskonale pamiętał ten wyrazisty sen - tak prawdziwy, jakby rzeczywiście znalazł kryształowe wrota.

ROZDZIAŁ 7

-To tutaj! - Krip nachylił się w fotelu drugiego pilota, żeby spojrzeć na ekran widokowy. Ich oczom ukazał się zielononiebieski glob. Faree miał wrażenie, że to raczej planeta zbliża się szybko do nich, a nie oni szukają na niej miejsca do lądowania.

-Ach... - Rece Zorora zajęte były przyrządami. Bijące od Zakatianina napięcie udzielało się pozostałym. Tak jak we śnie coś w kryształowych wrotach ostrzegło Faree - tak i teraz ogarnęło go uczucie, że czyha na nich niebezpieczeństwo...

Zoror pochłonięty był obsługiwaniem rzędów guzików i dźwigni, lecz odezwał się do Vorlunda:

-Przygotuj się do lądowania... czy również używasz przyrządów... - Zgarbił się, jakby naciskał z siłą coś więcej niż tylko guziki.

Vorlund chwycił za stery drugiego pilota i zachmurzył się nagle.

Czy ten świecący punkcik na ekranie rzeczywiście zamrugał przez chwilę? Faree gotów był przysiąc, że tak. Być może przez ten ułamek sekundy ich statek powstrzymywano, nie pozwalano mu wejść w wewnętrzne niebo tego nieznanego świata. Potem, jeśli rzeczywiście istniała jakaś bariera, przeszkoda znikła. Wylądowali tak lekko, jakby Zakatianin trzymał statek w dłoni i postawił go zgrabnie na twardej powierzchni. Vorlund nachylił się, żeby dotknąć ekranu widokowego. Obraz powoli obracał się, pozwalając im obejrzeć miejsce, w którym wylądowali.

Pole widzenia przesłaniały pasma dymu; najwyraźniej coś zapaliło się od rakiet hamujących. Maelen odczytywała symbole jarzące się na małym ekranie po prawej jej stronie. Faree wiedział, że każdy z takich zielonych rozbłysków oznacza, że mogą wyjść na zewnątrz, nie dzwigając niewygodnego sprzętu, niezbędnego w niesprzyjającej atmosferze.

Powietrze i światło nie stanowiły problemu; drugiego ostrzeżenia może nie być. Faree zastanawiał się, czy ktokolwiek poza nim poczuł to pierwsze. Niemniej jednak, kiedy szykowali się do zejścia po trapie, aby obejrzeć nowy świat, zauważył, że Vorlund zakłada pas z ogluszaczem. Maelen gimnastykowała palce, jakby jej ciało również było orezem. Zaskoczył go fakt, że Zakatianin także sięgnął po ogluszacz. Zakatianie cieszyli się takim szacunkiem na gwiazdnych szlakach, iż nawet członek Gildii zastanowiłby się poważnie, zanim wszedłby w drogę któremus z nich. Wiśc niosła, że prowadzone od dawna przez Hist-Techników badania nad przeszłością obejmowały też eksperymenty nad dziwną bronią Pionierów, więc lepiej było im się nie narazac. Faree miał w cholewce buta noż, jednak mimo starannych nauk, jakich udzielił mu Vorlund, wątpił, czy potrafi sprawnie posługiwać się tą bronią.

Wyszli na trap przerzucony nad pasem spalonej roślinności. Maelen stanęła i wyciągnęła przed siebie rękę. Powoli wykonała polobrot, szerokim gestem wskazując całą okolice, a Vorlund i Zoror odsunęli się trochę, aby zrobić jej miejsce. Faree użył umysłu bez połączenia z jakimkolwiek przyrządem.

Niespodziewanie wzbil się w powietrze, wlatując nad statek i oddalając się od kregu zniszczeń, jakie podczas lądowania spowodowały płomienie ich wstecznych rakiet.

Zmierzal w stronę wzniesienia pośrodku doliny, w której wylądowali - porośniętego trawą wzgórzka na północ od statku. Zauważył, że był to pierwszy z szeregu kopców stojących w prostej linii. Różniły się rozmiarami; jedne były wyższe nawet od Zorora, inne tak małe, że można było je przegapić, jeśli nie szukało się uważnie jakiegos wybrzuszenia terenu wśród roślinności.

Staranne rozmieszczenie kopców skloniło Faree do przypuszczeń, że nie były dziełem przyrody. Kurhany? Ruiny zamaskowane przez upływ lat? Użył psychopolacji, lecz kiedy wylądował na pierwszym z lancucha pagórków nie wyczuł niczego.

Gęsta roślinność owijała się wokół jego stóp, sięgając mu prawie do kolan. Wśród licznych trójdzielnych liści kryły się drobne, szarobiałe kwiatki. Były tak blade, jakby ciepłe słońce, które czuł na skrzydłach, nigdy do nich nie docierało. Ruchy jego stóp uwolniły słodko-korzenny zapach, a w pobliżu miejsca, gdzie wylądował, strzeliły w powietrze jakies kuleczki. Niektóre spadły na niego, przyczepiając się do ubrania. Miały ten sam szarobiały kolor, co kwiaty. Oderwał jedną od koszuli i stwierdził, że przykleiła mu się do palców. W chwili, gdy wziął ją do ręki, w tej wewnętrznej części jego umysłu, która zawsze była niedostępna, zanim wyruszył w podróż, błysnęła kolejna, zabarwiona bólem myśl. On... on to znał!

Salenge! Wszechlek! Odpędza choroby i podnosi na duchu - tylko skąd o tym wiedział?

-Salenge - powtórzył na głos. Mimowolnie scisnął w palcach jagodę. Owoc pękł i rozszedł się ostrzejszy zapach, od którego zakreśliło mu się w nosie, a do ust napłynęła ślina. Znowu nieswiadomie podniósł wysmarowaną sokiem dłoń do ust i zliział z niej resztki rozgniecionej jagody. Miała orzeźwiający, piekący smak.

Faree unosił głowę, aby spojrzeć w niebo ponad luką swoich skrzydeł. Nie tylko znał nazwę tej rośliny, ale i jej zastosowanie. Tylko że nigdy przedtem jej nie widział - a może jednak? Niecierpliwie zaatakował barierę w swojej pamięci, a potem zachwiał się, powtórnie przeszyty bólem. Nie, nie naciskaj - mówiła Maelen i miała rację. Gdy szukał, natrafiał jedynie na pustkę. Kiedy jednak jego myśli skupiały się na czymś innym, znajdował takie wskazówki, jak ta.

Schylił się i delikatnie potrząsał roślinami. Zebrał na drugiej dłoni i ramieniu tyle kuleczek, ile mógł. Potem wzbił się w niebo i zataczając coraz szersze kęgi wokół statku, spoglądał z góry na okolice.

Ich statek wylądował nie w dolinie, lecz raczej dziwnym zagłębieniu w gruncie - idealnie okrągłej niecce, okolonej stromymi ścianami wzgórz, bez żadnych wylomów, którymi można byłoby ją opuścić bez wspinaczki. Chociaż doł z boczny porastały gęstsze roślinności, w tym splecionych pnaczy, ich wyższe partie stanowiły szary, srebrzysty kamień. Pokrywała go sieć czystobiałych żyłek, miejscami błyszczących w słońcu i migoczących, jakby tkwiły w nich drogocenne kamienie.

Nie rosły tu drzewa ani duże krzewy, tylko falujące polacie salenge, najgęściej porastające okolice tego szeregu łagodnych pagórków, dalej rzadsze. Po drugiej stronie statku, za czarnymi śladami, które wypaliły jego rakiety ładownicze, szarobrazowa gleba pokrywała platanina czegos, co przypominało bezlistne pnacze, prawie niewidoczne na tle podłoża.

Faree wznosił się silnymi wymachami skrzydeł, aż znalazł się na wysokości roziskrzonych skał. Powietrze było czyste, przesycone zapachem młodej roślinności. Po regenerowanej atmosferze statku chlonał je z rozkosza, wręcz się nim upajał. Radosne uniesienie towarzyszące swobodnemu lataniu, uderzyło mu do głowy niczym mocny trunek. Niemal zapomniał o wszystkim innym, kiedy przeleciał nad miejscem, gdzie grunt pokrywały dziwne pregi bezlistnych pnaczy.

Po raz pierwszy przyjrzał się im uważnie. Kontrast między tą siatką a bujną roślinnością po drugiej stronie statku kosmicznego, stał się coraz widoczniejszy. Zniżył lot i podlegał bliżej. Było w nich coś...

Znowu miecz pamięci zadał mu głęboka ranę.

Hagger - szlak haggera. W oczach stano mu napełnione brunatne ciało. Stwór biegł na szczęściu krótkich nógach z brzuchem przy ziemi, lecz kształt jego głowy... Hagger!

Ta część jego jądzi, która kontrolowała lot, nie czekała, aż wspomnienie stanie się wyraźniejsze. Nakazała mu wzbić się i, gwałtownie wymachując skrzydłami, lecieć w stronę usianych klejnotami skał. Potem Faree przewycieżył ten strach i zawrócił. Powtórnie siadł na pagórku, na którym wylądował po raz pierwszy. Znowu doleciał go zapach zgniecionej salenge, niosąc spokój i ukojenie...

Hagger i salenge - gdzie, na księżyc Trzech, jedno i drugie występowało razem? Księżyc Trzech! Wypuścił rozgniecione jagody i chwycił się za głowę rękami. Znowu przebłysk pamięci... dlaczego tak go dreczyły?

-Faree! - Myślowe wezwanie Maelen wyrwało go z tego bolesnego zamroczenia. - Co ci jest?

Nie odpowiedział. Zamiast tego wzbił się w powietrze, poleciał do trąpu spuszczonego ze statku i stanął przed trójką swoich przyjaciół. Odczepiwszy jagodę salenge od skrajki rekawa, pokazał ją wszystkim.

-To jest salenge, nazywana również wszechlekiem, gdyż leczy wszystkie choroby i rany, jeśli zostanie użyta w odpowiednim czasie. A za nim - wskazał na statek - znajdują się lowieckie sieci haggera. Nie pytajcie, skąd o tym wiem. Nie potrafię odpowiedzieć. - Powoli pokręcił głową. Chociaż ból zelżał, Faree wiedział, że przyczaił się w pobliżu... czekał...

-Gdzie wyladowalismy? - Ku jego zaskoczeniu, Zoror nie zapytal o to, co on rzeczywiscie wie.

-Tutaj... - Mlodzieniec szybko odpowiedzial im obrazem niecki, w ktorej stal ich statek.

Kiedy skonczyl, Vorlund zapytal:

-Zatem nie mozna stad wyjsc?

-Bez wspinaczki, nie. Nie mialem jednak czasu, zeby dokladnie zbadac okolice.

Maelen opuscila rece.

-Ani sladu zycia, nie liczac nas.

-Te kopce. - Zakatianin wskazal glowa pagorki, ktore Faree zauwazyl na samym poczatku. - Kurhany, ruiny... - mowil, jakby do siebie. Potem zadal pytanie, na ktore mlodzieniec czekal. - Salenge... hagger? - powtorzyl pytajaco.

Faree wzruszyl ramionami.

-Nie potrafie powiedziec, skad - powtorzyl - ale ja to wiem.

Vorlund zamknal wzrok haslem, ktore wszyscy powtorzyli za nim, a nastepnie ruszyli w droge. Zoror skierowal sie wprost do najblizszego wzgorka. Vorlund przygladal sie pobliskiej scianie, przykrytej gestym dywanem roslinnosci, a Maelen uniosla wysoko glowe i patrzyla prosto na polnoc, jakby wzmagajacy sie wlasnie wiatr przyniosl jej jakas wiadomosc.

Spojrzenie Faree powedrowalo w tym samym kierunku. Zachwial sie na nogach, kiedy przeszl go okropny bol plynacy z ukrytej czesci jego pamieci.

-CaerVul-li-Wan...

Nie byl czescia tej bariery, ktora teraz ich otaczala... raczej gorskim szczytem wznoszacym sie w gore jak cienka wiezyczka na szczycie twierdzy. Jego biel odcinala sie od tla zielononiebieskiego nieba... Faree wydawalo sie, ze nawet z takiej odleglosci dostrzega blyski na jego zboczach - byc moze takie same refleksy, jakie rzucaly klejnoty na wyzszych partiach otaczajacych ich gor.

Najwyrazniej jego przeblysk pamieci wyslal jakis nieznany komunikat do czujnych wartownikow, gdzy szczyt spowila mgla. Splynela byc moze z chmur zbyt wysokich, aby je zauwazyc, i przeslonila wierzcholek gory.

Mysl Zorora wtargnela do umyslu Faree niemal z taka sama sila, jak uprzednio strzep wspomnien.

-Caer Siedmiu Wladcow? Chyba rzeczywiscie porwal nas nurt legendy, mlodszy bracie. Ale czyjej? Czy przybyles na wezwanie Malego Ludku?

Faree nie zwracal na niego uwagi, wpatrujac sie w smukla skalna wiezyczke na tle nieba. Nie, nigdy jej przedtem nie widzial... Skad wiec znal te nazwe i wiedzial, ze jest prawdziwa? Mgla, ktora zasnula szczyt - Oddech Merl-Math - wzniosla sie, aby zmylic wszystkich obcej krwi. Jednak nie po to, by zmylic jego.

Istnial inny powod pojawienia sie wichrowego welonu! Inne powody...!

Znow byl w powietrzu, prawie nieswiadomy faktu, ze wzbil sie gwaltownie w niebo. Nie mialo znaczenia, ze Caer - to, co go wolalo - znajdowalo sie gdzie indziej. Faree zatoczył na niebie krag, patrzac nie na polnoc, w strone ukrytego szczytu, lecz na zachod. W tym momencie statek, jego zaloga i wszystko, co skladalo sie na tajemnice tego nowego swiata, zniknelo z jego swiadomosci. Odbieral naglace wezwanie, na ktore tylko on mogl odpowiedziec.

Minal juz krawedz sciany otaczajacej niecke. Zielen w dole znikla. Znizyl troche lot, przelatujac nad przestrzenia pelna skalnych slupow i klinow, skad bily czerwone, zielone, niebieskie, zolte plomienie i roznobarwne tecze, tak jasne, ze musial patrzec przez zmruzone oczy.

-Faree!

Zagluszyl ten myslowy glos. W porownaniu z przymusem, jaki go gnal, stanowil zaledwie cichnacy szept. Faree byl potrzebny - tylko on, nie ci innej krwi - ci, ktorzy kradli i rabowali, zabijali i brali w niewole...

-Nadchodze! - pomyslal z calych sil, z cala moca, jakiej nauczyl sie. od Maelen i Zorora. Wydawalo mu sie, ze jego myśli

pekly, tak jak pekla niegdys szorstka skora pokrywajaca jego skrzydla, uwalniajac go w inny sposob.

Kiedys strzep czyjegos skrzydla prowadzil go kretymi zauulkami portowego miasteczka, teraz ten coraz glosniejszy zew wabil jego umysl. Obszar, gdzie plonely ognie klejnotow, zostal z tylu. Przed soba ujrzal zbocze kolejnej doliny, znacznie obszerniejszej i mniej nieregularnej. Polyskiwala w niej woda i rosly kepy czegos, co moglo byc drzewami. Nie widac bylo nagiej ziemi z platanina sciezek haggerow. Cos tam jednak zylo. Po drugiej stronie doliny kilkanascie ciemnych zwierzat najwyrazniej paslo sie na krotkiej trawie. Jedno podnioslo glowe i spojrzalo w strone Faree. W myslowym pasmie tak niskim, ze omal niewyczuwalnym, mlodzienc wychwycil czesc impulsu, mogacego byc pytaniem. Nie mial ochoty zatrzymywac sie i odpowiadac na nie. Stworzenie stanelo deba i gwaltownie wierzgnelo przednimi nogami, przypuszczalnie rzucajac mu wyzwanie, podczas gdy pozostale szybko zbily sie w stado i rzucily do uciezki, wpierv klusem, pozniej szybkim galopem.

Z zarosli w poblizu rzeki wyfrunelo halasliwie stado ptakow, wzbijajac sie w niebo z szybkościa wojownikow, ktorych wezwal glos rogu wodza. Kiedy podlecialy do Faree, zobaczyl, ze choc z daleka przypominaly ptaki, nie mialy pior. Ich jaskrawo ubarwione skrzydla przypominaly bardziej jego wlasne, ciala pokrywaly luski, ktore w tym swietle wydawaly sie usiane klejnotami jak sciana urwiska, nad jaka przelecial kilka chwil temu. Uzebione szczeki w dlugich i waskich lbach, osadzonych na gibkiej szyi, byly szeroko rozwarte.

Faree obrzucil zwierzeta nieufnym spojrzeniem i wzniosl sie wyzej. Wial teraz zimny wiatr, w ktorym wyczuwalo sie chlod sniegu. Byc moze ciagnal od wysokich gor na polnocy. Z jakiegos powodu ptakokształtne stworzenia nie probowaly leciec za mlodziencem. Zawrocily, jakby na rozkaz, i odlecialy na polnoc. Niebo opustoszalo.

Widok obcych stworzen w dziwny sposob oslabil moc wzywajacego go sygnalu. Teraz impuls odezwal sie z nowa sila. Nagle Faree spojrzal w dol na zryta darnine i glebe. Zobaczyl doly i bruzdy. Slady swiadczily o tym, ze nie pozostawilo ich zwierzec, jakie mogl wytropic myslivy. Co dziwniejsze, braly poczatek z jednego miejsca posrodku skrawka nagiej ziemi, jakby to, co wylobilo te bruzdy, wypelzlo spod jej powierzchni.

Faree pofrunal dalej. Teraz uswiadomil sobie, ze zew dobiegal z miejsca, do ktorego prowadzil ten szlak. Dotarl wreszcie do pasma niewysokich wzgorz zagradzajacych pieszym wedrowcom droge do krainy po drugiej ich stronie. Jednakze ten, kto zostawil te slady, znalazl przejscie, kluczac miedzy przeszkodami. W tym miejscu dolina rozszerzala sie, chociaz nawet z powietrza Faree nie mogl nic dokladnie zobaczyc. Mgla otulajaca Caer Vul-li-Wan spowijala teraz doline tak szczelnie, jakby z niebios spuszczone kurtyne, a jej faldy skryly ziemie.

Po raz pierwszy Faree zawahal sie. Blagalny impuls, ktory przyprowadzil go az tutaj, ucichl. Stalo sie to tak raptownie, jakby smierc dotknela tego, kto go wyslal. Rowniez w samej zaslonie z mgly krylo sie cos, co przejel go chlodem dotkliwszym niz mrozny wiatr.

Zawrocil i skierowal sie na poludnie, lecz tam rowniez natknel sie na spuszczone kurtyne. Nie slyszal nawet najcichszego zewu. Opar nie wisial na polnocy ani na wschodnim niebie, skad przylecial. Poruszajac sie wciaz w dosc duzej odleglosci od skraju bariery, Faree probowal poszukac myslami wezwania, na ktore musial odpowiedziec. Natychmiast jednak odskoczyl, gdyz doznal takiego uczucia, jakby uderzyla go jego wlasna mysl, odbita i mocno zniekształcona. Nie znalazl tez w swojej zdradzieckiej pamieci niczego, co odpowiadaloby opisowi takiego zjawiska.

Lot w gore nie rozwiazal problemu, gdyz mgla wzniosla sie do jego poziomu, jakby istotnie byla wymierzona w niego bronia. To od niej bila ta martwota. Czul sie chory, wycienczony, ledwo mogl utrzymac sie w powietrzu. Zmeczenie zmusilo go do wyladowania. Kiedy poczul twardy grunt pod stopami, o malo co nie upadl, z trudem lapiac oddech.

Mgla mogla go pokonac w pierwszym starciu, lecz zawzietosc pozwalajaca mu przezyc na Obrzezach jako bezdomnemu kalekiemu stworzeniu, dodawala mu sil. Otulil sie zwiniętymi skrzydłami jak płaszczem i podszedł do glazu, gdzie widnialy glebokie rysy. Wygladaly jakby wydrapalo je stworzenie, ktore wydeptalo droge. Usiadl na kamieniu i podparl sie dlonmi, starajac sie przeciwstawic potwornej slabosci naplywajacej falami. Pod wplywem jego ruchow rozszedl sie zapach salenge. Najwyrazniej mial wciaz kilka kulek z nasionami przyklejonych do ubrania. Przechylil glowe, zeby wciagnac do pluc te ozywca won. Obudzilo sie w nim wtedy nowe, niespokojne wspomnienie... Ubrudzone dlonia dotknel koszuli na piersi. Nie znalazl tam znajomego wybrzuszenia.

Toggor! Po raz pierwszy, odkad poznal smaksa, zupelnie o nim zapomnial. Kiedy stwierdzil jego nieobecność, poczul sie tak, jakby stracil czesc skrzydla - albo reki. Odkrycie tego faktu ostatecznie rozwialo urok, ktory zmuszal go do lotu na zachod. Przyjrzel sie wnikliwie mgle, najwyrazniej plynacej w jego kierunku. Jedno pasemko zblizalo sie do miejsca, gdzie siedzial. Sam nie wiedzac czemu, wyciagnal do niej reke - i poczul realny opor!

Natychmiast sie cofnal. Sciana Trupiego Wiatru! Od dloni, ktora dotknel niewidzialnej bariery, bil lekki smrod rozkladu. Zamknal oczy i zobaczyl ciemnosc przeszywana snopami oslepiajacego swiatla, tak prostymi jak promienie lasera. Pomiedzy tymi smugami znajdowaly sie cienie. Jedne rzucaly sie naprzod niczym drapiezniki powalajace ofiare, inne

znikaly, gdy dotknal ich morderczy promien. Posrodku tego wiru swiatla i ciemnosci ktos stal. Poczatkowo Faree sadzil, ze to Maelen albo nawet Zoror.

Potem zrozumial, ze nie bylo to zadne z nich, lecz ten, ktory wladal Trupim Wiatrem i tworzył z niego barriere, o ktora zywi moga tluc nadaremnie. Nie widzial go jednak.

Pietno na jego nadgarstku odezwalo sie bolem prawie tak silnym, jak w chwili, gdy pojawilo sie na skorze. Faree otworzył oczy. Moze nawet jeknal glosno, gdy cierpienie zwiekszalo sie. Spojrzal na reke, ktora zaslanial sie przed naporem mgly. Ze znamienia bilo barwne swiatlo przycmiewajace pietno swym olsniewajacym blaskiem.

Przycisnal druga dlon do obolalego miejsca i wstal z wysilkiem. Mial wrazenie, ze pali go ogien. Krzyknal glosno.

-Utsor vit-S'Lang. - Wydawalo mu sie, ze jego glos mknie po ukosie w gore - niemal widzial, jak jego slowa nabieraja ksztaltu i atakuja mgle.

Opar scial sie; tak jakby zamieszano go jakas wielka chochla. Bariera zaczela topniec, tworzac wpierw cos w rodzaju okna, pozwalajac mu dojrzec to, co uprzednio bylo niewidoczne, a pozniej przyjmujac ksztalt otwartych drzwi. Faree zamrugal i zamknal oczy. Nie widzial juz ruchomych swiatel.

Trupi Wiatr: jego wargi znow wyszeptaly te nazwe. Smrod snujacych sie pasemek oparu byl dosc silny, aby zabic resztki ozywczej woni salenge.

Nie wzlecial w niebo. Otuliwszy sie faldami skrzydel niczym peleryna, ruszyl pieszo. Szedl ostrocznie, uwazajac na glebokie koleiny i dziury w nawierzchni dziwnej drogi. Znow uslyszal ten wewnetrzny wzywajacy go glos, lecz brzmial on teraz bardzo cicho i zalamywal sie, jak gdyby wolajacy znajdowal sie u kresu sil.

Faree potknal sie i omal nie upadl. Zawadzil noga o jakis przedmiot wystajacy ze zrytej ziemi. Nachylil sie, wydobyl go i stanal z glupia mina, wlepiajac wen oczy. Znal to - pochodzilo z przeszlosci, ktora doskonale pamietal - z przekletych Obrzezy. Bicz impulsowy! Przesunal palcem po wglebieniach na jego rekojesci. Nie wyczul wzorow energii. Bron byla wypalona. Co tu jednak robilo ulubione urzadzenie lowcow niewolnikow? Odruchowo chcial wyrzucic ta zlowroga rzecz, lecz pozniej zmienil zdanie. Zoror... Zakatianin znal sie na takich przedmiotach? Moze nawet zdolalby wywnioskowac z tego narzedzia tortur, kto ostatni raz go uzywal. Daloby im to jakies wyobrazenie o tym, z jakim nieprzyjacielem moga miec do czynienia.

Opar niemal calkiem sie rozproszyl. Faree byl ciekaw, co znajdowalo sie za drzwiami, ktore otworzily jego slowa.

Zobaczyl jednak tylko szlak zrytej ziemi, konczacy sie przy pobliskim wzgorzu.

Wolajacy go glos znow oslabl i ucichl. Faree nadal czul bol w nadgarstku, lecz nic nie wzywalo go, aby lecial przed siebie. Wsunawszy bicz za pasek, wzbil sie w powietrze i skierowal w strone statku.

Obawial sie, ze mgla znow sie wzniesie, tym razem na wschodzie, i odetnie go od towarzyszy. Niebo jednak nie zachmurzylo sie wiecej. Slonce oddalilo sie, a cialem Faree targal zimny wichur. Mlodzieniec spojrzal na polnoc, spodziejajac sie ujrzec tam iglice Caer Vu-li-Wan. Wydawalo sie jednak, ze wymazano ja z niebosklonu. Inne szczyty byly widoczne, lecz najwazniejszy zniknal.

Faree zmarszczyl czolo. Nie mogl juz wierzyc wlasnym oczom. Czyzby owo zaslepienie bylo skutkiem wezwania, jakie slyszal? Istnialo zbyt wiele pytan, na ktore sam nie umial udzielic odpowiedzi. Jakie slowa wykrzyczal? Juz ich nie pamietal. Maelen i Vorlund znali sie na takich rzeczach. Zakatianie nigdy nie rezygnowali z szansy, aby sie czegos dowiedziec, nawet jesli mieli tylko nikla nadzieje. Co mu zostalo? Zaledwie strzepki bolesnych wspomnien.

Przestal uzalac sie nad soba i rozejrzal sie dookola. Przed nim wznosily sie szczyty wzgorz, w zachodzacych sloncu nie mieniace sie juz tak roziskrzonymi kolorami. Wszystko teraz wydawalo mu sie jednakowe i nie widzial Caer Vu-li-Wan, na ktory moglby sie kierowac. Zaskoczyl go ochryply krzyk; uslyszal go uszami, nie umyslem.

Nie byl sam na niebie. Za nim lopotala druga para skrzydel. Pod wzgledem szerokosci i rozpietosci mogaca mierzyc sie z jego wlasnymi. Lecialo jednak na nich stworzenie, ktorego w zadnym wypadku nie moglby uznac za swojego pobratymca.

Czarne, wydłużone cialo wilo sie w powietrzu z taka swoboda, z jaka waz pelznie po ziemi. Stwor odwrocil glowe ku niemu i Faree zobaczyl na pol otwarta paszcze. Przypominala pyski tych mniejszych zwierzat, ktore wczesniej przelecialy obok niego.

Stworzenie znow wrzasnelo. Faree nie potrzebowal kolejnego ostrzezenia, aby pomknac co sil w skrzydlach. Bestia miala

wielkie szponiaste lapy. Rozprostowywała zakończone pazurami palce, jakby szykowała się do chwycenia zdobyczy. Szybko doganiała Faree, a jej trzeci okrzyk zabrzmiał tuż przy jego uchu.

ROZDZIAŁ 8

Był już po drugiej stronie urwiska, mknąc z całą prędkością, na jaką było go stać, aby uciec przed latającym potworem. Stwor wiał się i wyginał zwinnie jak wąż, dotrzymując mu tempa. Lecił jednak trochę wyżej, równoległe do niego, a z jego otwartej paszczy strzelały języki płomieni. Mimo to, chociaż znajdował się nad Faree, pokazując, że gdyby tylko chciał, mógłby zaatakować, trzymał się w pewnej odległości z tyłu. Fakt, dlaczego ociągał się z atakiem, stanowił coraz bardziej intrygującą zagadkę. W odpowiedzi na docierający do niego impuls, młodzieniec podniósł gwałtownie głowę i kosmyk włosów opadł mu na czoło.

Odbierał wiązki myśli wijące się jak stwor, który ją wysyłał. Komunikat raz brzmiał wyraźnie, innym razem ledwo słyszalnie.

-Darthor, Darthor! - z ust Faree wyrwał się okrzyk. Ukłucie wspomnienia tym razem nie było tak dotkliwe.

Nie musiał już jednocześnie uciekać i obserwować tego, co nie stanowiło zagrożenia. Nie stanowiło... ? Bez wątpliwości nie.

-Darthor, warge! - Zalopotał mocno skrzydłami i wznosił się wyżej, zataczając na niebie łuk, aby stawic czoło potworowi.

Bestia zwolniła. Skreśliła na północ, chociaż wciąż śledziła Faree wielkimi pomarańczowymi oczami.

-Darthor, warge! - krzyknął jak ktoś, kto ujarzmił pojmane zwierzę z nieznanego świata i narzucił mu swoją wolę.

Potwór zaskrzeczał i machnął długim ogonem. Z jego pyska znów buchnęła struga czegoś, co przypominało ogień. Stwor nie oddalił się, a jedynie zmienił kierunek, lecąc teraz obok Faree z tą samą, co on szybkością.

Młodzieniec przeszedł z komunikacji głosem na przekaz myślowy.

-Darthorze, slugo, nie szukaj zwierzyny w moim cieniu. - Słowa przychodzące mu do głowy układały się w dziwnie oficjalny komunikat. Wysyłał go powoli i z naciskiem, jak ktoś, kto domaga się posłuszeństwa. Za tą bezgłosną przemową krył się zamazany obraz: Darthor ścigający coś, co uciekało w popłochu, podczas gdy z tyłu leciała jakaś skrzydlata istota z błyszcząca rozdzka w dłoni. To on! Nie, to niemożliwe... Nie on, lecz ktoś podobny, przed kim Darthor leciał jako myśliwy. Faree jednak nie całkiem pozbył się obaw. Nie był panem tego stworzenia. Skąd jednak je znalazł i dlaczego obawiał się jego nadejścia?

Tymczasem nic nie mógł zrobić. Darthor leciał dziwnymi zrywami, jak biegnące po ziemi zwierzę dające niespodziewane susy, i ani na chwilę nie spuszczał Faree z oczu. Kryła się w tym spojrzeniu jakaś posepna przebiegłość, jak gdyby władza, jaka miał nad nim młodzieniec i moca której powstrzymywał go od morderczego skoku, była bardzo słaba i lada chwila mogła się skończyć.

Krawędź doliny o kształcie niecki znajdowała się już w zasięgu ich wzroku. Cienie od wzgórz kładły się na ziemię i sięgały do statku. Faree zmierzał w stronę pagórka, gdzie po raz pierwszy postawił stopę na ziemi tego świata.

Powietrze przeszył przeraźliwy krzyk. Faree przestraszył się i kiedy tylko stanął na kopcu, podniósł wzrok. Stwor, który mu towarzyszył, machał ogonem i skreślał smukłe ciałem, wijąc się w powietrzu. Usiłował lecieć za nim, lecz za każdym razem coś go odrzucało w tył. Lopotał skrzydłami jak oszalały, wydając kolejne wrzaski.

Z wściekłością atakował krawędź urwiska. Rozczapierał szpony przednich łap, jakby chciał rozedrzeć powietrze na strzępy. Faree zauważył, że ktoś podbiega do niego. Vorlund zatrzymał się, trzymając w dłoni gotowy do strzału ogłuszacz.

-Nie! - krzyknął Faree, podbijając reke celującego mężczyzny.

-Darthor... strażnik... - Złożył razem drobne strzępki posiadanej wiedzy. - On obawia się... ciebie!

Kiedy wypowiadał te słowa, wiedział, że mówi prawdę. Latający stwor wbijał żółte oczy w Vorlunda, a z jego pyska strzelały języki swego rodzaju płomieni. Wściekłość zwierzęcia była równie potężna co bron, jaka kosmiczny przybysz otrzymał w dłoni.

-On nie może tu wejść. - Faree wiedział, że to również prawda. Nie było klebów mgły, tworzącej ściany, lecz mimo to istniała jakaś niewidzialna bariera, której on nie poczuł w locie, gdyż broniała dostępu tylko innym istotom. W tym momencie wijący się, trzepoczący potwór zaatakował w inny sposób.

Vorlund krzyknął. Chociaż reka mu zadrzała, nie wypuścił ogluszacza, nawet wtedy, gdy osunął się na kolana. Młodzieniec znajdował się na skraju tego psychicznego ciosu. Jego źródłem nie był jednak Darthor - stworzył jedynie przekazał energię, jaką go zasilono.

-Fragonie, dowodco Cieni, nazywam cię po imieniu. - Faree niemal nie upadł na ziemię obok Vorlunda z bólu przeszywającego zamkniętą część jego umysłu. - Nazywam cię po imieniu - znowu wysłał impuls myślowy. Kolory wirowały mu w głowie jak szalone, jednak wciąż opierał się temu, co zaciemniało lub próbowało zaciemnić jego umysł, tak jak opaska zasłania oczy. - Fragon, Fragon... - Skandował te śpiewne słowa na głos, nie przestając jednocześnie wysyłać impulsów ku latającej bestii. - Fragon - powtórzył. Potem wymówił zaklęcie: - Na przestrzenie otwarte, na tron, na zielen i srebro wytarte, wymawiam imię - twoje imię!

Potwór na szczycie urwiska skrecał się, jakby jakieś olbrzymie paluchy sciskały go i wyzymały jak szmatę. Znowu wrzasnął, lecz narastający ból zagłuszył wysyłany przez niego komunikat. Vorlund drżał i krzywił się z bólu. Wstawał, chociaż jego bron leżała w gestej roślinności u ich stóp.

W młodzieńca wstąpiły nowe siły. Poczul taki przypływ energii, jakiego jeszcze nigdy nie doznał. Rozpostarł szeroko skrzydła i wznosił zacisnięte pięści nad głowę.

-Zabierz swój Cień, Fragonie! - Jego myśl brzmiała teraz głośniejszą i bardziej władczo. - Zabierz Darthora, Fragonie. Nie ma tu dla niego miejsca do rozszarpywania!

Słabnący jazgot stworzenia raptownie się urwał. Potwór ze spuszczonego łbem wciąż unosił się w powietrzu. Faree wiedział, choć z tej odległości niczego nie mógł zobaczyć, że bestia uważnie ich obserwuje, wciąż będąc narzędziem w rękach kogoś, kto był ostrożny, rozgniewany, lecz jeszcze nie gotów przystąpić do walki. Potem stworzenie zawróciło w powietrzu i z miarowym łopotem skrzydeł odleciało na północ, gdzie gestniejąca mgła spowijała jeden szczyt za drugim, przesłaniając szczerze to, co mogło tam ich oczekiwać.

Faree chwycił Vorlunda za ramię i podtrzymał wysokiego kosmonautę. Mężczyzna nachylił się, żeby podnieść ogluszacz, jednakże wsunął go tylko do kabury. Potem spojrzał młodzieńcowi prosto w twarz.

-Co to było? Mogło zabić...

Faree powoli pokręcił głową, pocierając dłońmi czoło. Znowu nekował go tępy ból głowy i miał zamęt w głowie. Wiedział... co wiedział, i skąd? Nie potrafił tego zrozumieć. Przedtem czuł wież, a teraz pustkę, całkowity brak kontaktu.

-Sam... nie wiem... - wybąkał. Kreciło mu się w głowie i mdliło go. Szarpnął nim ostry atak bólu, który przypuszczalnie nekował go wcześniej, lecz go nie zauważał.

-Nazwałes go - odparł Vorlund. - Wymieniłeś też drugie imię: Fragon...

Faree zadrzał, a później usłyszał jeszcze jeden głos.

-Wielka psychiczna moc ma ten Fragon. - Stojący za nimi Zoror, podszedł do nich. Patrzył teraz na Faree. - Jak tam, bracie, ta bariera wciąż tkwi w twoim umyśle? - Wyciągnął reke i delikatnie odsunął jego palce od zmarszczonego z bólu czoła, sam przykładając mu dłoń do głowy. '

Leciutkie musniecie było jak lęk wody, który koi spieczoną usta i gardło; od palców Zorora płynął chłód.

-Nigdy tu przedtem nie byłem - odpowiedział młodzieniec słowami - a mimo to wiem!

Stojący obok niego Vorlund drgnął, ale to Zoror spytał:

-Co wiesz, maly bracie?

-Znam te krainy - albo jej część! - Faree machnął rękami, nie tylko w stronę doliny, lecz także tego, co leżało dalej. Potem obejrzał się przez ramię i zauważył, że Zoror wciąż mu się przygląda. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego pokrytej łuskami twarzy, tak odmiennej od ludzkiej, wydawało mu się jednak, że zainteresowanie Zakatianina skupiło się w promieniu wąski jak ognisty język Darthora i usiłowało dotrzeć do niego z taką samą natarczywością, z jaką atakował go ten latający stworzenie.

Zamknął na chwilę oczy w nadziei, że ochroni się przed tą bezgłosną sondą. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że Zoror siłą próbuje wydobyć z niego odpowiedź.

-Gdzie byles, bracie? - Faree zbyt wnikliwie przygladal sie Zororowi, zeby zauwazyc, ze Maelen tez juz przyszla. Kobieta wskazala go palcami.

-W gorze - odpowiedzial tepo, pokazujac urwiska z pasmami klejnotow. Zbyt wiele przezyt. Pragnal chwili spokoju, aby pozbyc sie zametu, jaki panowal w jego glowie. - Tam lezy bardzo wielka dolina, Pokazal na zachod,. - Zwierzeta... sadze, ze to zwierzeta. Cos, co przypominalo droge wyjezdzona przez ciezkie wozy... a potem... - uniosl bezradnie obie rece - byla mgla... sciana...

Usilowal opisac im te sciane, lecz ledwo skonczyl, Zoror zadal mu kolejne pytanie:

-Dlaczego nas opusciles, maly bracie?

-Uslyszalem... wezwanie. Musialem na nie odpowiedziec - odrzekl zgodnie z prawda.

-No i...

-Wraz z pojawieniem sie sciany zew ucichl.

-Ucichl, aby Darthor mogl zajac jego miejsce? Moze - zasugerowal Vorlund - nie odpowiedziales dosc szybko. Impuls, ktory cie pobudzil, nie byl silny...

-Nieprawda! - przerwal mu gwałtownie Faree. Odwrocil sie lekko twarza do polnocy, do tego wynioslego szczytu, teraz calkiem zaslonietego. - Oni nie sa tacy sami!

-Kim oni sa? - zapytala Maelen cichym miekkim glosem, nie probujac nawiazac z nim kontaktu myslowego, za co byl jej bardzo wdzieczny.

-Istnieje... - Spojrzal na swoje rece. Uswiadomil sobie wtedy, ze cos go mocno szarpie za but. Wszeczek rosl gesto, lecz w tym miejscu zdeptano go, wiec bez problemu dostrzegl Toggora. Faree nachylil sie i podniosl smaksa, obejmujac go mocno. W tym labiryncie bolesnych wspomnien Toggor pozostal prawdziwy, zywy i byl opoka, na ktorej mogli sie oprzec.

Tulil go, czerpiac przyjemnosc z bliskosci zwierzatka.

-Widze tylko strzepki obrazow. Boli, kiedy mysle - powiedzial powoli. - Sadze jednak, ze istnieja tu dwie sily nie dzialajace razem. Fragon - i nie kazcie mi powiedziec, kto albo co tak jest nazywane - wlada tym oparem i ma szpiegow w calej krainie. Darthor przesyła obrazy tego, co dzieje sie na ziemi, kursujac wzdluz mgly. Wydaje mi sie... - zasepil sie i smaks drgnal lekko, jakby scisnieto go zbyt mocno, aby mogla to zniesc nawet jego gruba skora. - Wydaje mi sie, ze cos jest za ta mgla - ten ktos, kto mnie wzywal. Jest w wielkim niebezpieczenstwie i potrzebuje pomocy.

-Ktoej ten Fragon nie pozwala udzielic? - dopytywal sie Vorlund.

Mlodzieniec pokiwal glowa.

-Nie moglem przejsc przez mgle, natrafilem na sciane. Przypuszczalnie druga bariera istnieje tutaj, gdyz Darthor nie mogl sie do nas zbliczyc. Dwie... dwie sily... - Jego glos ucichl.

Faree poznal wyraz skupienia, jaki malowal sie na twarzy Maelen. Tak wygladala, kiedy komunikowala sie z jednym ze zwierzat lub ptakow, od zawsze bedacych odbiciem jej jazni.

Zoror i Vorlund rowniez przygladali sie Ksiezycowej Spiewaczce. Cienie wydłużaly sie, a slonce zнизalo ku zachodowi, bez trudu siegajac szczytu urwiska, na ktore oni nie mogli sie wspiac. Dlonie Maelen porozowialy. Faree domyslil sie, ze wytezala ze wszystkich sil jeden z zmyslow obronnych, jakie zachowal jej lud, kiedy zniszczyl swa grozna i zawila przeszlosc, aby stac sie plemieniem wedrowcow na planecie, gdzie niegdys wladal.

Mruczala pod nosem i Faree odczul wibracje tego cichego dzwieku. Rumieniec rozlal sie po jej ciele i pociemnial.

Kobieta otworzyla oczy.

-Tu rzeczywiscie cos jest. Nie daje sie jednak wyczuc w zaden ze sposobow, jakie zna moj lud. Ono wie o naszej obecności. Jest... - Nie dokonczyla tego, co zamierzala powiedziec, gdyz jej rece, wyciagniete do tej pory do przodu, skierowaly sie w dol ku pagorkowi, na ktorym stali.

Faree zaparło oddech w piersi. W tej samej chwili uslyszal cichy syk Zorora. Wtem spod ich nog...! Najwyrazniej cos

ocieczale wypelzalo spod ziemi, wprawiajac grunt w ostrzegawcze drzenie.

Gwałtownym ruchem podbil reke Maelen. Wiedzial, ze budzaca sie i poruszajaca istota nie jest przyjaznie nastawiona do nich.

Odwazyl sie potrzasnac mocno Maelen, jakby mogl ja w ten sposob sklonic, aby zrzucila wiezy przymusu. Potem kobieta spytala go wprost:

-Co przybywa na moje wezwanie?

Odpowiedzi dostarczylo zrodlo poza jego swiadomoscia i kiedy jej udzielil, byl calkowicie przekonany ojej prawdziwosci.

-Szosty Obronca Har-le-don. Ten, ktory zjawi sie w ostatnich dniach Odleglego zgromadzenia, dluzej nie zwiazany juz przysiega z zadnym wladca, lecz zyjacy w cieniu wiezi... - W tym momencie krzyknal i zadal glowe, aby spojrzec w wieczorne niebo. Nie uslyszal jednak lopotu skrzydel ani podnoszacej na duchu piesni wojennej. - Nie nadchodz, ciemnosci, albowiem nasz dzien jeszcze nie swita! - Choc rozumial wykrzykiwane przez siebie slowa, nie mowil w powszechnym jezyku handlarzy.

Zoror zareagowal pierwszy. Objal luskowata reka ramiona Maelen i ciagnal ja ze szczytu kopca. Vorlund sam odskoczyl na bezpieczna odleglosc od pagorka.

-Faree! - krzykneli jednoczesnie. Mlodzieniec jednak mial wrazenie, ze rosnace gesto ziola oplataly mu stopy i nie chca go wypuscic. Wciaz wyczuwal to, co ruszalo sie pod ziemia. Potem poczul cos jeszcze, jakis cios - aczkolwiek slaby - wymierzony w jego umysl. Tym razem nie sprawil mu bolu, byl raczej chlodny i niezdecydowany. Ten, kto go zadal, sprawial wrazenie lekko rozbudzonego... nie wrocil jeszcze do...

Faree z calych sil odparl atak, przeszedl do obrony. Jego skrzydla rozpostarly sie, aby uniesc go w powietrze, lecz nie w strone statku, gdzie zamierzal poleciec, a raczej pod wplywem rozkazu, ktoremu nie mogl sie sprzeciwic. Wyladowal na nastepnym kopcu, a po kilku chwilach odpoczynku ponownie wzbil sie w niebo. Znow jakas neodparta sila kazala mu przebyc otwarta przestrzen i lecial od jednego pagorka do drugiego, az dotarl do polnocnej sciany urwiska. Tam przymus ustalil. Odkad wyladowali, nigdy nie czul sie tak swobodny, jak wtedy, gdy stanal na ziemi.

Nie mial pojecia, co go zmusilo do tego lotu. Zwinal ciasno skrzydla i po raz pierwszy nie majac do nich zaufania, wrocil pieszo do statku, podazajac sladem pozostalych.

Nie mial ochoty ogladac sie przez ramie, aby sprawdzic, czy na Wielkim Kopcu widac slady wstrzasow, jakie targaly nim od spodu.

Zastal wszystkich w kabinie pilota. Zoror trzymal czytnik, wpatrujac sie wielkimi oczami w ekran mniejszy od jego waskiej dloni.

-Lud Wzgorz. - Jego glos brzmial sykliwie, jak zawsze, gdy Zakatianin byl podniecony. - Tak brzmi ich prastare miano: Lud Wzgorz. Czesto tez powiadano, ze ich krolestwa, ich kryjowki, znajdowaly sie wewnatrz kopcow!

-To byl basniowy czar.

Wszyscy troje uniesli glowy, aby spojrzec na Faree. Maelen i Vorlund patrzyli z wyczekiwaniem, ale Zororowi zaiskrzyly sie oczy.

-Ach, basniowy czar... - powtorzyl.

-Nie zadawaj mi pytan! - krzyknal mlodzieniec. Znow scisnal obolala glowe. - Nie wiem, skad biora sie te slowa, ani dlaczego...

-To nie pytanie - dokonczyl Zoror. - Raczej czesc legendy o Malym Ludku. W wielu opowiesciach zebranych z planet, na ktorych osiedlila sie stara terranska rasa, mozna odnalezc takie skrawki wiedzy. Jedna z tych bezustannie powtarzanych historii sklada sie z dwoch glownych elementow. Po pierwsze, Lud Wzgorz (trafiles w samo sedno, mlodszy bracie, nadajac im takie miano) poslugiwal sie inna rachuba czasu. Smiertelny mezczyzna lub kobieta przebywajacy w ich towarzystwie, powiedzmy, przez noc, w rzeczywistosci tracili rok ze znanego sobie zycia, a pobyt pod wzgorzem przez rok oznaczal dla wieznia albo goscia z zewnatrz uplyw kilku stuleci. Druga dziwna umiejetnoscia, jaka posiadali, byl dar rzucania basniowego czaru. Dzieki niemu mieszkancy swiata na zewnatrz i na gorze dawali sie latwo zmylic i byli przekonani, ze widza zupełnie cos innego niz to, co istnialo w rzeczywistosci. Ktos z Malego Ludku mogl zaplacic za usluge zlotymi monetami, lecz tak obdarowany znajdowal pozniej w kieszeni jedynie zeschniete liscie albo peczek trawy. Ludek

potrafil wznieść ogromny pałac godny wielkiego pana, lecz ten, kto tam ucztował z nimi, budził się następnego dnia w zrujnowanej i opuszczonej zagrodzie dla bydła. Powiadają również, że istota ludzka, której wzrok przebił stworzona przez nich zasłona iluzji, mogła oslepnąć, kiedy ta wiedza wyszła na jaw.

-Zawsze więc byli zaciekle wrogami innych ras? - spytał Vorlund.

Zoror podrapał się zrogowaciałymi palcami po brodzie. Obrócił się lekko, tak że patrzył teraz na północ.

-Według starych baśni Ludek był bardzo zmienny. Jednym istotom spoza swojej rasy chętnie pomagał, sprzymierzając się z nimi w obliczu zagrożenia. Inni służyli im do zabawy lub padali ofiarami ich bezmyślnego okrucieństwa...

-Innymi słowy - stwierdził Vorlund, kiedy Zakatianin umilkł - bardzo nas przypominali. Używali tylko broni, która my nie potrafilibyśmy władać.

-To prawda - przyznał Zoror. - A co teraz zechce z nami zrobić... musimy zaczekać, a wtedy zobaczymy.

-Zobaczymy! - Maelen nie powtarzała słów Zorora, lecz raczej podkreślała ich wagę.

Zapadał zmierzch. Słońce zniknęło za krawędzią gór, a jego obecność zdradzało tylko błędne pasmo różu na niebie. Mimo to w niecce doliny pojawiły się inne światła. Na szczycie każdego kopca zapłonęły świetliste punkciki. Różniły się między sobą odcieniami i kolorami - jedno rozbłysło różowo, przechodząc prawie w karmazyn, a drugie w pierw blekitnie, a potem zielono; inne były żółte, szkarłatne, nawet ciemnofioletowe. Tylko największy kopiec wyglądał inaczej.

Światło, które się na nim pojawiło, nie przypominało płomyka świecy. Wyrosło raczej na kształt kregu, a z jego obwodu strzeliły snopy - w kształcie włocznicy - olniewającej jasności. Miało kolor lodowatego srebra, jakiego można ujrzeć zimą na śnieżnej zaspie, kiedy poświata księżycowa w pełni ścieli się na lodowych kryształkach. Groty tych włocznicy również iskrzyły się na niebiesko i zielono.

-Korona - rzekła cicho Maelen.

Faree mocno przygryzł dolną wargę i starał się opanować. Tak jak poprzednio, kiedy coś nakazało mu wzbic się w powietrze i polecieć nad nieznaną krainą, tak teraz znowu opanowała go jakaś siła. Mimowolnie wyciągnął rękę - choć kopiec znajdował się poza jego zasięgiem - i poruszał palcami, próbując chwycić koronę. Potem potrząsnął głową, jakby rozpedzał wewnętrzną mgłę, i zacisnął pięść.

-Zguba Stavera... - rzekł półgłosem. - Weź ją, a świat padnie ci do stóp! - Wtem zaczął krzyżeć, a echo jego głosu poszybowało ponad fontanną roziskrzonych płomieni. - Nie zakłócam twojego spokoju, Pradawny! Nie chce od ciebie mocy! Spij, Havermut, twój czas nie nadszedł! - Drzał, jedna ręka tuląc Toggora, który był dla niego opoką w tym wirze zwalczających się wzajemnie sił.

Wychylił się za barierkę trapu i z jego wykrzywionych ust popłynął stek najgorszych wyzwisk, jakiego można było usłyszeć na Obrzezach. Przeklinał świetlistą koronę i nocne płomyki wokół niej, a w tych przekleństwach strach mieszał się z gniewem.

Słowa lecały w przestrzeń najwyraźniej miały jakąś moc, gdyż płomyki zamrugwały. Jednakże to, co Faree nazwał Zguba Stavera, wciąż rozrastało się i obejmowało coraz większą część pagórka. Srebrzysta poświata splaywała po zaokrąglonych zboczach kopca. Nie przypominała już korony - była raczej wirującym kołem. Światła snopów przybrały postać zlewających się kół.

Faree, zachrypnięty od krzyku, złapał za poręcz trapu. Wystarczyło tylko żeby... "Nie!" - krzyknęła w jego głowie inna część jego jądzi, zagłuszając tę pierwszą - pierścien rzeczywiście przyniosłby zgubę każdemu, kto by go dotknął. Nie była to bowiem korona z blekitnego księżycy, lecz podstęp, pułapka i przynęta na głupców! Tego był pewny.

Krag zniżył się do poziomu gruntu, tworząc ściany wokół kopca. Znad niego wznosił się opar mgły...

Faree wzdrygnął się. Jedna ręka wciąż sciskając Toggora, dzięki któremu był bezpiecznie zakotwiczony w tym czasie i rzeczywistości, druga machał w powietrzu, poruszając palcami, jakby mógł zmasać to, co widział.

Z nieba nad ścianą doliny, gdzie szybko zapadała noc, trysnął snop światła o mocy promienia laserowego. Przeleciał przez wciąż płonące świece i uderzył z całym impetem w stojących na szczycie trapu. Zoror krzyknął i upadł. Z palców Maelen strzeliła teczka iskier. Vorlund złapał ją, kiedy zatoczyła się do tyłu, i przycisnął do siebie. W tym momencie kosmiczny przybysz wydawał się najsilniejszy. Faree zamarł, jakby świetlna igła przybiła go do miejsca, w którym stał.

Nadeszła z polnocy i chociaż patrzył w sam srodek jasności, nie mogąc odwrócić oczu, nie widział oslepiającego światła, lecz to, co znajdowało się za nim. Zobaczył balkon na murze, a na nim postacie - nie dojrzał wyraźnie ich twarzy ani sylwetek, lecz mimo to odgadł, kim byli - władcami tego świata. A dla nich wszyscy, przybywający statkami, byli śmiertelnymi wrogami.

ROZDZIAŁ 9

Rozległ się jęk. Faree przetarł oczy, które go szczypały, i odwrócił głowę. Po lewej stronie zobaczył Vorlunda opierającego się o właz statku. W ramionach kosmicznego przybysza leżała bezwładnie Maelen. Oczy miała zamknięte, lecz cicho jęczała i próbowała unieść reke. Zoror pierwszy dotarł do wnętrza statku mogącego stać się ich tymczasową kryjówką. Siedział na podłodze, trzymając się za głowę. Otworzył zębatą paszczę i dyszał ciężko, jakby się dusił. Kiedy Faree wyrzwał na zewnątrz, zobaczył, że światło wcale nie zgasło, tylko zatrzymało się w drzwiach, jak gdyby drogę zagroziła mu jakaś namacalna siła. Zoror ukląkł. Mimo że wciąż oddychał z trudem, jego stan najwyraźniej nie przeszkadzał mu w poszukiwaniu wiedzy, co stanowiło odwieczne zajęcie jego gatunku.

Wyjął zza paska noż w kształcie pazury, będący zarówno honorową odznaką jego ludu, jak i najczęściej jedyną jego bronią. Chwycił koniec sztyletu dwoma palcami i rzucił go na zewnątrz. Bron zsunęła się z hałasem po trapie i spadła na ziemię.

To, co nastąpiło później, można było porównać do znalezienia się w pobliżu rufy startującego statku. Buchnęło oslepiające światło, od którego Faree znowu stracił wzrok. Potem. ... Coś, co wyczuł wcześniej... jakiś przymus, sroga wola... wszystko znikło. Jedną ręką otarł oczy; wciąż łzały. Natomiast włocznia światła z polnocy zgasła. Ognista bron przypuszczalnie odmówiła posłuszeństwa; był przekonany, że nie wyłączono jej dobrowolnie. Pozostały jeszcze, niczym szept w jego głowie - niepokój - strach - zdumienie. Później także to znikło i nie było już niczego, oprócz mroku i ciszy.

Plomyki na kopcach zgasły tak szybko jak świetlna bron. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Nasilający się wiatr chłostał lodowatym biczem Faree, który z trudem przeszedł kilka kroków w przód, żeby popatrzeć na dolinę. Z początku przeraził się, że ostatni błysk płomieni oslepił go. Później, kiedy rozpaczliwie pokręcił głową na boki, stwierdził, że każdy z kopców wciąż wysyła w chłód nocnego nieba cienkie smuzki bladej poświaty. Wyglądały jak oddech niewidzialnych potworów, który stał się widoczny za sprawą lodowatego powietrza.

Nie widział korony ani płomieni świec. Oparł się o framugę drzwi i spojrzał dalej, na północ, skąd nadleciała włocznia. Mocno przygryzł dolną wargę - tu... i tam... i tam!

Paliły się tam słabe światełka. Nie tak jasne jak świece na kopcach, prawda mówiąc dość wattle, aby uchodzić za duchy plomków. Kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności, mógł je policzyć - było ich dziewięć. Były zbyt blade, aby je uznać za ogniska i z każdego z nich wypływała wstążka szarej nienaturalnej mgły. Smuzki sunęły na południe i rozposcierały się nad doliną, łopocząc niczym proporce. Pierwsza z nich opadła jakby chciała wyciągnąć ich z kryjówki, lecz dotarła jedynie do podnoża trapu. Tam stanęła, klebiąc się i snując w te i z powrotem. Przyłączały się do niej inne pasma oparu, zasilając ją i czyniąc bardziej widoczną.

Mgła usilnie starała się przedrzeć do nich, ale coś zagrażało jej drodze. Za plecami Faree ktoś krzyknął. Trzasnął ogluszacz wymierzony w wijący się język mgły. Opar nie zniknął, wręcz przeciwnie, najwyraźniej czerpał siłę ze skierowanej przeciwko niemu energii. Język mgły rozszerzył się, a jego ruchy stały się bardziej energiczne. Wydawał się teraz groźniejszy, chociaż wciąż sięgał jedynie do podnoża trapu.

-Nie! - Faree usłyszał głos Zorora. - Zimne żelazo - twój noż w cholewce buta - niech mgła poczuje żelazo!

Polecenie mogło być przeznaczone dla Vorlunda, lecz Faree zareagował pierwszy. Wsunął dłoń do buta i chwycił rekojesc noża. Vorlund nauczył go, jak nim władać, chociaż dotychczas używał broni jedynie podczas ćwiczeń. Rekojesc była ciepła, a kiedy ją unosił, stała się naprawdę gorąca. Faree rzucił noż, mierząc w język mgły, jak wcześniej zrobił to Zakatianin. Zobaczył czarny punkcik leżącego noża, a później gwałtowną reakcję mgły. Opar rozdarł się na strzępy, które łopotyła szalenczo w powietrzu. Chwile później Faree zdał sobie sprawę, że Vorlund poszedł w jego ślady i również rzucił nożem kosmicznych wedrowców.

Mgła zadrzała, zmieniła się w zlepek poszarpanych rozplywających się pasemek. Cofnęła się do kopca, który uprzednio wieńczyła korona, lecz nie popłynęła dalej. Zmieniła natomiast kierunek i mierzyla teraz w ziemię, a nie w statek. Znowu odzyskiwała kształt i siłę.

-Zimne żelazo! Wciąż to prawda! - Dłoń Zorora spoczęła na prawym ramieniu Faree. Wprawdzie Zakatianin uległ mocy pierwszego promienia, lecz teraz jego głos odzyskał pełną siłę i głąbie. Wszystko wskazywało, że jaszczur wrócił do siebie. Stał obok Faree i wyrzwał za drzwi, mrużąc oczy i starając się dostrzec coś w ciemnościach.

-Zimne zelazo? - zainteresowal sie Vorlund. - Co chcesz przez to powiedziec?

-Powiedziec? - W glosie Zorora slychac bylo entuzjazm osoby, ktora przypadkiem natknela sie na od dawna poszukiwany skarb. - Tylko to, ze znow znalezlismy w legendzie ukryte gleboko ziarno prawdy, bracie. Wiesc niesie, ze jedyny orez, wobec ktorego Maly Ludek jest bezbronny, to zelazo - ono uczynilo czlowieka panem swiatow, na ktorych oni kolejno sprzeciwiali sie jego wladzy.

Rozlegl sie cichy jek, bardziej podobny do westchnienia. Faree szybko odwrocil sie. Vorlund kleczal, podtrzymujac Maelen. Jej twarz w swietle statku wydawala sie blada i mizerna. Kobieta wygladala tak, jakby od dawna lezala zlozona jakas choroba. Potem otworzyla oczy i podniosla wzrok na Zakatianina.

-Oni maja moc, jakiej nie moze wezwac nawet Spiewaczka...

Zoror pokiwal glowa.

-Zawsze powiadano, ze nielatwo ich pokonac. Czegos jednak nie wiemy - dlaczego mieliby atakowac bez ostrzezenia, skoro nie mamy wobec nich zlych zamiarow?

-Z mojego powodu! - powiedzial z gorycza Faree. - Ja rowniez nie posiadam wystarczajacej wiedzy, aby odkryc powod ich napasci. - Bol glowy znow sie nasilil. Bylo cos... cos, co trzeba bylo zrobic... ta potrzeba nie dawala mu spokoju. Nie wiedzial jednak, na czym to polegalo ani dlaczego musi tego dokonac.

-Jestesmy tu bezpieczni. - Zoror popatrzy na towarzyszy, na chwile zatrzymujac spojrzenie na kazdym z nich, jakby ocenial ich sile i umiejetnosci. - Odpocznijmy tej nocy w bezpiecznym krolestwie zelaza i zobaczmy, co przyniesie nam ranek.

Faree, znow na pol oslepiony bolem glowy, poslusznie wyszedl na korytarz za drzwiami. W jakis sposob dotarl do swojej kabiny i padl na hamak, wiedzac tylko, ze jego cialo wypoczywa i byc moze jego umysl robi to samo. Poruszyll niespokojnie reka. Poczul cos lepkiego w dloni. Nie wiedzac, co robi, ani tez nie dbajac o to, uniosl reke i oblizal ja, zbierajac jezykiem resztki zgniecionych lisci i jagod wszechleku. Przezul i polknal te mase. Bol, ktory sciskal jego glowe niczym ciasna opaska, zelzal. Faree osunal sie w ciemnosc, jakby potknal sie na trapie i zeslizgnal na dol.

Ujrzal wielka sale, okna w jej scianach migotaly swiatlem - zimnym swiatlem, mimo iz niektore kolory byly jaskrawoczerwone i jaskrawozolte. Srebrna posadzke byc moze ulozono z prawdziwych cegielek tego metalu. Faree nie tyle stal po niej, co lecial nad nia, a mimo to nie czul, aby mial rozpostarte skrzydla.

Pomiedzy roziskrzonymi szybami znajdowaly sie plyty z takiego samego srebra jak pod jego stopami. Widnialy na nich plaskorzezby. Czesc przedstawiala stworzenia tak dziwaczne, jak ten ziejacy ogniem waz, ktory scigal go do doliny. Inne mialy ludzkie ksztalty, lecz roznily sie od siebie.

Byly tam istoty podobne do niego, skrzydlate i najwyrazniej podrozujace w przestworzach, jak i stwory groteskowe, czasami potworne, lecz najczesciej tylko dziwaczne i nie budzace takiej grozy, jak kilka innych.

W sali pozbawionej pochodni lamp swiatlo zdawalo sie bic z posadzki. Wtedy Faree zauwazyl opar klebiacej sie i snujacej, gestej jak mleko mgly, za kazdym razem coraz bardziej zblizajacej sie do srodka komnaty. Skads dobiegl pojedynczy wibrujacy dzwiek. Dwa pokryte wizerunkami bloki wsunely sie w sasiednia sciane i weszly dwie osoby. Spowite byly skrzydlami podobnymi do kolorowych peleryn, tak jak Faree, kiedy chodzil po ziemi.

Wyzsza z tych istot miala skrzydla ciemnokarmazynowe w srebrne smugi blyszczace jak posadzka, wyrastaly z jej ramion, zaslanialy prawie cale cialo. Mezczyzna ten (rysy tej spokojnej i nieomal beznamietnej twarzy byly ostre i meskie, a policzek przecinala blizna) nosil glowe wysoko i wydawalo sie, ze w jego wielkich oczach skrzyly sie ogniki.

Jego towarzyszka w rownie oczywisty sposob byla kobieta. Skrzydla, ktorymi sie otulala, mialy delikatny, bladokremowy kolor kwiatow wszechleku, lecz i je pokrywaly srebrzyste cetki, ktore migotaly niczym klejnoty przy kazdym jej ruchu. Dlugie wlosy splecione w warkocz okalaly jej glowe, a w ich bladozolte pasma wpleciono sznury klejnotow. Po wejsci do komnaty kobieta rozpostarla ciasno zwiniete skrzydla, aby pokazac, ze nosi krotka, obcisla, srebrzysta suknie, sciagnieta w talii szerokim pasem ze zlota i brazowych drogich kamieni. Na pierwszy rzut oka mogla wydawac sie zaledwie dziewczynka u progu dojrzalosci, lecz kiedy spojrzalo sie na nia z bliska, zwlaszcza na jej oczy, mozna bylo dostrzec w nich oznaki wieku i madrosci.

Mezczyzna wyszedl na srodek sali, rowniez rozkladajac skrzydla. Cale jego cialo, nawet rece i nogi, okrywala lsniaca czerwona siateczka, a waska talie opasywal szeroki pas ze srebrnych lusek, na ktorym wisial jakis orez. Faree poznal go z obrazkow w kolekcji Zorora: taka bron nazywano mieczem. Mezczyzna bawil sie klamra pasa i patrzyl posepnym wzrokiem. Jego zmarszczone brwi prawie spotykaly sie posrodku czola. Wbijal oczy w posadzke, jakby na jej powierzchni mogl znalezc odpowiedz na dreczacy go problem.

Jego towarzyszka nie weszla tak daleko do pokoju. Uniosla glowe, jak ktos, kto rozglada sie po niebie, i widac bylo, ze jej uwage absorbuje cos w gorze. Zanim ktokolwiek zrobil nastepny krok albo przemowil, jesli mowili na glos, rozlegl sie drugi sygnal, tym razem podwojny i dochodzacy jakby spod ziemi. Odsunely sie dwie nastepne plyty, lecz ci, ktorzy weszli, bardzo sie roznili od pierwszych przybyszow.

Byly to niskie, pozbawione skrzydel istoty. Garbily sie lekko, jakby przywykly do chodzenia w miejscach, gdzie sklepienie znajdowalo sie blizej podloza.

Rece i nogi do kolan mialy obnazone. Ich szorstka, brazowa, pomarszczona skora upstrzona byla ciemnymi plamkami, a ubrania charakteryzowaly sie prawie takim samym kolorem, co ich ciala. Gaszcz kedzierzawych, zoltosiwych wlosow pokrywal twarze obydwu od policzkow w dol. Takie same czupryny najwyrazniej rosly tez na ich glowach, gdyz spod przybrudzonych rdzawoczerwonych czapek sterczaly bure kosmyki. Twarze o wielkich, zakrzywionych nosach i gleboko osadzonych oczach byly prawie calkiem zasloniete. Postacie zblyzily sie do siebie i zrobily kilka krokow naprzod. Bila jednak od nich atmosfera podejrziwosci, jakby nie czuly sie swobodnie w tym miejscu albo w takim towarzystwie.

Skrzydlaty mezczyzna obejrzal sie i kiwnal glowa, na co obie sekate istoty odpowiedzialy mu takim samym kiwnieciem. Kobieta jednak wciaz spogladala w gore, odwracajac teraz glowe, aby objac wzrokiem cala komnate. Nie zwracala uwagi na przybyszow.

Trzeci dzwiek rozlegl sie tuz po tych, ktore sprowadzily brodaczy. Otworzyly sie ostatnie drzwi i weszla zamaskowana postac, z powodu okrywajacych ja luznych szat nie mogaca byc jednoznacznie nazwana ani mezczyzna, ani kobieta. Maska, zaslanajaca cala glowe, po obu stronach szyi przymocowana byla do ramion matowymi brazowymi broszami. Miala ksztalt lba jakiegos zwierzca, nie zapomniano nawet o ostrzych iglach szczeciny na wielkich, spiczastych uszach i tyle glowy, jak rowniez obwislych policzkach, ktore pomagaly tworzyc twarz (jesli zaslugiwala na takie miano). Po obu stronach ryja - znajdujacego sie nad niedomknieta paszcza - zialy czarne jamy malych oczek. W szczekach osadzono pelen komplet zielonkawozoltych zebow, a po obu stronach pyska sterczaly na zewnatrz zakrzywione kly.

Szata, ktora nosil przybysz, rowniez odgrywala maskujaca role i ukladala sie w liczne faldy. Byla czerwona, a na jej powierzchni widnialy czarne kreski zdajace poruszac sie przy kazdym kroku. Czasami tworzyly wzory, lecz juz przy nastepnym ruchu nie zostawalo po nich sladu.

Kiedy zamaskowany osobnik ruszyl ociezale, jakby pod szata krylo sie potezne cielsko, dwaj mezczyzni w czapkach cofneli sie pospiesznie i odsuneli na bok, tak ze skrzydlaty czlowiek znalazl sie miedzy nimi a Zwierzeca Maska. Kobieta nie zwracala uwagi na przybysza, ktory dolaczyl do ich grona. Nadal z podniesiona glowa szukala czegos wzrokiem. Zwierzeca Maska pierwszy przerwal cisze. Mial gardlowy glos, jakby mowa byla wyzwaniem dla jego warg i jezyka. Jego slowa zlewaly sie w monotonny belkot.

-Po co to wezwanie?

Odpowiedzial mezczyzna, chociaz z jakiegos powodu Faree poczul sie zaskoczony, ze uzyl slyszalnej mowy:

-Przybyli w wiekszej sile. Maja tez kolejna przynete - osobe, ktora naklonili do tego, aby im sluzyla...

-Gdzie? - spytal Zwierzeca Maska.

-Postawili swoja lowiecka klatke w Dolinie Vore - odparla kobieta, ani na chwile nie odrywajac oczu od tego, czegos szukala.

Jeden z malych ludzi rozesmial sie. Dzwiek przypominal zgrzyt zardzewialego rygla w dawno nieuzywanym zamku.

-A ci, ktorzy spia, zaczeli sie budzic!

Przez chwile panowala cisza. Faree odniosl wrazenie, ze sposrod wszystkich obecnych najwieksze zdziwienie okazal Zwierzeca Maska.

-Nie moze byc odpowiedzi. - Ten glos zabrzmial jeszcze chrapliwiej. - Umarli dawno temu

oddali swa materie ziemi. To, co bylo ich istota, ulecialo wraz z ciosami, ktore pozbawily ich zycia...

Karzel znow sie rozesmial.

-To dobra nauka. Dzieki temu mozemy spac spokojnie i nie myslec o dawno wyrzadzonych krzywdach i zadoscuczynieniu za nie. Ziemia kryje wiele, lecz jej wrota sa dla nas otwarte! - Uniosl glowe najwyzej jak mogl nad garbate ramiona. - Mozecie poskromic umarlych rozdzka, a nawet zelazem... - Faree zauwazyl, ze na dzwiek tego slowa skrzydlaty mezczyzna zadrzal - lecz nadejdzie taki dzien, kiedy okowy pekna, gdyz nawet zelazo przezera rdza. Nie myslcie sobie, ze pozbyliscie sie Lowcow i Tarczownikow, tylko dlatego, ze pochowano ich z waszymi najlepszymi czarami. One tez moga sie z czasem rozproszyc...

Przerwala mu kobieta. Spuscila glowe i Faree odniosl wrazenie, ze patrzy prosto na niego: otworzyla szeroko oczy ze zdumienia i wyciagnela do niego reke. Domyslil sie, ze jej skrzyzowane palce ukladaly sie w znak ostrzegawczy.

-Tu ktos jest! - Jej slowa zabrzmialy ostro niczym dzgniecie nozem.

Pozostali spojrzeli teraz w jego kierunku. Mezczyzna wyciagnal miecz. Klinga wygladala tak, jakby zrobiono ja z usztywnionego i lekko zakrzywionego plomienia. Gdyby Faree mogl uciec, zrobilby to w tym momencie. Niemniej jednak sila, ktora go tu sprowadzila, nie wypuscila go ze swojej mocy.

-Kto? - Mezczyzna zapytal kobiete. Zwierzeca Maska stanal obok. Wydawalo sie, ze nozdrza maski rozdely sie, jakby noszaca ja osoba naprawde mogla wywieszyc obca won.

-Atra... - Gruby glos spod maski wymowil to slowo z takim obrzydzeniem, jakby bylo jakimś wstretnym przeklenstwem.

Kobieta zaprzeczyla stanowczym ruchem glowy.

-Nie, to nie ona. Mogli uczynic z niej swoje narzedzie, lecz wtedy przynioslaby ze soba ich smrod. On nie przyszedl w materialnym ciele...

Zwierzeca Maska wyciagnal spod faldzistej szaty reke, ktora w porownaniu z reszta ciala wydawala sie dluga i chuda. Uniosl ja i zwrocil wewnetrzna strona dloni ku gorze. Faree zauwazyl blysk krazka zdajacego sie tkwic we wglebieniu otoczki z ciala i kosci.

Barwny, a raczej wielobarwny palec, gdyz mienil sie kolorami teczki, zaczal sie wic w powietrzu i zmierzac w kierunku Faree. Kobieta rzekla jedno slowo i reka zadrzala, a Zwierzeca Maska krzyknal, jakby z bolu. Mezczyzna jednym krokiem znalazl sie u boku kobiety. Rozlozyl skrzydla tak gwaltownie, ze koncem jednego z nich omal nie przewrocil Zwierzecej Maski.

-Glupiec!

-To ty jesteś głupcem, i to potrojnym! - odwarknęła zamaskowana istota. - Skąd mamy wiedzieć, jaka bron stworzyli Lowcy przez te stulecia? Czyż nie mogli wysyłać fałszywego obrazu, aby ukryć nadejście szpiega? A co my zrobiliśmy? Ukryliśmy się za naszymi ścianami chmur, uciekaliśmy od świata, odcinając się od niego. Powiadam wam, w ten sposób nigdy nie pozbedziemy się tego robactwa idącego naszym śladem w kosmosie od ponad pięciu żywotów Gwiazdy!

Ruch zamaskowanej głowy, która uniosła się ku górze, przyciągnął uwagę Faree, chociaż młodzieniec miał wrażenie, że nie może się ruszyć z miejsca, stoi jak zwierze przeznaczone na rzeź. Sufit wielkiej sali również był srebrny, jednak stanowił oprawę dla czegoś innego. Na pojedynczym lancuchu zwisał z niego olbrzymi kryształ. Jego miniaturowe wersje stanowiły amulety, jakie Faree widział u osób wierzących w moc szczęścia. Ten rozdzielał się na trzy części - dwa kryształy po bokach wyrastały z środkowej bryły jak konary z pnia wielkiego drzewa.

Powierzchnia kryształu mieniła się tęczami światła podobnymi do tkwiących w palcach Maelen. Ostre zakończenia trzech rozgałęzień rzuciły błyski światła. Faree poczuł nagle, że ogarnia go potężna fala jakiegoś uczucia. To, co czuł na pagórkach w dolinie - to wrażenie, że jest częścią czegoś, czego nie rozumie, że nieswiadomie może uwolnić coś, nad czym nikt nie potrafi zapanować, wróciło ze stukrotną siłą.

-Atra! - Z całą pewnością tego nie powiedział. Jakas myśl skłoniła go do próby błagalnego wzniesienia rąk do potrojnego kryształu.

-Tutaj! - kobieta krzyknęła cicho. - Tu jest ktoś z naszego rodu! - Ruszyła biegiem, zanim Faree zdążył się odsunąć, i machnęła ręką, jakby próbowała go pochwycić. Zobaczył jej palce tuż przed swymi oczami, ale nic nie poczuł. Wszystko wydawało mu się tak prawdziwe, że przez chwilę nie mógł uwierzyć, iż go tam nie ma.

-Nie Atra... - Mężczyzna znowu podszedł do niej. Odwrócił miecz i dzgał powietrze jego rekojescią, przechodząc przez miejsce, w którym znajdował się Faree.

-Nie. - Kobieta opuściła rękę. - Jeśli to nie jest Atra, kto zatem nas szpieguje? Ci zbrojcy żywcem nie pojмали nikogo innego.

-I żaden z nich nie ma takiej wewnętrznej mocy, żeby tu wejść! - dodała kobieta. - Kto inny... - Wyraz zaskoczenia i ciekawości na jej twarzy zastąpiła gładka maska, w której tylko oczy wydawały się żywe. Były żółte, jak te, które Faree widział, patrząc w lustro. - A może ktoś zrobił coś jeszcze głupszego - spróbował sprowadzić Atrę? Ktoś z Icarinów mógł złamać przysięgę. Drugi raz pojmana...

-Zatem was, skrzydlatych, przysięgi nie obowiązują - warknął jeden z małych ludzi. - Jesteście krzywoprzysięzcami?

-Wlasnie - powtorzyl jego kompan. - Czyz Atra nie jest Szlachetnej Krwi? Wy zawsze trzymacie sie razem, skrzydlaki! Czyz nie zastawiono pulapki z nia jako przyneta, natychmiast po tym, jak wpadla w ich rece? Ci chciwi "ludzie" nie sa glupi. Gdyby znow zlapali kogos podobnego do Atry i kazali jemu albo jej obserwowac... Czyz Sorwin nie powiedzial, ze moga uzyc przeciwko nam nowej broni? Ty! - Odwrocil glowe w strone Faree albo miejsca, w ktorzym mlodzieniec znajdowalby sie, gdyby dostal sie do tej bardzo strzezonej twierdzy. - Na skale i trzask, i gromu blask, na miecz i trzos, i sam tylko glos...

-Na serce i oko - zaintonowal jego towarzysz - ziemie i niebo wysoko.

-Ukaz sie! - Gniewne warkniecie Zwierzecej Maski zakonczylo zaklecie.

Faree poczul sie tak, jakby byl jednym z plomieni na szczytach wzgorz w dolinie. Cos go ciagnelo, raz w jedna, raz w druga strone. Mial wrazenie, ze tkwi w uscisku olbrzymich rak, ktore nim potraszaja...

Potraszaja. Nie bylo juz sali ze srebra i krysztalu - nie bylo skrzydlatych istot, karlowatych czarodziejow ani potwora o glowie bestii. Zrobilo sie tak ciemno, jakby zarzucono na niego peleryne. Potem otworzyl oczy.

Lezal w swoim hamaku na statku i mrugal, patrzac w oczy Maelen nachylajacej sie nad nim z troska. Za nia stal Vorlund. Wysoki Zakatianin zostal na progu kabiny. Cos poruszylo sie pod dlonia Faree i mlodzieniec poczul znajomy ksztalt kolczastego ciala Toggora. Mial sen - bez watpienia to wszystko mu sie przysnilo! Mimo to doskonale pamietal wszystko, co zobaczyl i uslyszal.

-Byles gdzie indziej - powiedziala Maelen i nie bylo to pytanie, lecz stwierdzenie.

Faree oblizal spierzchniete wargi. Czesciowo wciaz byl wyrzutkiem z Obrzezy, ktoremu dano nowe zycie i nadzieje, lecz jednoczesnie budzila sie do zycia jakas inna czesc jego jazni, swiadomosc zrodzona w znajomym bolu wewnatrz czaszki.

-Pod krysztalem... - Ten fragment wspomnien nagle wydal mu sie najwazniejszy. - Oni... oni boja sie nas. Nie, nie nas - poprawil sie. - Ludzi. - Po raz pierwszy zaswitala mu pewna mysl i jednoczesnie poczul podniecenie. - Czcigodny - zwrocil sie wprost do Zakatianina - czy my jestesmy ludzmi?

Zoror zamrugal.

-Kazdy z nas jakos nazywa istoty swojego pokroju, aby odroznic je od innych. "Meczczyzni", "kobiety"... w oczach istoty mojego gatunku ja jestem mezczyzna. Dla innego Thassy - wskazal teraz na Maelen - ona jest kobieta. Dla Thassy i byc moze Terranina, gdyz Krip niegdys byl Terraninem, ktory przez przypadek i z wyroku losu przybral postac Thassy, nasz przyjaciel jest mezczyzna dla obu tych gatunkow. Tak, my sami uwazamy siebie za mezczyzn, kobiety - ludzi. Kim mozemy byc dla innych... - Podrapal sie pazurem po

szczece. - Dla obcych możemy być kimś całkiem innym. Jednym z używanych słów jest "nieziemiec". Łączy nas inteligencja i być może jeszcze jakaś cecha umysłu lub ciała, lecz dla nich nie jesteśmy ludźmi w takim sensie tego słowa, jakiego używają między sobą.

Faree wiedział, że Zoror ma rację. Oto Zakatianin, dwoje Thassow i on, nie wiedzący, kim jest. Dążyli do wspólnego celu, ale nie należeli do tego samego gatunku - nie byli "ludźmi" według miary, jakiej używali ci, którzy pierwsi wyruszyli w kosmos.

-Myślę, że oni boją się kogoś takiego, jak mieszkańcy Obrzeży - powiedział powoli. - Może jednak uda nam się dojść z nimi do porozumienia...

-Z kim? - zaciekawiła się Maelen. - Maly bracie, gdzie podróżowałeś tej nocy?

ROZDZIAŁ 10

Dokładając wszelkich starań, aby słowami oddać to, co ujrzał, Faree streszczył cały swój sen. W rzeczywistości nie był to sen, lecz nie wiedział, jak go inaczej nazwać. -Aha. - Zoror pierwszy przerwał milczenie, kiedy młodzieniec skończył. - Mamy więc do czynienia z kilkoma różnymi rasami. Skrzydlate istoty, mali ludzie bez skrzydeł i ten, który nosi leb zwierzęcia. Opowiedz mi jeszcze raz, maly bracie, jak wyglądała jego maska.

Faree powtórnie opisał te postaci. Maelen i Vorlund przyglądali mu się tak wnikliwie, jakby mieli nadzieję, że zdołają wniknąć do jego pamięci i zobaczyć te sceny na własne oczy. Zoror jednak kiwał głową, jakby niespodziewanie wpadł mu w ręce jakiś strzepek wiedzy.

-Swinia... - stwierdził, kiedy Faree skończył. - Kolejna legenda ożyła na naszych oczach. Lud, którego szukamy, znalazł wspomniane przez ciebie zwierzę. Hodowanie go uważał za przejaw materialnego bogactwa. Może ten zamaskowany był... - Potem zmarszczył brwi. - Zargo twierdził jednak w swoich badaniach nad bliźniaczymi światami, że to sprawa związana z religią kobiet, a kapłanka odgrywa rolę pasterki, aczkolwiek opierał się na nielicznych i bardzo niepewnych źródłach.

Faree znowu przyszła na myśl zamaskowana postać. Czyżby to była kobieta - a w każdym razie istota rodzaju żeńskiego? Głos miała szorstki i niski. Mimo to nie ulegało również wątpliwości, że nie należała do tej samej rasy, co on i jego krewniacy - ona, on albo ono nie miało skrzydeł.

-Możemy przyjąć, że gdzieś w pobliżu wylądował jeszcze jeden statek - rzekł surowym tonem Vorlund, kiedy Zoror umilkł. - Jak również to, że jego załoga albo właściciel pojmał kobietę ze skrzydlatego ludu i używają jej jako przynęty.

-A jej pobratymcy - wtracił Faree - nie starają się przyjść jej z pomocą... - Teraz on zamilkł. Potem z jego ust popłynął potok słów. - To ona... z pewnością to ona wołała! - Gdy to powiedział, znowu odczuł lekki wpływ tej nieodpartej siły, która kazała mu opuścić miejsce lądowania i lecieć nad gorami, dopóki nie zatrzymał go opar mgły.

Mgla! Czy to ona była bariera służąca skrzydlatym ludziom do zatrzymywania pobratymców próbujących odpowiedzieć na wezwanie wieźnia? Faree taka możliwość natychmiast wydała się prawdopodobna.

Maelen odebrała jego myśl. Podeszła do przeciwległego końca hamaka, gdzie jeszcze tak niedawno spoczywała głowa Faree. Z tkaniny było słabe zielone światło. Kobieta scisnęła ją mocno w reku, znów wpatrując się uważnie w młodzieńca, jakby chciała go zmusić do działania. Niemniej jednak to Vorlund zadał pytanie.

-Nie pamiętasz niczego więcej o tych skrzydlatych ludziach? O tym, jak dostałeś się stąd na Obrzeza?

-Jeśli on pochodzi stąd... - poprawił go Zoror. - Może istnieje więcej planet, gdzie żyją podobne istoty. Jeśli prawda jest, że potrzebują świata podobnego do tego, jaki odpowiadał osadnikom ze starej Terry... Coz, nie ma zbyt wielu planet o takich cechach i nie wszystkie są zaludnione, a jeśli już, to bardzo słabo. Z naszych zapisów wynika, że Ludek zamieszkiwał w wielu miejscach razem z tymi, których dobrze znamy. Zawsze jednak nadchodził taki czas, kiedy Lud Pagorków zmuszony był odejść, znów uciec i poszukać sobie własnego miejsca, gdyż nigdy nie żył długo w pokoju z ludzką rasą. Takim również może być inna planeta...

Faree potarł dłoń o czoło. Znowu poczuł pulsujący, tępy ból z tyłu głowy.

-Domysły. - Vorlund wzruszył ramionami. - Jedyne, co mamy, to fakt, iż Faree odnalazł istoty podobne do siebie. Gdyby tylko udało nam się przełamać tę psychiczną blokadę, tak uciążliwa dla ciebie, maly bracie!

Maelen nachyliła się lekko i koniuszkami palców dotknęła czoła Faree dokładnie między jego wielkimi oczami. Kontakt ten sprawił, że młodzieńiec poczuł się tak, jak gdyby lykiem wody ugasił od dawna drczące go pragnienie. Zobaczył, że miała zamknięte oczy, i odebrał jej myśl.

-Rozluźnij się... rozpleć myśli, maly bracie. Nie próbuj stawiać oporu...

Usilnie starał się wykonać jej polecenie; fakt, że sam chciał znaleźć odpowiedź, dodawał mu zapалу.

Chwile później odwrócił się i zatoczył do tyłu, omal nie padając na hamak, z którego przed chwilą wstał. Zobaczył wokół siebie barwne smugi i kolory te sprawiały mu ból nie do opanowania. Trzymał się mocno brzegów hamaka, odnosząc wrażenie, że potop kolorów chce go porwać. Potem fala znikła i znów pograżył się w ciemności, słaby i rozdygotany.

-Nie potrafisz pojąć tej blokady. - Usłyszał głos Maelen, lecz wydawało mu się, że dochodzi z bardzo daleka.

-Pani, to blokada smierci! - Powiedzial stanowczo Zoror. - Nie wolno ci wiecej probowac. Nie znamy tej bariery, nie ma o niej wzmianki nawet w naszych kronikach...

-Moze jednak zna ja Gildia - wtracil szorstko Vorlund. - Czyz nie wiadomo powszechnie, ze posiada tajemnice, z ktorymi nie moze sie rownac wiekszosc tego, co my mamy? Moze Faree uciekl z niewoli Gildii, a ona odnalazla go dopiero wtedy, gdy walczyliśmy na Yiktor, kiedy on uzyskal zdolnosc latania?

-Byc moze... - mowil Zoror. Faree otworzyl oczy, chociaz policzki mial mokre od lez. Mial wrazenie, ze bol za oczami za chwile go oslepi.

-Braciszku... - Maelen dotknela jego policzka, a potem przygladzila zmierzwiene, wilgotne od potu wlosy. - Wiecej juz nie bede, obiecuje.

Wciaz rozdygotany i slaby poszedl z pozostalymi na mostek statku. Dzieki ekranom widokowym mogli ogladac swiat dookola, jedzac suchy prowiant i obserwujac obroty zewnetrznych luster. Sam statek byl zabezpieczony przed intruzami, mimo to dla zwiekszenia bezpieczenstwa Maelen wyslala na czaty Bojora i Yazz, rozniacych sie umyslami od tych, ktorzy chcieliby ich szpiegowac.

Z pagorkow otaczajacych duzy kopiec znikly plomyki, lecz za kazdym razem, gdy zwierciadlo przekazywalo jego obraz, widac bylo, ze wciaz otacza go pulsujaca obrecz - juz nie w ksztalcie cudownej korony, lecz bladego pierscienia.

Na chwile znow spuszczone trap, aby Bojor mogl poczlapac na dol. Dzieki gestym klakom - porosl nimi na zimna pore roku na Yiktor - sprawial wrazenie zwierzecia dwukrotnie wiekszego niz byl w rzeczywistosci. Bartle nigdy nie uchodzily uwadze odwiedzajacych ich ojczyste gory. Wprawdzie Bojor zostal zlapany jako roczne szczenie, zachowal jednak wrodzona sile i przebieglosc, a rozjuszony stawal sie groznym wojownikiem. Jak wszystkie zwierzeta, ktore Maelen nazywala swoimi malenstwami (co w przypadku Bojora bylo nieporozumieniem, gdyz przedstawiciele jego gatunku slyneli z rozprawiania sie z niedoszlymi traperami, a on sam, kiedy stawal na krepach tylnych lapach w pelnej pozie bojowej, przewyzszal wzrostem Vorlunda), potezna bestia potrafila w zdumiewajacym stopniu komunikowac sie myslami z Ksiezycowa Spiewaczka i z radoscia przylaczyla sie do dzialan zalogi statku.

Probowali sledzic Bojora za pomoca sprzetu wizyjnego statku, ale rozplynal sie w ciemnosci. Otrzymal jednak polecenie, aby trzymac sie z daleka od pagorkow, skierowac sie prosto w strone urwiska i powieszyc u jego podnoza. Niespodziewanie, kiedy zaloga starala sie go odszukac wzrokiem, spod ziemi wyskoczylo kilkanascie swiecacych punkcikow. One rowniez zachowywaly sie, jak gdyby otrzymaly rozkaz, i skupily sie wokol Bojora, tworzac swietlisty zarys jego ciala. Zwierze przysiadlo na zadzie i machalo wielka lapa stworzona do zadawania miazdzacych ciosow. Mimo to nie moglo odpedzic przesladowcow. Swiatelka migaly tak szybko, ze zadnego nie mogli trafic. Wreszcie Bojor

opadł na cztery łapy i poszedł dalej. Świetliste punkciki nadal zdradzały jego obecność, tak że z łatwością mogli go teraz obserwować nie tylko przebywający na pokładzie statku, ale i ci, którzy przywołali te światła, aby nadzorować kosmiczny pojazd i jego załogę.

Maelen dwukrotnie komunikowała się z Bojorem. Zameldowała jednak, że Bartel nie został zaatakowany, a iskierek dziwnego ognia tylko go otaczają. Yazz, która weszła do kabiny, aby obserwować misję swojego kosmicznego kompana, warczała glucho, zaabsorbowana tym, co widziała na ekranie. Raptem uniosła przednią łapę, jakby chciała podrapać powierzchnię płyty wizyjnej i w ten sposób uwolnić Bojora od dziwnej eskorty. Nawet Faree, choć w porównaniu z Maelen miał z Yazz ograniczony kontakt, wyczuł jej niepokój, jakiegoś złego przeczucia. Wprawdzie chmura światełek dotychczas nie zachowywała się w sposób naprawdę nieprzyjazny, widac było, że Yazz im nie ufa.

Choć Bartel wydawał się iść lekko przyspieszonym spacerkiem, zdążył już przebyć prawie jedną czwartą długości ściany. Zostawił daleko za sobą kobierzec wszechleku i wszedł na jałową ziemię z pajęczyną haggera.

Yazz ponownie zaskomlała. Faree upuścił twarde jak wyprawiona skóra kawałek suszonego owocu, który właśnie zuli. - Wracaj! - krzyknął. W blasku poruszających się światełek widac było tylko część zwierzęcia; pas nad ziemią okrywał mrok. Faree poczuł całym ciałem drzenie tak wyraźne, jak gdyby stał obok Bartla. Nie był to ruch tej istoty, która przedtem dygotała wewnątrz wzgorza, lecz czegoś, co istniało tu i teraz. Przypominało paskudny smród docierający zamiast do nosa bezpośrednio do jego umysłu.

Yazz zadarła łeb. Z bojowym rykiem odwróciła się szybko i zaczęła drapać w drzwi kabiny, jednocześnie oglądając się na Maelen i całym zachowaniem dając do zrozumienia, że należy ją wypuścić, aby mogła pójść do Bojora. Podczas dni spędzonych razem, tych dwoje, tak odmiennych pod względem gatunku i wczesnych doświadczeń, zbliżyło się do siebie myślami na tyle, aby utworzyć drużynę - zespół, do którego dołączył także Faree.

Młodzieniec o imieniu Vorlund i zaczął manipulować przy zatrasku klapy, a Yazz niecierpliwie czekała u jego boku, gotowa skoczyć, kiedy tylko właz się otworzy.

Przypuszczalnie ich połączony strach dotarł do Bojora, gdyż ten zatrzymał się. Stał tyłem do urwiska, z głową odwróconą w stronę miejsca, gdzie na gołej ziemi leżała pajęczyna. Maelen odebrała ostrzeżenia ich obojga. Bez pytania wymierzyła rękę prosto w ekran, na którym widac było Bartla.

Jasne iskiereki zmieniły położenie, gdy zwierzę znowu usiadło na zadzie, w pozycji, w której najchętniej oczekiwało napastcy. Spuściło łapy wzdłuż potężnego cielska i chociaż Faree nie widział ich dokładnie w drobniutkich rozbłyskach światła, wiedział, że wyciągnęło straszne grube pazury mogące rozedrzeć napastnika.

-Co robisz... - Vorlund przydepnął obutą w wysoki but stopą zatrask klapy. Zrobił to tak

szybko, ze Faree miał tylko ułamek sekundy, aby zabrać palce. - Co ty robisz?

-Hagger... Pod ziemią! - odparł niecierpliwie młodzieniec. - Potrafią atakować bez pojawiania się, spod ziemi! Pani, zwołaj go z powrotem!

Z palców Maelen trysnęło światło. Faree wiedział, że kobieta gromadzi moc do przesłania myślowego. Jeśli jednak skontaktowała się z Bojorem, ten nie dawał znaku, że otrzymał od niej jakies polecenie. Siedział z lekko otwartym pyskiem. Dość dobrze widzieli jego głowę, gdyż iskiereki skupiły się teraz wokół niej. Choć do statku nie dochodziły dźwięki, Faree wiedział, że Bartel wydaje bojowy ryk. Odebrał ulotny obraz myślowy ciemnego tunelu w ziemi i jakis poruszających się w nim stworzeń. Czy mu się tylko wydawało, czy rzeczywiście przez sekundy widział kogoś podobnego do tych małych ludzi, których ujrzał w swoim "śnie"?

Odepchnął barkiem nogę Vorlunda, nagłym ruchem stracając kosmicznego wędrowca z klapy, i jednocześnie kantem dłoni uderzył szybko w zatrząsk włazu. Druga ręka podniósł kłapę zagrządzającą im drogę, i Yazz popiskująca i skomlała u jego boku, która zeskoczyła na dół, nie dotykając nawet szczebli drabinki.

Faree zsunął się do otworu, zwijając skrzydła najciasniej, jak potrafił. Z tym, co nosił na plecach, zawsze było mu ciężko przeciskać się przez korytarze.

Vorlund poszedł za nim, lecz nie mógł poruszać się szybciej od młodzieńca, żeby nie popchnąć przed sobą jego drobnego, skulonego ciała, co mogłoby się źle skończyć. Nie zadawał więcej pytań, a gdyby nawet to zrobił, Faree nie mógłby udzielić mu wielu odpowiedzi. Jedno było pewne - Bojora czekał atak ze strony czegoś, z czym nigdy się nie zetknął żaden z jego pobratymców i przed czym nie mógł obronić się całą swą siłą ani wrodzona przebiegłość.

Byli już w korytarzu na dole i Yazz wspierała się łapami na ścianie, drapiąc przyrządy kontrolujące opuszczanie trapu.

Faree również unosił rękę i zdjął z polki ogluszacz, który trzymano tam na takie właśnie okazje, kiedy na zewnątrz czyhało niebezpieczeństwo.

Uderzył kolbą w przycisk trapu, a wtedy Vorlund złapał go za skraj zwiniętego skrzydła. Faree posłał kosmicznemu wędrowcowi wrogie spojrzenie.

-Precz! - wysyczał przez zacisnięte zęby. - Inaczej złapiesz Bojora.

Rampa zareagowała; statek zadrzał od zgrzytu wysuwanego trapu. Porywisty wiatr przyniósł zapach wszechleku. Yazz nie czekała na pozostałych i już wyjeżdżała na trapie na zewnątrz. Zacisnęła potężne szczęki na jednej z poręczy, żeby nie stracić równowagi na ruchomej rampie.

Vorlund wypuscil Faree z uscisku.

-Co i skad? - warknal.

-Haggery z podziemi! Ich sieci juz sa rozpiete. Te sa stare. Teraz jednak ktos ich prowadzil!

Faree wyskoczyl na zewnatrz przez otwarte drzwi statku. Rozpostarl skrzydla i wzbil sie w nocne niebo. Wykonal obrot w powietrzu, aby zwrocic sie twarza do tej czesci urwiska, gdzie czatowal Bojor.

Swietlne punkciki plonely tam wiekszym i jasnieszym blaskiem, wiec latwo bylo je dostrzec z daleka. Faree lekko pokrecil glowa; odkad opuscil statek, duzo lepiej odbieral ostrzezenie o zblizeniu sie napastnikow. Machajac mocno skrzydlami i zmagajac sie z silnymi podmuchami wiatru, kierowal sie w strone plamy swiatla. Chwile pozniej mial juz towarzystwo. Te same ogniste iskierki, ktore powitaly Bojora, rozblyly wokol niego. Utworzyly swietlne zarysy wokol ciala, ciasno otaczajac glowe.

W tej samej chwili jego skrzydla przestaly lopotac. Omal nie spadl na ziemie, kiedy przez moment zabraklo im sily, a w jego umysle zaczal narastac coraz dokuczliwszy bol. Lecial dalej sila woli, lecz mial wrazenie, ze probuje przedzierac sie przez jakas niewidzialna, lepka powodz oblepiajaca mu skrzydla i spowalniajaca ich ruchy, dopoki nie opadl tak nisko, ze sunal tuz nad powierzchnia ziemi, co jakis czas zahaczajac czubkami kosmicznych butow o kepy wyzszej roslinnosci.

Nie zamierzal jednak ulegac sile nakazujacej mu isc pieszo. Ogarnialo go bowiem coraz mocniejsze przekonanie, ze dopoki bedzie walczył, dopoty nie wpadnie w inne sidla zastawione na jego umysl. Teraz wyczuwal juz wscieklosc Bojora. Faree uswiadomil sobie, ze w mozgu wielkiego, kosmatego stworzenia taki gniew kipi po raz pierwszy, odkad Bartel pomogl im odzyskac statek zajety przez wojownikow Gildii na Yiktor, uwalniajac przy tym z wiezienia Maelen i Vorlunda. Niemniej jednak jego zlosc mieszala sie ze zdziwieniem, gdyz dotychczas nie zetknal sie z widzialnym nieprzyjacielem, a jedynie wyczuwal, podobnie jak Faree, coraz silniejsze zagrozenie.

Iskierki okalajace glowe i otaczajace konturem nagle zbyt ciezkie skrzydla mlodziencza, jasnialy coraz mocniej. Napierala na niego jakas sila, ktora probowala przycisnac go do ziemie, aby zapewne odebrac mu swobode ruchow w majacym nastapic starciu.

Kiedy stawial opor, wkladajac caly wysilek w walke z tym naciskiem, niespodziewanie wstrzasnela nim tak ostra mysl, jakiej nigdy nie odebral nawet od Maelen, niewatplivej mistrzyni tego szczegolnego rodzaju komunikacji.

-Chodz... umrzyj! Zdrajca, losstreek, demni...

Wprawdzie impuls zabrzmial w jego umysle glosno i zdecydowanie, nie potrafil sie zorientowac, kto go wyslal. Faree widzial nadawce jedynie jako niewyraźny i pozbawiony

twarzy cien. Przeciwnik jednak popelnil blad, gdyz rozpetujac burze, sam wskazal mu cel kontraktaku.

Faree wyladowal na samym skraju tej czesci doliny, gdzie ziemie pokrywala platanina sznurow. Skrzydla mial jednak rozpostarte i tak lekko dotykal stopami ziemi, ze prawie nie siegal najwyzszych szczytow lodyzek wszechleku.

Zamiast skupic sie na unoszeniu w powietrzu, cala sile wlozyl w cios psychiczny - wydobywajac ze swego wnetrza gniew podsycony strachem - strachem, ktory posylal przeciwnikowi. Skoro nie mial zadnej wskazowki, a bardzo potrzebowal celu, stworzyl w myslach wyrazny obraz nieprzyjaciela - jednego z tych malych ludzi, jakich widzial w kryształowej sali - wypelniajac te wizje wszystkimi szczegolami, jakie potrafil sobie przypomniec.

Otoczajace go swieczace punkciki rozblysy - juz nie bialym swiatlem, lecz tak zielonym, jakby sam wszechlek stal sie ogniem. Otulil sie ich plomieniami niczym peleryna. Zielone drobinki wirowaly, zbierajac sie wokol jego glowy, tak szybko, ze zdawaly sie tworzyc pierścien. Faree jednak uswiadomil sobie, ze dotykem umyslu nadwerezyl jakas zapore. Nie byla to bariera podobna do zadnej, z jaka mial dotychczas do czynienia - ani do tych stworzonych naukowo, jakie chronily czlonkow Gildii na Yiktor, ani tych, na jakie natknel sie wraz z Maelen, Vorlundem i Zakatianinem, kiedy poddawano go badaniom, aby znalezc sposob usuniecia ciazacej mu blokady.

Kiedy Faree zrobil juz wyrwe w tej zaporze, naporl na nia z calych sil. Po drugim zacieklm ataku bariera pekla. Porwal go wir chaotycznych mysli, jednak najsilniejsza i najwyrazniejsza sposrod nich byla dosc czytelna. Ich nadawca bal sie, jednak przez ten strach przebijala sie zdecydowana wola czynu. Przekaz rzeczywiscie pochodził spod ziemi, a jego przyblizony kierunek wskazywal, ze niedoszly napastnik szedl w strone Bojora. Tylko ze umysl, ktorego mysli Faree teraz czesciowo odczytywal, nie widzial napastnika toczacego rzeczywista walke.

Umysl ten wyprzedzaly znajdujace sie pod jego kontrola inne stworzenia - jak na swoje rozmiary przypuszczalnie najniebezpieczniejsze istoty, jakie Faree znal - a poniewaz wiedzial o nich niewiele, tylko tyle, ile wylowil z obcego umyslu, mogly byc nawet grozniejsze niz mu sie wydawalo. Haggery!

Przed jego oczami stanal obraz. Tak wyrazisty, ze w ciagu tych kilku chwil, kiedy tkwil w jego umysle, Faree widzial cos tak potwornego, ze przeszly go ciarki. Dziwnym trafem stworzenia ksztaltem przypominaly Toggora, pominawszy fakt, ze ich miekkie, tluste ciala porastala ublocona sierśc. Podobnie jak w przypadku smaksa pierwsza para jego odnozy konczyla sie wielkimi szczypcami o zabkowanej wewnetrznej krawedzi. Widac bylo wyraznie, ze kazdemu, kto dostalby sie w ich uscisk, groziloby niebezpieczenstwo. Na przedzie okraglej glowy znajdowaly sie gietkie czulki zakonczone kulami. Z mysli nieprzyjaciela gnajacego te stworzenia przed soba wyczytal, ze spelnialy role oczu, a ich

wzrok miał zdumiewający zasięg w ciemności. Istoty poruszały się w tunelach błyskawicznie, mimo że pełzły na trzech parach nóg, uzbrojone odnoża trzymając w gorze, w każdej chwili gotowe rozpocząć walkę.

Młodzieniec szukał dalej, w dziwny sposób patrząc oczami tego, który je poganiał. Podziemny podróżnik zauważył już jego obecność, lecz nie potrafił go przepędzić. Coraz rozpaczliwiej jednak próbował wdrzeć się do myśli Faree, tak jak on wniknął do jego umysłu.

Młodzieniec zaatakował. Rozkaz, umieszczony w obcym umyśle, wymierzony był przeciwko groteskowej armii pełznacej pod powierzchnią ziemi. Konieczność utrzymania kontroli nad poganiaczem i próba dotarcia przez niego do pozostałych stworzeń zmusiła Faree do zrezygnowania z kontaktu wzrokowego z kopaczami. Nie wiedział więc, czy poczuły jego cios i czy posłuchały bezgłosnego polecenia. Coś z głuchym loskotem spadło na ziemię przed Faree. Na chwilę zdekoncentrował się. To smaks wypelzł zza jego koshuli i zeskoczył na ziemię między dwiema krzyżującymi się nitkami pajęczyny. Mocno się odbił potężnymi tylnymi łapami i wskoczył na najbliższy ze sznurów. Jego szczytce błyskawicznie zagłębiły się w gruncie, a kiedy zacisnął je ze zgrzytem, na wyschniętej glebie pojawiły się zmarszczki, jak gdyby mocno napięte liny rozprezyły się i poruszyły grudki ziemi.

-Niedobry... - Faree pochwycił myśl smaksa, lecz nie zdołał złapać samego zwierzątka, po które się nachylił. Toggor biegł po pokrytej siecią ziemi w kierunku poswiaty wskazującej pole walki Bojora. Co jakiś czas zatrzymywał się na chwilę, żeby przeciąć przebiegające płytko pod ziemią sznury, chociaż Faree nie miał pojęcia, po co to robił.

Niemniej jednak prawdziwe lub rzekome zgestnienie powietrza, nie pozwalające mu szybko latać, ustąpiło. Młodzieniec wznosił się wysoko ponad sieć, która Toggor tak skutecznie niszczył, i poleciał w stronę Bojora stojącego pod ścianą.

Krag światłek nad jego głową rozdarł się i powiewał za nim jak szarpana przez wiatr szarfa na czole. Dwukrotnie próbował zająknąć podziemną drużynę, lecz drugim razem natknął się na nową barierę, dość mocną, aby wytrzymała jego ataki. Skupił się więc na dotarciu do zbocza góry i nie wypuszczał z dłoni zabranego ze statku ogluszacza.

-Niedobry... chodz... - Tym razem nie była to myśl Toggora. Faree przeleciał już nad smaksem i stracił go z oczu. Ten impuls wysłał Bojor. Jeśli Bartel uznał nieprzyjaciela za dość groźnego, aby dodać słowo "chodz", groziło im rzeczywiście duże niebezpieczeństwo.

Młodzieniec dotarł do skraju obszaru pokrytego siecią. Bojor siedział niemal dokładnie naprzeciwko niego. Nastroszył czub dłuższych i sztywniejszych włosów między uszami. Światło, które otaczało Bartla, kiedy obserwowali go ze statku, przykleiło się teraz do ściany urwiska w pewnej odległości za nim. Jego oczy były zaczerwienione i wytrzeszczone. Zwierze spojrzało przelotnie na Faree i ponownie skupiło uwagę na ziemi przed sobą. Młodzieniec podleciał bliżej i wylądował, nie zwijając skrzydeł, lecz czerpiąc poczucie

bezpieczeństwa z dotyku gruntu pod stopami. Scisnął mocno ogluszacz w garści i ponownie odważył się użyć psychopolacji.

Niemal natychmiast wzbil się w powietrze, bowiem zetknął się z falą czegoś, co nie było myślą w znanym mu sensie, lecz raczej olbrzymią zadzą, pragnieniem płynącym z wielu umysłów. Spróbował rozdzielić te pojedyncze nitki i ich śladem dotrzeć do psychiki, która wydała je na świat, lecz tak były ze sobą splecione, że nie miał szans. W dodatku znajdowały się bardzo blisko siebie.

-Toggor... chodź... natychmiast... - Faree usłyszał ten komunikat i w słabym świetle rzucanym przez świetlne drobiny zobaczył ciemną plamę zbliżającą się do jednej z łap Bartła. Kiedy smaks znalazł się już na miejscu, przytulił się do wielkiego zwierzęcia i odwrócił, unosząc szczyptę w podobnej pozycji, jaką przyjmował Bojor, gdy się bronił. Yazz wyprzedziła smaksę. Nie biegła, lecz sunęła krótkimi skokami od jednego wolnego od sieci miejsca na ziemi do drugiego. Nietrudno było zauważyć, że wyczuwała po części to niebezpieczeństwo, które czyhało w tej okolicy.

ROZDZIAŁ 11

Jedynym źródłem światła stanowiły wiszące w powietrzu świetliste drobiny. Każde z nich miało nad głową własny obłoczek. Kiedy Faree jednym wspomaganym uderzeniem skrzydeł susem znalazł się przy trojce przyjaciół pod ścianą urwiska, natychmiast odwrócił się i przygotował na odparcie ataku. Całą uwagę skupił na ziemi. Świetlista smuga okreciła się wokół jego ciała i smagnęła go ostro jak bicz. Młodzieniec gwałtownie wciągnął powietrze i zakaszłał. Światelka zniżyły się, wirując teraz na wysokości jego szyi, i zaczęły zacieśniać krąg. Uniosł rękę, żeby je odgonić i poczuł drobniutkie bolesne ukłucia, jakby świetlne drobiny rzeczywiście były iskierkami z ogniska. Nie mógł się w ten sposób od nich uwolnić. Krąg wirował teraz na wysokości jego piersi. Odruchowo zwinął skrzydła, kiedy ogniste iskierki dotknęły ich powierzchni.

Iskry unieruchomiły jego lewą rękę, lecz w prawej wciąż ścisnął ogluszacz. W żaden sposób nie mógł trafić jego wiązka tych dziwnych napastników. Nie sadził nawet, aby owe światelka były owadami, skłonny był zmusić go do uległości ukaszeniami, gdyż jego umysł nie wyczuwał w tych drobniutkich rozbłyskach nawet najmniejszych śladów życia w takim sensie, jak on to rozumiał.

Powtórnie spróbował rozłożyć skrzydła, aby wzniesić się ponad napastników. W tym samym momencie, kiedy przystąpił do walki ze zdwojona energią, ziemia rozstała się i w niebo trysnęła fontanna gleby i kamieni. Z zapadającej się jamy wypelzło pierwsze z tych stworzeń, które widział oczami umysłu w tunelu. Już wcześniej nastawił ogluszacz na pełną moc i, chwając się w przód i w tył, gdyż nie mógł utrzymać ręki nieruchomo, częścią promienia zahaczył o dwa pierwsze biegacze. Yazz wyszczerzyła zęby i rzuciła się na trzeciego stworza wylazącego z podziemnego korytarza.

Iskierki nad jej głowa zbily się w kule, która pomknęła w jej kierunku. Jednakże - jak w przypadku wszystkich przedstawicieli tego gatunku - Yazz podczas ataku poruszała się tak szybko, że zarysy jej ciała lekko się rozmywały. Kiedy kula zanurkowała, ona była już gdzie indziej. Widac było tylko jej tylne łapy i merdający ogon, gdyż przednia część ciała znikła w glebi jamy.

Faree wierzgał i szarpał się. Wreszcie udało mu się wymierzyć ogluszacz w część otaczającego go gwiazdnego pierścienia. Światło zamrugalo i młodzieniec poczuł, że gniotący go ucisk zelzał. Bojor ryknął; jego potężny głos odbił się echem od gorskich ścian. Faree zatoczył się do tyłu, zawadzając zwiniętym skrzydłem o bartła. Poczuł na ramieniu ciężar potężnej łapy zwierzęcia, które pociągnęło go w stronę urwiska. Światła wokół bartła podzieliły się na dwa obłoki. Każdy z nich zaatakował jedną łapę zwierzęcia.

Yazz wycofała się z jamy. Zaciśnęła mocno szczęki na okragłym tułowiu stworzenia, trzymając go tuż za głową. Stwor uderzał w ziemię przednimi nogami, daremnie próbując jej się wyrwać.

Jedyne, co mógł zrobić, to ryc pazurami w ziemię w dziurze, z której tak bezceremonialnie go wyciągnięto. Yazz klapnęła szybko zębami i przerzuciła swą ofiarę na drugą stronę jamy. Stwor wylądował na grzbiecie, wierzgnął niemrawo nogami i znieruchomiał. Jego morderczynie już wskakiwała do dziury w poszukiwaniu następnej ofiary.

Gdy Faree znalazł się pod ścianą urwiska, świetlne punkciki otaczające go wcześniej utworzyły nową kulę i cofnęły się o kilka kroków. Młodzieniec wciągnął powietrze do scisniętych płuc i wymierzył do świecącego globu.

Nie zdążył wystrzelić. Krzyknął tylko, kiedy zbite w kule światełka pomknęły w kierunku jego głowy. Moment później uderzyły go niczym lity pocisk z ogromną siłą. Przed oczami bez końca tańczyły mu iskierki. W ślad za tym uderzeniem nadszedł ból tak ostry, że niczego nie widział, nie słyszał i nie był w stanie zrozumieć. Jedyne z czego zdawał sobie sprawę to fakt, że świat wypełniony jest cierpieniem. Oslepiająca, porażająca oczy biel, która zjawiała się po uderzeniu iskier, przygasła, aż wreszcie później ustąpił nawet ból.

Tak jak we śnie, Faree był gdzieś indziej, nie w swoim ciele. Mimo rozpaczliwych starań nie potrafił wyczuć obecności swej materialnej powłoki. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest sam. Spróbował zawołać Bojora i Yazz...

Nie wyczuł ciepłego uczucia przyjaźni docierającego do niego, kiedy myślał o ich imionach. Spróbował poszerzyć zasięg myślowych poszukiwań. Tak jak wtedy, gdy natknął się na mgłę, nie był w stanie przebić niewidzialnej otoczki zdającej się go spowijać.

Nie mógł wysłać impulsu myślowego, lecz czuł, że w tej nicości nie jest sam. Szybko zamknął się w sobie. Przez chwilę miał ochotę skulic się w ukryciu - jak wtedy na Obrzezach, gdy jakiś pijany i sadystyczny mieszkaniec tego piekła chciał zabawić się jego

kosztem - gdyż od tego, co znajdowało się na zewnątrz, emanowała siła i bezwzględność. Jednakże nie był już dłużej Śmierdzielem, wyrzutkiem z Obrzeży; był Faree, istota skrzydlata i... wolna? Nie, nie był wolny; tkwił w pułapce, zdany na łaskę tych, którzy ją zastawili.

-...Langrone? Przecież nie przeżył zaden ze strażników!

Mysli, nie głosy. Tylko że nie mógł wysłać odpowiedzi. Miał odretwiąły umysł, ale nie był głuchy.

-Znaleziono ich... - Faree pozwolono przez chwilę zobaczyć zielone zbocze wzgórza, a na nim nieruchome postaci. Najbliższa leżała twarzą ku ziemi, a z dwóch ziejących ran na jej nagich plecach syczała się krew. Skrzydła! Zwłokom odcięto skrzydła! - ... martwych... - Młodzieniec był tak zaabsorbowany obrazem nadawanym przez jeden umysł, że nie dosłyszał części zdania.

-Langrone - powtórzył z naciskiem pierwszy myślowy głos. - Bez wątpienia zatruty jak Atra, przynęta! - rzucił z pogardą. Z ciemności nadeszło ukłucie bólu, lecz wydawało się bardzo odległe - towarzyszyło ciału, którego on już nie czuł.

-Ślepy! - Ostre słowa myślowego głosu zraniły go tak, jak noż mogłoby skaleczyć jego ciało; bez wątpienia było to wydane mu polecenie.

-Pozbawiony nadziei wiezien! - dorzucił z pogardą drugi głos.

Nawet jeśli z jakiegoś powodu pogodził się z losem, który stał się jego udziałem za sprawą pierwszego komentarza, wciąż sprzeciwiał się drugiemu. Mogł być więzieniem - w jakiś sposób ani żywym, ani umarłym - lecz duch, jaki obudził się w nim, kiedy urosły mu skrzydła, pielegnowany przez Maelen i Vorlunda, był nadal dość silny, aby się nie poddawać.

-...Selrena. - Faree znowu nie dosłyszał części myślowej wypowiedzi.

-Nie możemy nieść... Ha, co to takiego?

-Co? Gdzie?

-Tam się poruszyło!

Przez chwilę panowała cisza, potem znowu odezwał się pierwszy głos:

-To jedno ze zwierząt, które ci siewcy śmierci przywieźli, aby im służyły. Dobił je kamień. Teraz... nie możemy go unieść. Niech go zabierze Selrena, jeśli ma ochotę. Albo niech leży; wkrótce i tak umrze. Skrzydlaci ludzie nie czują się dobrze w podziemiach. Jeśli to Langrone, nie jest dla nas ważny.

-Powiesz to Yaspretowi w oczy?

-Langrone! - Ten drugi powtorzył to słowo tak, jakby słuwał z obrzydzeniem. - Powietrzni Tancerze! Jakże to ma znaczenie, że urządza się na nich polowania?

-Pamiętasz, co znalazł ten siewca śmierci z drugiego statku? Teraz, kiedy dostali to w swoje ręce, myślisz, że oddadzą choćby skrawek świata? Bada szukac miejsca, gdzie leży Roxcit. Dzięki swej dziwnej wiedzy wkrótce odnajdą drugi skarb. Fakt, że polują na skrzydlatych, w gruncie rzeczy nam nie szkodzi. Jeśli jednak wlamują się do miejsca, którego mamy strzec...

-Dobrze, dobrze! Pamiętaj, że jeśli ten Langrone jest podobny do Atry, tamci go oslepili. Będzie mogli ich sciągnąć...

-Wcale nie. Dla nich pewnie będzie przynęta-powiedział napastnik z satysfakcją.

Ciemność wokół Faree scisnęła go mocniej, jakby chciała wypchnąć mu powietrze z płuc, jak uprzednio światła. Młodzieniec miał świadomość tego przerażającego rosnącego nacisku, nawet jeśli nie czuł własnego ciała. Potem... potem niczego już nie było.

Otworzył oczy. Nie przygniatały go już fale czerni - to, co widział, miało raczej szary kolor - jak światło bardzo wczesnego poranka albo opar mgły zmuszający go do zawrócenia z drogi podczas pierwszego zwiadu na tej planecie. Leżał na boku, lecz już po pierwszej próbie wykonania ruchu stwierdził, że zgodnie z tym, co mówił myślowy głos, wciąż jest więźniem.

Mimo to opar mgły wydawał się leniwie kołysać w dziwny sposób, od którego robiło mu się niedobrze. Znowu czuł własne ciało, lecz jego dolegliwości były mniej ważne od tego, co odsłaniała lub ukrywała kołysząca się mgła.

Wysoko nad nim majaczył fotel. Faree leżał w jego pobliżu na posadzce z ułożonych naprzemiennie bloków zielonego i brązowego kamienia. Brązowy kamień przecinały zielone żyłki. Nogi, poręcze i ramię oparcia białego fotela gęsto pokrywały zawile wyrzeźbione wzory. Poręcze kończyły się kulami tak przejrzystymi, jakby zrobiono je ze świeżej wody ze strumienia, zastygłej w ich kształcie. Siedzisko i oparcie fotela obito tkaniną w wyraźny wzór w zielone liście i kwiaty wszelkich kolorów. Tu i tam widniały na niej linijki czegoś, co przypominało runy, jakie pokazywał mu kiedyś Zoror. Twierdził, że Lud, którego szukał, rzekomo takimi znakami utrzymywał wiedzę.

Przy fotelu stał podnóżek, a na nim siedziało jakieś stworzonko. Nie potrafił na pierwszy rzut oka powiedzieć, czy było istotą rozumną, czy nie.

Jego ciało o kształcie humanoidalnym porastały cetkowane, złotawe łuski. Okrągła z tyłu i zważająca się ku przodowi głowa wienczyła długa, gietka szyja. Stworzenie poruszało się na czterech chudych jak patyki kończynach, z których górne kończyły się blonistymi

łapkami o szesciu palcach, tylne zaś szerokimi kopytkami. W przednich łapach obracało białą rurkę z ciągiem otworów. Przytknąwszy jeden jej koniec do ust na końcu ostrego ryjka i przebiegając po niej palcami, zagrało kilka dźwięków brzmiących jak plusk wody. Bardzo duże oczy świeciły zielonym płomieniem, jeśli taki mógł istnieć.

Te oczy przyglądały mu się i Faree wiedział, że istota doskonale zdaje sobie sprawę z jego obecności. Ostrożnie spróbował użyć psychopolacji, lecz ku swojemu zdumieniu najwyraźniej został pozbawiony tego zmysłu, zupełnie jak wtedy, gdy stanął przed zaporą z mgły. Natknął się na ścianę.

Dźwięczne nutki piszczalki zabrzmiały głośniejsze i mgła w pokoju zaczęła rzednąć. Faree coraz wyraźniej widział ścianę - mocne nogi i blat długiego stołu, kolor ścian pokrytych runicznymi wzorami. Runy były takie same jak na poduszkach fotela, lecz wyraźniejsze, nie przesłonięte innymi rysunkami.

Młódzieniec obliznął spierzchnięte wargi, szykując się do użycia głosu, skoro nie mógł nawiązać kontaktu myślowego. Nie dane mu było jednak zobaczyć, czy stworzonko z fletem potrafiło zrozumieć komunikat dźwiękowy. Coś się poruszyło, a potem zobaczył postać wylaniającą się zza stołu.

Na pierwszy rzut oka przybysz wyglądał jak wielu kosmicznych wędrowców, których widział. Był wysokim humanoidem, być może wyższym nawet od Zorora. Na nogach nosił ciasno przylegające okrycie, jak gdyby obuwie i ubranie stanowiło jedną całość - powyżej tego sznurowany kaftan ściągnięty w wąskiej talii szerokim pasem, skrzyczącym się i rzucającym srebrzyste refleksy. Głowe porastały rude i złociste pasma włosów. Skóra twarzy i dłoni była blada; nie nosiła śladów kosmicznej opalenizny.

Emanowało z niego coś surowego i wyniosłego. Ciężkie powieki do połowy przesłaniały oczy. Jego nieruchoma twarz wyglądała, jakby ją starannie wyrzeźbiono z substancji białej jak zajmowany przez niego fotel. Przyglądał się Faree bacznie i wszystko wskazywało na to, że czuje się panem sytuacji.

-Zatem... - Choć Faree nie potrafił przebić się przez zakłocenia, które stawiały opór jego myślom, nieznamy porozumiał się z nim bez przeszkód. - Kim jesteś? - Pytanie sugerowało chłodną ciekawość. Młódzieniec znowu starał się odpowiedzieć, lecz bariera nie ustąpiła.

Siedzący na podnożku flecista pochylił się naprzód. Przestał grać, stanął na płaskich stopach i zrobił kilka kroków. Nachylił się, jakby władał ciałem Faree, i postukał jęcza wargi końcem piszczalki, wyraźnie zachęcając go lub może rozkazując, aby użył mowy dźwięków. Potem podreptał z powrotem i ponownie zasiadł na swoim miejscu.

Mężczyzna w fotelu obserwował jego zachowanie i kiwnął głową.

-A więc... - Znowu spojrzał przelotnie na Faree. - Kto? - Uczynił z tego jednego słowa

stanowczy rozkaz.

-Faree... - Ochryply dzwiek zabrzmial w uszach mlodzienca dziwnie glosno, zupelnie jakby krzyknal - rozszedl sie nawet szept echa.

-Co do tego nie ma watpliwosci. - Slowa pytajacego bez trudu wniknely do jego umyslu. - Jakie imie nosisz, albo nosiles w szeregach Langronow? A moze imie tez ci odebrali, kaleko, tak jak cala reszta?

-Nazywam sie Faree. - Nie rozumial, do czego zmierza jego rozmowca.

Meczczyna lekko sie skrzywil. Faree zadrzal, kiedy przeszyla go wlocznia myslowego przekazu. Nie widzial juz pokoju, meczczyny, flecisty - cierpial takie same meki, jak wtedy, gdy Maelen i pozostali usilowali pokonac barriere odgradzajaca go od znacznej czesci jego przeszlosci. Nie potrafil obronic sie przed impulsem, jaki wysylal jego przeciwnik, ale i on tez nie mogl przedrzec sie przez oslone, jaka ktos lub cos wznioslo wokol jenca. Bol przeszedl w ciemnosc i Faree przestal czuc cokolwiek, oprócz lekkiej ulgi, ze nacisk ustal.

Dyszac szybko jak ktos, kto omal sie nie udusil, wrocil do rzeczywistosci i znow zobaczyl pokoj oraz dwie obserwujace go istoty. Przesluchujacy go meczczyna zasepil sie jeszcze bardziej, a stworzenie na podnozku skulilo sie, drzac, jakby ono rowniez padlo ofiara naglego napasci.

-Jak uciekles? - Przekaz myslowy byl tym razem raczej dosc lagodny. Meczczyna nachylil sie, opierajac dlonie na kolanach. Jego oczy nie patrzyly juz leniwie.

-Oni mnie uwolnili... - Faree staral sie przywolac na mysl obrazy Maelen i Vorlunda takich, jakimi zobaczyl ich po raz pierwszy, kiedy wyrwali Toggora, i przy okazji rowniez jego, ze smierdzacych Obrzezy.

-Nie... - Meczczyna wyprostowal sie w fotelu i spojrzal na Faree z jawnym zdumieniem. Wymierzyl w niego palec, jakby cialo i kosc bylo bronia. - Nie, nie mozna cie zmusic, abys glosil takie klamstwo! Zatem sa tu dwie grupy! - Gwaltownie wstal z krzesla i szybko znikl wiezniowi z oczu.

Faree zaczal sprawdzac, co go tak mocno krepuje. Popatrzył na siebie i nie dostrzegł sladu wiezow. Znikly swietliste czasteczki, ktore go pojmal, lecz nadal nie mogl sie ruszyc.

"Rusz sie" - powtarzal jego obolaly umysl, wciaz oslabiony od silnych ciosow, jakimi usilowano wydobyć z niego przeszlosc. Co mowil Zoror o basniowych czarach - ze byla to bron albo podstep, aby zwabic lub oszukac tych, ktorzy ich nie rozumieli? Co prawda nie mogl poslac nikomu myslowego przekazu, lecz czy bariera nie pozwalala mu takze oddzialywac na samego siebie? Nic nie stalo na przeszkodzie, zeby sprobowac.

Flecista na podnozku znow gral. Faree powoli poruszył glowa, usilujac skupic sie i

zapomniec o muzyce. Wydawalo mu sie, ze melodia wypelnia te czesc jego umyslu, jakiej musial uzyc, i usypia resztki jego mocy.

Wyobrazil sobie, ze jego rece sa takie, jakie widzial je po raz ostatni - nie zesztyniale i przycisniete do bokow, lecz zdolne poruszac sie w kazdym kierunku, jakim sobie zyczyl. Palce - zginaly sie w taki sposob! Tak, potrafil to sobie wyobrazic, pomimo monotonnego dzwieku fletu.

Rusz sie powoli... Nagle odniosl male zwyciestwo. Jeden palec rzeczywiscie odsunal sie od pozostalych, do ktorych byl mocno przycisniety. Faree zwalczyl euforie i nadal skupial sie na mentalnym obrazie. Czul, jak z wysilku splywa mu po skorze struzka potu. Juz dwa palce - cala dlon! Poruszył dlonia i poczul, jak ociera sie o jego bok.

Dwie rece... Urywek mysli... czy flecista to zauwazyl? Czy byl straznikiem i w razie potrzeby wezwie pomoc?

Faree walczył dalej, podczas gdy pot przyklejal mu ubranie do ciala. Flecista nie ruszył się z miejsca. Nie oznaczalo to jednak, ze pozwoli mu wygrac bitwe. Nogi... Młodzieniec przewrocil sie na brzuch i podzwignal sie na rekach. Kiedy udalo mu sie wstac na kolana, spojrzal przez ramie.

Straznik juz nie gral, obracal tylko flet w pletwiastych dloniach i przechylal lekko glowe w bok, obserwujac Faree niezdarnie usilujacego sie podniesc. Młodzieniec spodziewal sie, ze lada moment wbiegnie mezczyzna i znow odbierze mu swobode ruchow - lecz nic takiego sie nie stalo.

Wstal wreszcie, chociaz skrzydla wciaz mial zwiniete najciasniej, jak mogl. Flecista nadal go obserwowal. Faree szybko stanal po drugiej stronie stolu. Sadzac z rozmiaru tego mebla, jak rowniez pustego krzesla, pokoj przeznaczony byl dla istot z rasy tego wysokiego mezczyzny, gdyz wszystko w nim bylo stanowczo zbyt duze, aby mogl wygodnie z nich korzystac ktos postury Faree.

Na stole lezaly rozmaite przedmioty, wsrod nich lustro. Faree zahaczyl palcami o jego krawedz, aby przejrzec sie w tafli zwierciadla. Obok staly jakies buteleczki, niektore przejrzyste, tak ze mozna bylo zobaczyc plyny lub proszki w ich srodku. Mienily sie teczowymi barwami, podobnie jak lezace obok roziskrzzone krysztalny. Dwa mialy ksztalt kul i spoczywaly na podstawkach - jedna byla biala i rzezbiona w zawile wzory, druga ciemna i bez ozdob; lezaca na niej kula rowniez byla ciemna. Inne krysztalny zachowaly naturalne ksztalty i poszczerbione krawedzie. Lezal tam rowniez zwoj szarawej skory (podobny do pergaminow, do ktorych czasami zagladal Zoror). Rozwinieto go i trzymano w takiej pozycji, obciazajac mniejszymi okruciami krysztalny o zielonym odcieniu. Troche dalej lezal drugi kawalek takiego samego materialu, wraz z naczynkiem ciemnego barwnika i lezacy obok sztywnym piorem.

Srodek stolu zajmowała kadzielnica. Przez dziurkę w pokrywce wydobywała się cienka smuzka dymu o korzennym zapachu. Najwyraźniej było to miejsce pracy kogos, kto podzielał zainteresowania Zakatianina. Myśl o Zororze przypominała Faree o bieżących sprawach.

Spróbował rozłożyć skrzydła, skupiając się na żywych wspomnieniach swobodnego lotu. Choć uwolnił ciało, ze skrzydłami mu się nie powiodło. Nadal były skrepowane, scisnięte tak mocno, jak pozwalały na to ciało i kości.

Trzymając się krawędzi stolu, Faree obrzucił pokój uważnym wzrokiem. Mgła się rozwiała, chociaż we wszystkich kątach komnaty zalegała ciemność. Na ścianach wisiały sztywne tkaniny przedstawiające zarówno niewyraźne obrazy, jak i szeregi runów. Pod drugą ścianą stało jeszcze jedno krzesło i mniejszy stolik, a za dużym stołem mebel, który Faree widział również w komnatach Zorora. Był to wysoki regał z polkami podzielonymi na szereg małych przegrodek. W wielu z nich leżały pergaminy podobne do tego, jaki znajdował się na stole. Zoror miał bardzo stare zwoje ze zwierzęcych skor (zgromadzone przez dziesiątki lat na różnych planetach) i w ten właśnie sposób je przechowywał. Faree widział jedno z nich - te, do których Zakatianin zaglądał w trakcie swych poszukiwań Ludku.

Po lewej stronie nie było draperii, a wielkie okno, teraz zasłonięte, chociaż kotara się poruszała, jakby szarpał nią wiatr. Pod nim umocowano na stałe ławę. Faree odsunął się od stolu, sprawdzając, czy może chodzić o własnych siłach. Zachwiał się, znowu chwycił mebel, a potem ostrożnymi krokami ruszył w stronę otworu, który obiecywał wolność. Jeśli z tej sali było wyjście, kryło się gdzieś za sztywnymi faldami tej zasłony.

Doszedł do ławy, cały czas nasłuchując ostrzegawczego krzyku flecisty. Kiedy jednak obejrzał się za siebie, stworzonko nie drgnęło, przyglądając mu się badawczo. Parapet okienny umieszczony był wysoko, znowu w miejscu nieodpowiednim dla istoty małych rozmiarów Faree. Młodzieniec wgramolił się na ławę, a potem stanął na niej, jedną ręką trzymając się ściany, drugą zaś szarpać kotarę, aby ją trochę odsunąć na bok.

Za oknem panowała ciemność, czarna noc. Być może nawet zbliżała się burza. Choć Faree niewiele widział, był przekonany, że pokój znajduje się wysoko nad ziemią i nie ma z niego wyjścia. Kiedy bowiem odsunął kotarę, dostrzegł przeszkodę w postaci siatki z srebrzystego metalu. Miała kształt splecionych pnaczy, których listki tak błyszcząły, jakby odbijały jakieś światło z zewnątrz.

Faree potrząsnął siatką, albo raczej spróbował, lecz metal nawet nie drgnął. Był mocno osadzony w kamiennej framudze. Wtem młodzieniec odskoczył i omal nie spadł z ławy. Wprost w stronę okna mknęła jedna z tych latających jaszczurek, które odprowadzały do doliny, gdzie wylądował jego statek. Zaskrzeczała ochryple i skreciła w chwili, gdy już się wydawało, że roztrzaska się o prety. Na dźwięk jej głośnego wrzasku Faree czym prędzej wypuścił zasłone i zeskoczył na ławę.

Rozlegly sie niespokojne dzwieki fletu. Stworzonko zeslo ze stolka i poruszalo sie w dziwny sposob, ktory nie byl spacerem, lecz rodzajem skoczego tanca.

Nie podchodzilo jednak do niego, lecz raczej zmierzalo w strone sciany za krzeslem. Zanim calkiem dotarlo do celu, zamigotalo i rozmylo sie. Potem zniklo. Faree przetarl oczy i gleboko zaczerpnal powietrza.

Oczywiscie wszystko to moglo byc snem, tak jak jego poprzedni pobyt wsrod tych istot. Moze zawladneli jego umyslem i widzial tylko to, co chcieli mu pokazac. Czy rzeczywiscie stoczyl walke, dzieki ktorej wyrwal sie z transu - a moze tylko pozwolono mu na to, aby go poddac jakiejś probie? Czy to jawa, czy sen?

Siadl na lawie, pochylajac sie mocno do przodu, aby pomiescic zlozone skrzydla. Czy taka rzeczywistosc moze sie przysnic? Scisnal palcami spory fald skory na nadgarstku i mocno sie uszczypnal. Zabolalo...

Mimo to nie ruszal sie z miejsca, zdjety takim strachem, jakiego dotychczas nie czul nawet za najgorszych czasow na Obrzezach. Kim byl? Czy w ogole tu przebywal, a moze zawladnal nim obcy umysl i wszystko to umiescil w jego glowie? Moze nawet przebywal cialem na statku - a tu byl w innej postaci - chocby nie wiem jak bardzo rzeczywiste wydawaly mu sie te wydarzenia!

Zsunal sie z lawy i znow podszedl do zapelnionego przedmiotami stolu. Z rozmyslem nachylil sie i chwycil zmacony glob, ktory lezal najblizej. Musial przysunac sie blizej do krawedzi, zeby go podniesc.

Kula zareagowala na jego dotyk. W jej wnetrzu zaplonal ognisty krag. Potem plomienie zgasly. Faree patrzyl wprost na Zorora, lecz obok Zakatianina stala Maelen. Otworzyla ze zdziwienia oczy, a Zoror zamrugal. Faree byl pewny, ze kiedy on ich ogladal, oni tez go widzieli. Potem Zakatianin odsunal sie i zostala tylko Maelen. Uniosla reke i z koniuszkow jej palcow wystrzelily swiatelka mknace wprost w strone Faree. Glob zadrzal i mlodzieniec poczul takie goraco, ze musial odskoczyc w tyl. Plomienie jednak nadal wily sie w krysztalowej kuli, pelzajac po jej wewnetrznej powierzchni, jakby szukaly sposobu, aby do niego dotrzec.

ROZDZIAL 12

Wewnatrz kuli buchnal ogien i obraz Maelen zniknal w plomieniach. Gdziej rozlegl sie przenikliwy dzwiek, ostry i drazniacy, calkiem niepodobny do dzwiecznej muzyki fletu. Byl to odglos alarmu. Kula drgnela w uscisku Faree, najwyrazniej sama pragnac odzyskac wolnosc. Wyslizgnela mu sie spomiedzy palcow i spadla, nie na blat stolu, lecz na podloge. Rozlegl sie donosny huk. Po zderzeniu z posadzka glob rozprysnal sie na drobne kawalki. Swiatelko w jego wnetrzu zgaslo, a okruchy na podlodze staly sie matowoczarne, jakby w srodku plonal prawdziwy ogien. Lezaly tylko przez kilka chwil, po czym rozpadly sie

i zmieniły w kupkę prochu. Ze szczatków buchnął silny smród spalonego mięsa. Potem i on zniknął. Faree podniósł do ust piekące dłonie i dmuchał na nie, próbując ukoić ból, chociaż nie miał na ciele śladów oparzeń.

Nagle znów rozbłysło światło, tym razem wewnątrz przezrystego kryształu leżacego obok ciemnego. Zapulsowało nieregularnie, kiedy ponownie zabrzmiała przenikliwa nuta. Faree nie osmielił się wziąć do ręki drugiego kryształu, lecz nachylił się i wbił wzrok w mrugające w nim światelko, z całych sił starając się ponownie wezwąć Maelen lub Zakatianina - bezskutecznie.

Mimo to w świetle coś zaczynało się materializować. Faree znów patrzył w czyjeś oczy, które - spoglądały na niego z kobiecej twarzy - nie były jednak oczami Maelen. Kobieta o nieokreślonym wieku miała jasną i gładką skórę, włosy splecione w burobrazowy warkocz upięty w koronę nad szerokim czołem, ciemne oczy, tak ciemne, że Faree nie potrafiłby określić ich prawdziwego koloru, i brązowoczerwone, wąskie i zacisnięte wargi. Jej twarz nie promieniała radością powitania; malował się na niej jedynie ledwo zauważalny wyraz chłodnego zaciekawienia. Faree zadrżał w duchu. Nawet jeśli nie umiał odczytać myśli tej kobiety, wyczuwał chłód. Była tak nieludzka, że nie potrafił sobie nawet wyobrazić spotkania z jej umysłem.

Niemniej jednak właśnie do tego doszło. Kontakt wstrząsnął nim, jakby każde słowo było ciosem zadany po to, aby nim zachwiać. Znów widział tylko mgłę zamiewającą mu wzrok i macaca myśli.

-Nie jesteś Langrone... - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. - Throstle? - To było pytanie, lecz Faree nie zdążył na nie odpowiedzieć, nawet gdyby potrafił. Poczul się tak, jakby go podniesiono i w jednej chwili rzucono przez czas i przestrzeń.

Znów brudny i okryty lachmanami kulil się pod ścianą w zaułku na Obrzezach, cierpiąc wraz z Toggorem, kiedy smaks ponosił karę z rak mistrza tego wstretnego pokazu złośnych dzikich stworzeń, biciem zmuszanych do posłuszeństwa. Znów przyszli do niego Maelen i Vorlund. Wspomnienia mknęły dalej - w serii przebłysków przeżywał jeszcze raz dni z tymi, którzy zawsze okazywali mu czułość. Był na planecie Yiktor i szukał czegoś, co było potrzebne. Maelen miała za chwilę spasek z gorskiej ścieżki. Wyciągnął znów do niej rękę, tak jak to zrobił w przeszłości. Poczul, jak peka twarda narosła na jego plecach zmuszająca go do garbienia się, odkąd tylko sięgał pamięcią. Jeszcze raz przypomniał sobie ten ulotny moment zachwyty, kiedy napięta, swędząca skóra pękła, uwalniając skrzydła, o których istnieniu dotychczas nie miał pojęcia.

Znów kulil się w cuchnacym zaułku i teraz cisnięto go wstecz od chwili spotkania z kosmicznymi wędrowcami do poprzedzających dni. Był bity, cierpiał głód i znosił wszystkie nieszczęścia, jakie mogą spaść na Obrzezach na kogos, kto jest mały i kaleki. Szybko dotarł do swego najwcześniejszego wspomnienia - do chwili, gdy wyglądając z kryjówki w namiocie Lantiego, był świadkiem śmierci kosmicznego wyrzutka i dzięki temu zrzucił jarzmo

pierwszej niewoli.

Przypuszczalnie wtedy krzyknął, lecz jeśli tak, nie usłyszał tego. Miał wrażenie, że jakaś potężna siła przyciska go do nieustępliwego muru, że zostanie za chwile zgnieciony, rozplaszczony na jego twardej powierzchni. Nieublagana siła, napierająca na niego tak mocno, miażdżyła go... Znow wrzasnął, kiedy jego głowę przeszył ból. Potem litosciwie pograził się w mroku - był niczym w nicości i niczego nie było...

-...Throstle? - Dźwięk dobiegał z daleka. - Selrena...

-Znow podstępny. Czyżbyś wątpiła, że powinniśmy go rzucić na pożarcie smokom? Gdzie jest kula burz?

Wspomnienia znow odżyły, nakazując mu wrócić. W ich ataku wyczuwało się natarczywość.

-On jest pusty, odszedł. Musimy teraz myśleć o tamtych obcych. On nie ma złych zamiarów...

-Stajesz się głupcem, Vestrumie. Myślisz można wymazać; można też sprawić, aby ślady zniknęły. Wiele się nauczyliśmy; w ciągu tych samych pokoleń oni również. On niewątpliwie pochodzi z naszej rasy. Tego nie da się podrobić. Ale z jakiego klanu - Langrone? Znamy losy każdego członka tego rodu.

-Atre zmuszono, aby im służyła. Czemu on nie miałby zostać ukształtowany na nowo, tak jak ona?

-Jego wspomnienia temu zaprzeczają. Masz jednak rację. Nasi odwieczni wrogowie wiele się nauczyli. Musimy go uznać za zagrożenie.

-Moga go zabrać Hoadowie...

Dalo się wyczuć oburzenie albo gwałtowny protest.

-Nie przelewamy krwi daremnie. Co w ciebie wstąpiło, Vestrumie, że to zaproponowałeś? Czyżby stara krew naprawdę tak się rozrzedziła, że zaczęliśmy myśleć jak oni, o zabijaniu dla bezpieczeństwa? Czy nie wiemy, że skutkiem tego byłby rozłam wśród nas po wieczne czasy? Czyżbyśmy więc znow stali się tak potężni, że moglibyśmy poruszyć góry i cofnąć morza dla zmylenia naszych wrogów? Skoro oni się czegoś nauczyli przez wieki, czyżby nasze umysły się przytepiły? Jeśli on jest ich proponowanym kluczem do naszych wrot, to skoro znajduje się w naszych rękach, sprawdźmy, jak chcąc go użyć. On nie ma jednak nic wspólnego z tymi w dolinie Dakar.

-Racja. Co więc sędzisz o tym drugim statku?

-Nie znalazłeś odpowiedzi, nie wydobyłeś jej z niego?

-Oni maca wewnetrzny wzrok. Maja moc, jakiej nie spotkalismy wsrod nieprzyjaciol od wiekow. Szukaja go teraz; ich myśli biegaja bezustannie, dreczac wszystkich Sluchaczy. To prawda, ze nie sa jawnie spokrewnieni z tymi mrocznymi istotami i dotychczas stanowią dla nas zagadke. Moze to oni umiescili go wsrod nas...

-A on potlukl Glob Ummar.

Przez chwile panowala cisza. Nadaremnie Faree usilowal dotrzec sladem myśli do tego, który odezwal sie ostatni. Znow natkнал sie na sciane. Od docierajacych do niego slow - myslowych slow - bil chlod. Jesli nawet rozmowcy zdawali sobie sprawe, ze je slyszal, nic ich to nie obchodzilo.

-Sadzisz wiec, ze polecono mu to zrobic?

Faree znow odebral pytanie. Z kazdym myslowym kontaktem coraz latwiej bylo mu je zrozumiec.

-Nie ciazy na nim cien Niespokojnego. Moze to tylko przypadek...

-Jesli istnieje chocby cien watpliwosci... Tak, masz racje. Uwiezmy go w poblizu Drog Hoadow. Oslabnie, jesli beda go badac wystarczajaco dlugo. Tym lepiej dla nas. Tak zrobmy!

Ostatnie zdanie bylo zdecydowanym rozkazem. Faree spodziewal sie, ze nastapi po nim jakies dzialanie, lecz niczego nie poczul. Ciemnosc otaczala go tak ciasno, jakby byl jadrem w nierozlupanej skorupie orzecha. Odzyskiwal jednak sile umyslu i gromadzil ja pieczolowicie. Nie rozumial charakteru wiezow, jakimi go skrepowano. Nie mial jednak watpliwosci, ze znow stal sie bezbronny wiezniem.

Gdy odzyskal wzrok, z poczatku ujrzal tylko ciemnosc. Zewszad dochodzil go kwasny zapach polaczony z wonia swiezo rozkopanej ziemi. Na chwile serce mu zamarlo ze strachu, gdyz pomyslal, ze pogrzebano go zywcem. Potem poddajac swe ciało probie, staral sie usiasc i zdolal to uczynic. Bolesnie otarl sobie gorne krawedzie skrzydel o jakas szorstka powierzchnie, a kiedy wyciagnal przed siebie rece, zeby ocenic rozmiary celi - jesli byla to cela - na twarz posypala mu sie ziemia.

Palce jego lewej dloni natrafily na nierowna powierzchnie, uzyl tego miejsca jako punktu zaczepienia i podszedl do niego. Znajdowala sie przed nim sciana. Obmacujac ja, odkryl, ze byla z kamienia, lecz wyczuwal w niej tez zgrubienia mogace byc peczkami zwieszajacych sie z gory korzeni. Poczul zapach zgnilizny, gdy drasnal paznokciami cos oslizglego. Bilo stamtad nikle swiatlo, wystarczajace jednak, aby ujrzec bulwe trzymajaca sie kamienia podobnymi do wlosow korzonkami. Z otworu, jaki wybil palcem, saczyła sie lepka ciecz. Faree szarpal za bulwe, az wyrwal ja wraz z cieniutkimi korzonkami, i zabral ja ze soba. Dawala jednak tak slabe swiatlo, ze widzial zaledwie kawalek sciany tuż przy tej zaimprovizowanej lampie.

Od miejsca, w którym się zbudził, do narożnika, gdzie zbiegały się ściany, było dwadzieścia kroków. W połowie tej nowej przeszkody znajdowała się ciemna dziura, a z niej saczała się jakaś ciecz spływająca po kamieniach i tworząca strumyczek u stop ściany.

Na ten widok poczuł nagle straszliwe pragnienie. Nie miał pojęcia, kiedy ostatni raz jadł albo pił. Czy powinien dotykać tej struzki o oleistym wyglądzie? Nie był pewien. Zastanawiając się, czy to bezpieczne, odwrócił się i poszedł brzegiem potoku służącego mu teraz za drogowskaz.

W pewnej chwili struzka zniknęła w okrągłym otworze w podłodze. Bulwa służąca Faree za latarkę gasła, więc próbował znaleźć następną. Jednakże tutaj roślinność w sklepieniu przypominała bardziej konce mocnych pnaczy. Nagle rozległ się jakiś dźwięk. Strumyczek płynął bezgłośnie i do tej pory panowała przytłaczająca cisza. Faree nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie została zakłoczona.

Cos zachrobotło, jakby korzenie na gorze poruszyły się. Faree unosił głowę. Nad sobą zobaczył tylko nieprzenikniętą ciemność. Ostrożnie spróbował rozłożyć skrzydła. Ich krawędzie znowu otarły się o coś na gorze, gdyż tunel miał niskie sklepienie, więc zwinął je najciasniej, jak mógł.

Oprócz pragnienia, o którym starał się zapomnieć, poczuł teraz także głód. Zatesknął za pakietem prowiantu zostawionym w statku.

Statek! Lady Maelen - co się z nią stało, kiedy ciemny glob pekił w jego dłoniach? Co zrobili ci, którzy go tu umieścili? Przenieśli się jakos do doliny i próbowali uwiezić załogę statku, tak jak jego? Faree czuł wielki respekt i strach przed mocą Maelen - a jeszcze bardziej szanował potęgę Zakatianina. Od niezliczonych wieków lud Zorora gromadził wiedzę i rozwijał utajone zdolności. Nie wszyscy podążali tymi samymi ścieżkami - wiedział, że Zoror eksperymentował z mową myśli i władaniem umysłami. Młodzieniec nie wiedział jednak, jak potężny jest talent historyka. Stanął na chwile, aby jeszcze raz spróbować psychopolacji - i znowu zderzył się z barierą.

Mogli odebrać mu swobodę myśli, ale tym razem nie skrepowali jego ciała. Podczas krótkiego postoju korzenie nad jego głową najwyraźniej się wydłużyły. Z jakiegoś powodu przejęło go to lekkiem. Już wystarczająco trudno było mu przebywać pod ziemią; musiał walczyć z odwiecznym strachem przed zamknięciem - pogrzebaniem w tej cuchnącej jamie w ziemi. Światło rzucane przez bulwę stało słabło. Faree odwrócił się i spojrzał za siebie, chociaż panowała tam nieprzeniknięta ciemność.

Niezupełnie. Dostrzegł drobną iskierkę - ognisko pomarańczowoczerwone jak małe płomienie. Dwie - jedna przy drugiej - a tuż za nią następna para. W tej samej chwili w twarz buchnął mu smród dość silny, aby przyprawić go o mdłości pomimo pustego żołądka. Zakrztusił się i walczył z ogarniającymi go nudnościami.

W tej samej chwili odebrał przekaz myślowy. Skontaktował się z jedną z tych istot, które biegały ciemnymi tunelami pod ziemią w dolinie. Docierał do niego straszliwy głód i obraz ohydny stworzenia pedzacego, aby wgrzyźć się w jego ciało.

Smród nasilił się, a oczy bestii płonęły coraz większym i jasniejszym blaskiem. Kierował nią głód, a on był pozywieniem.

Cofając się, Faree przywarł tak blisko do ściany po prawej stronie, na ile mu pozwalały złożone skrzydła. Szukając noża, przypominał sobie, że nie ma go w pochwie. Do obrony mogły mu posłużyć tylko dwie ręce. Wciąż się cofał, a stworzy podążały za nim. Co jakiś czas szybko oglądał się przez ramię, aby sprawdzić, czy nie widac przed nim innych świecących oczu i czy nie wchodzi w pułapkę.

Spodziewał się ataku, lecz najwyraźniej coś udaremniało stworom rzucenie się na niego. Oczywiście podchodziły coraz bliżej, lecz nie tak szybko, jak się spodziewał. Bulwa w jego ręku zgasła. Nadal jednak widział ślepią.

Posuwając się ostrożnie, sprawdzał, gdzie stawia stopę, aby mieć pewność, że nie straci równowagi. Potem coś kopnął i usłyszał brzęk metalu uderzającego o kamień. Odważył się schylić i po omacku poszukać tego, na co nadeptał. Natrafił dłoń na lancuch.

Jego część była luźna i łatwo ustąpiła pod szarpnięciem, lecz drugi koniec najwyraźniej do czegoś przymocowano. Pociągnął jeszcze raz i w odpowiedzi dostrzegł błysk światła. Kiedy znowu szarpnął, zobaczył blask. Myśliwi zatrzymali się. Wciąż palali zacieklą nienawiścią, lecz Faree odniósł wrażenie, że zachowywali się teraz ostrożnie, jak gdyby przypadkiem znalazł coś, co zapowiadało kłopoty. Tymczasem ogniwa, które trzymał w dłoni, zaczęły rozgrzewać się, wręcz palić, tak jak przedtem kula. Mimo to nie zamierzał wypuścić ich z ręki. Fakt, że samo podniesienie lancucha zmusiło przeciwników do zwolnienia kroku, nakazało mu tym mocniej go sciskać.

Poswiata rozprzestrzeniła się od ogniwa w jego ręku na pozostałe. Była silniejsza niż światło, jakie rzuciła bulwa. Faree chwycił lancuch w obie ręce i mocno go szarpnął.

Poczuł opór. Rozjarzyły się jednak kolejne ogniwa, a jego przyzwyczajone już do ciemności oczy dostrzegły, że lancuch przymocowany był do kolka w ścianie, najwyraźniej mocno osadzonego w jednym z kamiennych bloków. Młodzieniec oglądał go do samego zaczepu. Musiał dzielić uwagę między to, co robił, a groźne ślepią. Te ostatnie jednak przestały się zbliżać.

Wymacał kolko osadzone w kamieniu. Kiedy go dotknął, poczuł ból tak dotkliwy, jakby włożył rękę do prawdziwego ognia. Cofnął się, lecz nie wypuścił lancucha. W odróżnieniu od ogniwa w jego dłoni, kolko nie świeciło. Skoro niczego nie osiągnął szarpaniem, spróbował je wykrecić. Machnął lancuchem w lewo najszybciej, jak potrafił. Ogniwa splótły się, a sam lancuch skroczył, kiedy Faree skrecił jego dwa pasma razem. Jeszcze raz szarpnął.

Rozległ się brzek i ogniwo łączące lancuch z kolkiem pękło tak szybko, że Faree poleciał w tył, bolesnie obcierając sobie skrzydła o przeciwległą ścianę. Teraz trzymał w garści kilka zwojów luznego świecącego lancucha. Chociaż sciskał go mocno w dłoni, ogniwa nie parzyły go tak, jak pojedyncze kolko w ścianie. Owinawszy dość długi odcinek lancucha wokół prawej ręki, machnął resztą niczym batem. Ogniwa uderzały w posadzkę za jego plecami z metalicznym brzekiem. Dopiero wtedy w ich blasku ukazało się coś jeszcze - szczerząca zębami czaszka spoczywająca pośrodku sterty kości. Faree nie miał pojęcia, jakie stworzenie skazano na śmierć w tych podziemiach, lecz czerep sprawiał wrażenie ludzkiego.

Przeszedł nad stosem kości, niechcący tracąc czubkiem buta czaszkę, która potoczyła się w tył, w kierunku czyhających ślepi. Zadrzał i znowu ruszył wzdłuż prawej ściany pomieszczenia, szybko zwezającego się i przybierającego postać wąskiego tunelu. Lancuch wciąż świecił i Faree wymachiwał nim w przód i w tył, nie tylko po to, aby ostrzec podążające za nim istoty, lecz także, aby oświetlić sobie drogę.

Nikłe światło znowu na coś padło i młodzieniec ujrzał kolejną stertę kości. Tęgo nieszczęsnego więźnia przykuło jednak do ściany w inny sposób. W blasku uniesionego w górę lancucha jego oczom ukazała się nieduża metalowa klatka przymocowana do muru mniej więcej na wysokości, do jakiej sięgnąłby mężczyzna wzrostu Vorlunda, a w niej kolejna czaszka i kupka kości. Faree natychmiast przyspieszył krok. Miał jeszcze dwa przykułe do ściany lancuchy, lecz na żadnym z nich nie wisiał martwy więzień. Potem doszedł do końca korytarza i stanął naprzeciwko wiodących w górę stopni. Sklepienie wznosiło się w tym miejscu, czyniąc miejsce dla schodów.

W tym właśnie momencie zaatakowali łowcy. Najwyraźniej Faree za chwilę miał opuścić ich terytorium, a na to nie mogli pozwolić. Młodzieniec zatrzymał się na czwartym z wytartych stopni i stanął naprzeciw napastników z lancuchem w ręku. Kiedy się zbliżyli, uderzył. Zadał potężny cios pierwszemu, a potem zamachnął się na drugiego, mając już mniejsze szanse na trafienie. Po raz pierwszy potwory wydały głos - pisk tak wysoki i przenikliwy, że bolały od niego uszy. Dwukrotnie jeszcze jeden ze stworów rzucił się na niego, za każdym razem otrzymując cios lancuchem. Napastnik, którego Faree trafił na początku, bezskutecznie usiłował podnieść się z miejsca, gdzie padł. Teraz dołączył do niego drugi. Para ślepi zgasła i Faree sądził, że jeden stwor zdechl. Wyglądało na to, że nawet jeśli drugi był jeszcze, musiał odnieść poważne rany, gdyż nie zaatakował więcej. Leżał obok swego kompana, patrząc na młodzieńca spojrzeniem pełnym nienawiści tak wielkiej, że wydawała się tłumić jego ból.

Faree przyjrzał mu się uważnie, po czym odwrócił się i wszedł na schody. Wciąż oglądał się co kilka stopni, aby sprawdzić, czy ktoś za nim nie idzie. Lancuch świecił coraz słabiej. Owinał nim przedramię i trzymał przed sobą, żeby oświetlić drogę.

Odkąd zaczął się wspinać, ścieżka zdawała się nie mieć końca. Dwukrotnie wychodził przez otwory w sklepieniu na kolejny ciemny korytarz. Nie kusilo go jednak, żeby badać okolice.

Wolał trzymać się schodów, które wciąż prowadziły w górę.

Przyzwyczajony do nikłej poświaty łańcucha, początkowo nie zauważył słabego światła przed sobą. Wreszcie szary kwadrat przyciągnął jego uwagę, dzięki czemu zebrał resztki gasnących sił, i pospieszył w stronę szczytu schodów. Znalazł się w dość dużej komnacie. W jednym jej końcu stał piec, a na ścianach wisiały dziwne przedmioty. Nie miał ochoty przyglądać się im bliżej, gdyż pomieszczenie wciąż przepelniała atmosfera takiego cierpienia i strachu, że aż przeszedł go dreszcz. Rozłożył skrzydła i poruszał nimi - miał na to dość miejsca. Na drugim końcu komnaty znajdowały się następne schody, natomiast w jednej ścianie, wysoko poza zasięgiem każdego, kto mógłby tu stanąć, widniał rząd zakratowanych okien. Przez nie do tego poświeconego miejsca wpadało zamglone światło.

Posadzkę zaciemniała warstwa kurzu. Wyraźnie odcinały się na niej odciski stop Faree. Przenikliwy chłód świadczył o tym, że pomieszczenie było od dawna opustoszałe. Młodzienc nie powoli owinał sobie łańcuch wokół ręki, gimnastykując zdrewniałe skrzydła i rozglądając się wokół. Ogniwa nie świeciły już tak mocno, lecz przypominały dobrze wypolerowane srebro. Z pewnością nie przedziewały jak pierścien mocujący albo klatka z czaszką, skąd sypały się czerwone płatki. Faree mocniej owinał łańcuch wokół ramienia i wszedł na schody. Podobnie jak w przypadku stopni w podziemnych korytarzach, za pierwszym podestem zaczynał się następny ciąg schodów. Po prawej stronie znajdował się korytarz, lecz po lewej było okno - na tyle wąskie, że musiał znowu zwinąć skrzydła, i na tyle wysoko, iż zmuszony był poluzować łańcuch, żeby chwycić za prety obiema dłońmi i podciągnąć się, aby wyjrzec na zewnątrz.

Zobaczył przed sobą otwartą przestrzeń, tak jak z komnaty, w której obudził się na początku. Prety nie pozwalały mu wychylić się dość daleko, żeby zobaczyć, co jest po obu stronach okna. Pośrodku kraty umieszczono metalową brudnoczerwona płytkę. Z prety sypała mu się na ręce rdza, a palce drżały od bolesnych skurczy, dopóki znowu nie rozluźnił uścisku. Płytkę miała wyryty głęboko wzór i od razu poznał rysunek, jaki na niej widniał. Widywał go w cennych kronikach Zorora - był to starożytny orez zwany mieczem, dłuższy od noża, i jego zdaniem, mniej poręczny. Klinga do połowy tkwiła w humanoidalnej czaszce szczerzacej żeby długie niczym kły. Sala piętro niżej przypominała mu o cierpieniu i prastarym leku. Ten wizerunek też budził w nim jakieś uczucia, lecz inne, niezrozumiałe, kryjące jakiś ważny sens.

Głód i pragnienie gnały go dalej. Wspinał się po kolejnych stopniach i znalazł się na końcu wielkiej sali rozposcierającej się przed nim jak komnata w jego śnie, tyle że nie widział w niej błyszczących kryształów. Na ścianach wisiały strzępy zasłon, z których teraz zostały już tylko szmaty. Większość spadła na posadzkę i leżała pod ścianami, butwiejąc. Pośrodku ogromnej sali stał stół. Kurz przyćmił jego żywe barwy, lecz tu i tam - spod przypadkowo startej jego warstwy - przeswitywał błękit z ciemnoczerwonego kamienia, czarno żyłkowany i błyszczący. Po obu jego stronach ciągnęły się ławy o łśniącoczarnych podporach i pokrytych kurzem siedziskach. Na stole ustawiono duże puchary na nożkach. Naczynia miały lekki połysk i gdyby je wypolerować, przypuszczalnie świeciłyby jak łańcuch, który

sluzyl Faree za bron.

Na koncu stolu znajdowało się krzesło z oparciem, wykonane również z błyszczącego, czarnego materiału. Na szczycie oparcia wyrzeźbiono czaszkę, biała jak kość, dzięki czemu - pomimo kurzu - odcinała się wyraźnie od tła. Czerep ten przebity był czarnym mieczem. Idąc wzdłuż komnaty, Faree zauważył pod ścianą po lewej stronie sterty zbutwiałych zasłon, które spadły z ogromnych okien. Wszystkie zakratowane otwory miały pośrodku godło z czaszką i mieczem. Po pobycie w podziemiach Faree wydawało się, iż powietrze wpadające przez nie jest tak wonne i świeże, że podszedł do najbliższego z nich.

Duże okna znajdowały się znacznie bliżej posadzki niż pozostałe - zupełnie jakby dostosowano je do potrzeb istot jego rozmiarów. Kiedy się przez nie wychylił, po raz pierwszy mógł zobaczyć coś oprócz nieba.

Sądząc po położeniu słońca, musiało być popołudnie pogodnego dnia. Gdy spojrzał w dół, zapomniał o przerażającym mroku budowli. Poniżej rzeczywiście były mury. Jednakże to, co znajdowało się w ich obrebie, sprawiło, że jęknął ze zdumienia. Dostrzegł bowiem morze zieleni, chociaż po pierwszym, pełnym niedowierzania spojrzeniu rozpoznał splątany gąszcz drzew i krzewów, a w samym jego środku coś, co mogło być jedynie stawem. Z jednego z drzew ze śpiewem zerwał się jaskrawożółty ptak.

Później zobaczył taras i schody wiodące do tej miniaturowej puszczy. Ruszył w ich kierunku, starając się znaleźć drzwi, którymi mógłby wyjść na wolność. Stapał po wielkiej stercie szmat rozpadających się w proch pod jego dotykiem. Unoszące się w powietrzu kleby kurzu wywoływały u niego ataki kaszlu i zmusiły go do zmrużenia oczu. Potem znalazł drzwi - zamknięte. Szarpnął nadwierzona przez czas zasuwę i wyszedł na taras.

Chwiał się na nogach i musiał zejść po schodach bokiem, obiema rękami trzymając się poręczy. Lancuch zarzucił sobie na szyję. Słyszał zew wody - znalezienie sadzawki otoczonej zielenią i ugaszenie pragnienia było teraz jedyną rzeczą, jaka się liczyła.

ROZDZIAŁ 13

Żółte ptaki skrzeczały mu nad głową, wyrażając niezadowolenie z faktu, że kradnie owoce z należącego do nich drzewa. Wszystko wskazywało na to, że oprócz ptaków i jakiegoś puchatego zwierzątka, które uciekło mu spod nog, trzymając mocno w zębach jedną z tych bladezielonych kul, jakimi sam się teraz pożywał, od dawna nikogo tu nie było. Młodzienc odważył się napić z sadzawki i łapczywie wgryźć się w miąższ owocu, mając nadzieję, że ani jedno, ani drugie nie zawiera nasion śmierci dla przybyszów z obcych planet. "Tyle że... on przecież nie był przybyszem z obcego świata" - pomyślał, sięgając po kolejny owoc. Żył tu istoty podobne do niego. Poza tym miał jeszcze te dziwne przebłyski wspomnień, którym udało się skruszyć te przekłeta blokadę pamięci. Dzięki nim wiedział, że jego rasa nie jest tu obca, chociaż nie rozpoznawał tego miejsca.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, wspiał się ponownie na taras, gdzie ani drzewa, ani krzaki nie przeszkadzały mu rozłożyć w pełni skrzydeł. Stamtąd wzbił się w powietrze, aby lepiej przyjrzeć się okolicy.

Kiedy wznosił się w przestworza, okolony murami ogrodu stał się jaskrawozielonym kwadratem, a ciemna bryła budynku nabrała jeszcze bardziej złowieszczego wyglądu. Sprawiała takie wrażenie nie tylko z powodu wysokości murów i wież. Fakt, że wieńczyła niebosieźny płaskowyż okolony niższymi wzniesieniami, czynił ją jeszcze bardziej imponującą. Miała tam trzy wieże, jedna duża nad głównym gmachem, przez który wyszedł do ogrodu, oraz po jednej stronie dwie niższe i smuklejsze. Mury zamku wznosiły się nad samym skrajem przepaści - jak gdyby wyrosły z rodzimej skały.

Faree podleciał bliżej do dwóch wież i niewielkiej otwartej przestrzeni przed nimi. Teraz widac było, że strzegły przejścia - masywnych wrot zamkniętych mocno przed światem zewnętrznym. Jednakże od placu przed nimi wiodła w dół ścieżka wykuta w skałę, miejscami dość stroma, przechodząca w kamienne schody.

Zniżywszy lot, stwierdził, że ta droga również była zamknięta, gdyż po pewnym czasie kamienne stopnie niespodziewanie się kończyły. Dalej ciągnęła się tylko skała, na której stał zamek, chociaż trochę niżej wciąż widniały pozostałości zniszczonych schodów.

W dole na ziemi widac było ślad czegoś, co przypuszczalnie było niegdyś drogą. Wilo się między kępami dziwnie powykrzywianych, bezlistnych drzew. Faree zniżył lot jeszcze bardziej, aż prawie muskał wierzchołki drzew martwego lasu. Wszystkie konary były tak poskręcane, jakby ktoś celowo je powykrzywił i tak zostawił. Tu i tam przeswitywały chorobliwie żółte i niepokojąco czerwono-brązowe plamy, jakies grudy przyłączone do pni albo cienkich gałązek. Faree poczuł musnięcie tego samego niepokoju, jaki ogarnął go w tej niemiłej komnacie na zamku. Tu przebywało coś złego i było dość potężne, aby całkowicie unicestwić wszelkie życie i nadzieje.

Martwy las rozciągał się od stop płaskowyzu, z którego wyrastał zamek, po horyzont. Choćby nie wiem, jak wysoko Faree się wznosił, nigdzie nie było śladów zieleni. Wreszcie na końcu tej udrezonej puszczy znow zobaczył góry, takie, jakie stały między statkiem a drugą gorską twierdzą, która spowijała mgłą.

Zawrócił i poleciał wzdłuż ściany jednej z dwóch wież, znow szukając ogrodu z potrzebnym mu pokarmem. Pomiedzy wiezami na potężnej bramie widniało wypukłe godło, które już widział w zamku, chociaż tym razem czaszka była czerwona, a miecz stracił rekojesc.

Kiedy Faree przelatywał obok drugiej wieży, niespodziewanie przylaczyło się do niego stadko ptaków, nie tych żółtych z wewnętrznego ogrodu, lecz większych i z wyglądu bardziej agresywnych. "Jeśli to w ogóle ptaki" - pomyślał na widok stworzeń krazących wokół niego, po kolei podfruwających coraz bliżej, aż zaczął się obawiać, że ktoreś z nich uderzy go zakrzywionym dziobem w jedno albo drugie skrzydło.

Były prawie tego samego koloru, co narosła na uschniętych drzewach i chociaż ciała miały pokryte piorami, na ich skrzydłach przeswiecały platy gołej, szarej skóry. Przyglądały mu się badawczo - zupełnie jakby sprawdzały potencjalnego wroga przed rozpoczęciem napaszc.

Ich widok tak zaniepokoił Faree, że omal nie uciekł od zamku i nie zawrócił w stronę martwego lasu. Tylko konieczność zdobycia pokarmu i wody nie pozwalała mu opuścić drogi wiodącej do zarosniętego ogrodu. Znajdował się właśnie nad brzołą zamku, a po lewej stronie miał najwyższą wieżę, gdy ptaki, dotychczas lecące w ciszy, niespodziewanie wydały kilka ochryplych wrzasków i rozpięzchły się.

Z najwyższej szczeliny okiennej wieży wystrzeliła smuga światła. Nie wymierzona w niego, raczej w ptaka. Trafione stworzenie wrzasnęło i skreśliło gwałtownie, łopocząc postrzępionymi skrzydłami w rozpaczliwym pospiechu, mimo to tracąc wysokość.

Pozostałe ptaki już zawracały do wieży przy bramie, z której najwyraźniej przyleciały, tylko ranny wylądował na dachu i skakał po nim, powłócząc jednym skrzydłem, jakby nie mógł go już zwinąć.

Faree trzymał się z dala od linii ognia. Kto jeszcze bronił tego opuszczonego od pokoleń - sadzać po tym wszystkim, co dotychczas widział - miejsca?

Szczelina okienna, skąd strzeliło światło, była równie głęboka, co wąska, i nie zauważył niczego - ani nikogo - w środku, chociaż czuł, że spokój ogrodu został zmacony. Tak czy inaczej, nie miał najmniejszej ochoty znów się zapuszczać w głąb ponurego zamczyska. Wybrał sobie natomiast miejsce, gdzie mógł się zmieścić pod drzewem, jeśli będzie pamiętał o tym, żeby mocno zwinąć skrzydła. Z wysokiej trawy, którą wyrwał z kępy u stop tarasu, zaczął splatać swego rodzaju sieć. Czynił to z uwagą, a w jego palcach najwyraźniej zbudziły się umiejętności, jakich sam się nawet nie spodziewał.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy zawiązał ostatni supel. Pozwolił sobie na długi łyk wody z sadzawki i zbudował byle jakie gniazdo z liści, zgarniając je spod największego drzewa. Być może układanie się tutaj do snu było czystym szalenstwem, lecz podczas lotu nie znalazł lepszego miejsca, a bardzo nie chciał ponownie wchodzić do zamku. Objadłszy się owocami do syta, wyciągnął się na posłaniu, jeszcze nie po to, aby spać, chociaż słońce już schowało się za gorami, lecz aby jeszcze raz wypróbować swoją umiejętność szukania psychicznym zmysłem.

Niewatpliwie sięgał teraz dalej! Skupił się na odległym skraju zarosniętego ogrodu i siedł powoli, w każdej chwili gotów wycofać się do własnego wnętrza. Wyczuwał tętno życia - były to ptaki i być może te zwierzątka, które kradły opadłe owoce. Żadne nie zdradzało najmniejszych śladów innych intencji. Zastanowił się nad próbą dotarcia do wieży, lecz szybko doszedł do wniosku, że niewiele zyska, jeśli znów sciągnie na siebie uwagę głosów, którym nie umiał udzielić odpowiedzi.

Ocknal sie raz, kiedy w poblizu rozlegl sie wrzask jednego z wylenialych ptakow i odbil sie echem od murow. Jego ciało było zmeczone i pragnelo odpoczynku, lecz umysl - czujny - myszkował troche tutaj, troche tam. Znalazl kolejne zwierze, mieszkanka podziemnych nor, nocnego lowce, i przyczepil do niego nic poszukiwan.

Gdy nic zaczęła sie rozwijac, wpadl w podniecenie. Bariera wokół niego albo wreszcie znikła, albo osłabła. Zwierzątko, któremu towarzyszył, biegło bez wątpienia jednym z wewnetrznych korytarzy ciemnej, opuszczonej twierdzy za nim. Gdyby tylko Toggor był tutaj! Miał trudności z utrzymaniem kontaktu z malutkim z umysłem pojawiającym sie i znikającym na najniższym pasmie, jakie znalazł.

Znajdował sie w zamku - i polował, chociaż nie miał pojęcia, jakie inne stworzenie mogło tu zyc. Kamienne mury były zbyt nagie - nie było tu żadnych jadalnych odpadków, na jakie można byłoby sie natknac, gdyby zamek był zamieszkania. Zwierzątko wspinało sie przez ciasną szczelinę. Zdolalo przecisnac sie przez miejsca o polowe wezsze od jego ciała.

W jego umysle nie było niczego oprócz głodu i niecierpliwego poszukiwania pożywienia. Było również głęboko przeswiadczone, że znajdzie tu łatwy łup. Tak jak rybak, który bawi sie z jakimś wiekszym od siebie morskim stworzeniem i pozwala mu nadaremnie uciekac, trzymając je tylko na uwiezi cienkiej linki, tak Faree szedł w ślad za nocnym lowcą. Zwierze odczuwalo teraz podniecenie; zbliżalo sie do swego ulubionego miejsca poszukiwan. Faree nie miał mocy Maelen ani Vorlunda; nie potrafil widziec oczami myśliwego ani nawet zobaczyc tego, na co polował.

Lowca zwolnil, zachowując wiekszą ostroznosc, i posuwał sie naprzód krotkimi zrywami, najwyrazniej biegnac od jednej kryjowki do drugiej. Potem...

Faree rozluźnil kontakt i wycofal sie, mając nadzieje, że nie został zauwazony. Tam był inny umysl - nie zwierzęcy - potężny, wrecz przytłaczający, chociaż ledwo go musnal. Ktos pełnil straż. Faree wstal, zwiłając skrzydła najciasniej jak potrafil i sprobował spojrzec na wschod - w strone wieży, której niewyraźny cień majaczył w szybko zapadającej ciemności. Czy po tej stronie znajdowały sie jakieś okna? Nie pamiętal. W ustach mu zaschło, a dłonie lepiły sie do osłaniających go grubych galezi. Znow ogarnal go strach, tym silniejszy, że nie wiedzial, co jest jego źródłem. Otoczył sie bariera umysłowej nicosci i czekal - sam nie wiedzial na co.

Czas upływał. Pulsujący ból, którego sie spodziewal, nie nadszedł. Mimo to Faree nie odważyl sie ponowic poszukiwan. Toggor - strasznie tesknil za smaksem. Przedtem bawili sie razem, grali w gry wymagające udziału ich obu. Wciaz czekal na atak, chociaż w wieży nie palilo sie swiatło i nic nie wskazywalo na to, aby poza tym zwierzęciem było tam cokolwiek.

Wreszcie ponownie ułożył sie na posłaniu z lisci. Jedyne, co mógł zrobic dla swego bezpieczeństwa, to stanowczo zaprzestac dalszych takich eksperymentow.

W powietrzu unosił się ciężki zapach nocnych kwiatów, dopiero co rozchylających płatki, i każdy z tych wielkich paków rozsiewających teraz blada poświatę, ścigał ku sobie liczne owady.

Basniowy czar - takich dziwnych słów użył Zoror. Faree zdawało się, że wyczuwa w wieczornym powietrzu jakąś miękkość, jakby obronę przed surowością kamiennych murów otaczających to miejsce. Powoli rozejrzył się wokół, nieomal spodziewając się ujrzeć jakąś zachodzącą zmianę.

Jego początkowa nieufność ustępowała i nagle uswiadomił sobie, czym to może grozić. Mogł być pod wpływem jakiejś siły, której pojawienia się nie wyczuł. Nadal myślowe przesłanie, gdyż musiał się dowiedzieć...

Wyczuwał obecność drobnych zwierząt w ogrodzie i nie odczuwały one strachu ani niepokoju. Jeśli cokolwiek starało się go poruszyć, posyłało wąską wiązkę wymierzona tylko w niego. Jeszcze raz spojrział w górę, odsuwając usiana kwiatami gałąź, aby spróbować spojrzeć na najwyższą wieżę, gdyż był przekonany, że wykryty przez niego rozum znajduje się właśnie tam.

Wtedy zobaczył błękitne kolko tego samego koloru, co promień, który stracił z nieba ptaka. Kiedy Faree je obserwował, przesunęło się lekko w prawo. Kształk był zbyt duży jak na oko, ale młodzieniec wiedział, że spełniał dla kogoś taką funkcję.

Dysk przesunął się dalej w prawo, tak że widac dostrzegał ledwie jego krawędź. Potem musiał polecieć jeszcze dalej, gdyż nagle znikł. Czy Faree zdołałby uciec na zachód, gdy oko było odwrócone? To mogło się udać, lecz w tej chwili wydawało mu się, że szanse są zbyt nikłe. Patrzył, jak oko wynurza się po lewej stronie i sunie dalej, aż ujrzął dysk w całej jego okazałości. Potem kształk przestał się poruszać i zawisł na tle czerni nocnego nieba.

Fakt, czy z takiej wysokości potrafił dostrzec miejsce, gdzie Faree się ukrywał, był kolejną rzeczą, jakiej mógł się tylko domyślać. W każdej chwili spodziewał się wpasć w jakąś nieznaną pułapkę. Jego obecność mogła zostać zauważona już w chwili, gdy wyszedł z podziemi i stanął w tej ohydnej komnacie na dole. Musiał zostać zauważony, kiedy leciał nad uschniętym lasem...

I tak też się stało... Nadeszło to, czego od tak dawna się spodziewał... nie był to jednak cios, lecz raczej powitanie. Nie czuł niebezpieczeństwa...

Faree wyslizgnął się ze swego gniazda i wyszedł na taras, skąd wzbił się w powietrze. Kiedy wleciał ponad zapach nocnych kwiatów, w jego umyśle pojawił się obraz miejsca, gdzie go wzywano. Znajdowało się tutaj - mocne kwadratowe ładowisko na dachu u podnoża wysokiej wieży.

Ponownie zwinawszy skrzydła, podszedł do drzwi, które stały lekko uchylone, jakby na jego powitanie. Wiedział tylko, że musi to zrobić i w miarę upływu czasu ta potrzeba stawała się

coraz bardziej naglaca. Znow szedl po schodach wijacych sie we wnetrzu wiezy. Stopnie byly na tyle szerokie, aby mogl na nich pomiescic stope, jego zwiniete skrzydla ocieraly sie o sciany.

Przyspieszyl kroku, nekany jakimś niepokojem. Potrzeba - byl potrzebny! Mial tak malo czasu...

Czasu na co? - zaciekawila sie gleboko skryta czesc jego jazni. Nie uswiadamił sobie potrzeby odpowiedzenia na zadne pytanie.

Gorna czesc schodow zalewalo swiatlo - nie czerwonozoloty blask plomieni, poswiata ze scian statku, ani tez zaden inny rodzaj oswietlenia, jakie mu przychodzilo na mysl. Bylo niebieskie - jak to czujne oko. Wszedl do pokoju, który niewatpliwie zajmowal caly szczyt wiezy.

Kobieta siedziala na krzesle z blyszczacego kryształu, skrzacego sie i odbijajacego swiatlo. Rece, wychylajace sie z obszernych rekawow, zlozyla w taki sposob, ze palce wskazujace dotykaly jej warg, a lokcie opieraly sie na poręczach krzesla.

Na pol rozpostarte skrzydla Faree zadrzaly. Młodzieniec popatrzył na nieznajoma i ich spojrzenia skrzyzowaly sie. Z pewnoscia dorownywala wzrostem Maelen i nie miala skrzydel. Wlosy, w tym swietle bladoniebieskie, w rzeczywistosci musialy byc srebrzyste i bardzo delikatne. Opadaly swobodnie na jej ramiona i splywaly po plecach, przykrywajac suknie niczym plaszcz.

Klejnoty blyszczace jak roziskrzony tron, na którym siedziala, mienily sie tu i tam wsrod pukli, jakby nanizano je na same wlosy. A na gorsie jej sukni widnialo godlo - rozpostarte lśniace skrzydla.

Faree wpatrywál sie w nia. Jedna reka niepewnie dotknal glowy. Znow poczul szybko narastajacy bol. Wzrok mu sie macil i wyciagnal przed siebie druga reke w gescie protestu.

-Zatem kolo rzeczywiscie sie odwrocilo. - Słowa docieraly do niego przez meke. - To, co pograzilo sie w ciemnosci upadku, znow stara sie wzniesc. Nie jest jednak zupelne, prawda, malenki? Pieczec Fragona nielatwo zlamac. Powiedz mi teraz, jak sie nazywam?

Usta Faree byly tak suche, jak gdyby wyszorowano je pustynnym piaskiem. Szepnal:

-Selrena...

Kobieta poruszyła dlonmi, tak ze jej palce wskazujace nie znajdowaly sie juz na wysokosci warg, lecz mierzyly prosto w niego, jakby chciala wbic go na ich szpiczaste paznokcie.

-Ach, tak... - Pokiwala glowa i klejnoty wplecione w jej wlosy zatanczyly olsniewajaco. Bol ustepowal i Faree znow widzial wyraznie. - A kim ja jestem, malenki?

Na to nie umiał odpowiedzieć. Mur w jego głowie był jak zawsze nietknięty.

-Tego... nie wiem.

Nie zmarszczyła brwi, lecz Faree wyczuł jej chwilowe zniecierpliwienie.

-Fragon! - rzuciła z odrazą, lecz potem najwyraźniej zreflektowała się i uzbroiła w cierpliwość. - Przynajmniej jesteś Langrone. Spojrz!

Nakazujący ton i gest wskazującego palca spowodował, że Faree natychmiast spojrzał na podłogę, gdzie zobaczył okrąg o błyszczącej błękitnej powierzchni. Oko... ale...? Kobieta najwyraźniej podchwyciła jego myśl.

-Oko? Tak, to coś w rodzaju oka. Musimy się jednak upewnić...

Wtargnęła do jego wnętrza. Ulotne obrazy migaly przed nim i wokół niego. Po raz kolejny życie przemknęło mu przed oczami. Potem, czując się tak, jakby go złapano i wyssano z niego większość sił, znowu stał chwiejnie na krawędzi niebieskiego dysku.

Selrena nie wstała z krzesła, lecz położyła ręce na jego poręczach i po raz pierwszy jej spokojna twarz naprawdę coś wyrażała.

-Z innej planety... - mówiła jakby do siebie - i ci przybywający z toba... To, co zaplanowane, można zmienić, kiedy są nowe pasma do wplecenia. Teraz... - W jej głosie brzmiała ta sama siła, co w rozkazie zmuszającym go do krótkiego powrotu do przeszłości. - Patrz... sięgaj...,

Faree padł na kolana, głównie dlatego, że nie mógł już dłużej stać prosto, i nachylił się nad dyskiem, przyglądając mu się równie intensywnie, co kobiecie w chwili spotkania.

Nic nie zapowiadało sceny, która natychmiast się ukazała. Uczestniczył w niej prawie tak samo, jakby rzeczywiście stał w kabinie sterowniczej statku. Zoror siedział na miejscu pilota, a Maelen i Vorlund stali. Oboje odwrócili głowy w jego kierunku, a na ich twarzach odmalowało się zdumienie. We wnętrzu Faree doszła do głosu obca woła. Przedtem sam używał zwierzątka z ogrodu, żeby wykryć niebezpieczeństwo, a teraz nim posłużono się w taki sam sposób.

Vorlund nadal stał ze zdziwioną miną, lecz Maelen uniosła rękę i poruszyła palcami. Młodzińcem wstrzasnęło uczucie zaskoczenia - ten, kto się nim posługiwał, nie oczekiwał takiej reakcji. Obok zaskoczenia pojawiła się teraz odrobina niepewności.

Zmysł psychopolacji Faree podporządkowano cudzej woli i skierowano na Maelen, gdzie natrafił na nieprzenikniony mur. Potem został rzucony w stronę Vorlunda i wdarł się do środka, lecz tylko na chwilę. Ostre szarpnięcie i znowu znalazł się na zewnątrz. Potem Zakatianin...

I znow obrona okazała się zbyt silna, aby mógł wytrzymać.

-Faree! - Maelen odpowiedziała na jego myślowe wezwanie. - Faree, gdzie... - Nie dokończyła pytania.

Pomiędzy jego oczami i dyskiem mignęła biała dłoń, muskając palcami powierzchnię kraska. Scena, jeszcze przed chwilą tak wyraźna, zniknęła. Faree unosił głowę powoli i znowu spojrzał na Selrenę. Była jedną z Dardów, a oni nigdy nie wyjawiali swoich zamiarów. Dla nich skrzydlaci byli jak dzieci: to kolejny strzęp wiedzy z przeszłości.

Stała teraz nad nim, nie patrząc już w dół, lecz na wąską szczelinę w ścianie od zachodu. Przygryzała dolną wargę, zastanawiając się nad czymś.

Faree był tak zmęczony, jakby od wielu dni obywatel się bez odpoczynku, i ledwo powstrzymywał opadające powieki.

-Ktoś nowy, obdarzony mocą! - powiedziała powoli Selrena. - I nie przybywa, aby walczyć z nami, lecz po ciebie! - Zgarnęła fałdy szaty i podeszła do stojącego w pobliżu stolika. Podniosła czarke, postawiła ją na dłoni, wsypała do niej zawartość dwóch małych pudełek i dodała płynu z wysokiej butelki. Trzymając miseczkę w obu rękach, powoli przechylała ją na boki, po czym podawała Faree, obchodząc dysk dookoła.

-Pij! - rozkazała stanowczo.

Młodzieniec był jej posłuszny. Płyn gęsty, lecz płynny, miał ostry, palący smak, więc szybko go przełknął. Gorąco spłynęło mu do gardła i nagle uświadomił sobie, że ponure ściany tak wybiegły nie tylko komnaty, ale i jego samego. Zesztywniały od tego chłodu, teraz czuł się rozluźniony.

Selrena usiadła na kryształowym krześle i przyglądała mu się z miną osoby starającej się rozwiązać jakiś problem. Kiedy odstawił czarke, ponownie wskazała dysk na posadzkę. Nachylił się lekko w przód, ciekaw, czy znowu zobaczy towarzyszy. Nie czuł już zmęczenia, które go dreczyło od chwili, gdy wyszedł z podziemnych korytarzy; nie odczuwał też żadnego przymusu. Może to znowu był baśniowy czar Zorora, lecz nie miał ochoty z nim walczyć.

-Kim są twoi przyjaciele? - Kobieta była bezpośrednia i rzeczowa.

Choć podczas sprawowania kontroli nad jego umysłem musiała poznać większą część historii jego życia, Faree opowiedział jej wszystko jeszcze raz, częściowo myślowymi obrazami, częściowo mową. Używał uniwersalnego języka międzygwiazdnych szlaków, lecz mimo to najwyraźniej zrozumienie go nie sprawiało jej większego trudu.

Kiedy opowiadał o ich przygodach na Yiktor, przerywała mu kilkakrotnie, przeważnie po to, aby poprosić o powtórzenie czegoś, co powiedział o Maelen albo Thassa, których spotkał.

-Skąd oni pochodzą? - spytała niespodziewanie. - Ci porozumiewający się myślami nie tylko między sobą, lecz także ze zwierzętami i innymi formami życia na swej obecnej planecie?

Faree potrząsnął głową.

-Nie wiem. Wiem tylko, że są bardzo starym ludem. Żyli niegdyś w miastach, lecz teraz podróżują po całym świecie, nie mając prawdziwego domu.

-Mają jednak moc. - Dłoń spoczywająca na jej kolanie zacisnęła się w piasek. - Teraz... - przeszła do innego tematu - powiedz mi więcej o tym Zakatianinie, skąd pochodzi i dlaczego grzebie w starych legendach? Czy szuka skarbów, do czego najwyraźniej dąży wiele ras i gatunków?

-Zakatianie szukają wiedzy. Na swojej planecie gromadzą wszystko, czego zdołają się dowiedzieć...

-Po co? - dopytywała się kobieta.

-Wiem tylko, że dla nich sama wiedza jest skarbem. Czasami opuszczają swój świat, jak zrobił to Zoror - żeby zamieszkać na innej planecie, gdzie ładuje wiele statków, i zbierać wieści z wielu odległych miejsc - albo badają starożytne ruiny, szukając informacji na temat tego, kto je zbudował, kiedy i dlaczego...

-Więc to ten Zoror powiedział ci o Ludkach i przyleciał z tobą ich szukać - wyłącznie po to, aby powiększyć swój zbiór wiadomości? A może miał jakiś inny powód - może chciał odnaleźć Krainę Zagłady? Szukający tam skarbów, znajdują tylko śmierć. Istnieje wiele opowieści o tym, co można tam odkryć, lecz nie bez przyczyny nie można im ufać. Śmierć strzeże tego, co do niej należy. Mimo to fakt, że nie zapomniano o Ludku i ktoś go szuka... - znów spojrzała ponad głową Faree na ściane okrągłej komnaty - skłania do zastanowienia.

-On nie jest łowcą skarbów... - zaczął Faree, a kobieta rozesmiała się, choć dźwięk ten przeszył go chłodem.

-Skądże, przybywa po to, żeby ci zwrócić krewniakom. Tym się więc chelpi?

-On się nie chelpi. Tak, pragnął pojsć za głosem pragnienia, które mnie tu przywiodło. A lady Maelen i jej lord byli podobnego zdania.

-Piękna bajka. - Kobieta znów parsknęła śmiechem.

-Siedzisz więc teraz w twierdzy należącej kiedyś do Fragona i podsuwasz mi lamigłowki do rozwiązania. Ja zawsze potrzebuję odpowiedzi. Aczkolwiek... - przechyliła lekko głowę i spojrzała na niego uważnie - właśnie tego... Tak!

-Klasnęła głośno w dłonie. - Nie mogłobyś lepiej się nam przysłużyć, skrzydlaty. Skoro już tu

jestes, badz pewien, ze zrobie z ciebie dobry uzytek. Chodz... - Wstala z krzesla i skinela na niego. Faree wstal.

Zaczekala, az podejdzie, a wtedy chwycila go mocno za ramie i pociagnela za soba. Byli pod sciana, kiedy stanela i druga reka dotknela kamienia. Faree nie wiedzial, co zrobila, lecz duza czesc muru padla przed nimi, tworzac gzyms otoczony z trzech stron noca.

Selrena szybko uniosla dlon lezaca na ramieniu Faree i dotknela miejsca miedzy jego oczami.

Mlodzieniec wybiegl na platforme. Zadano mu pytanie, na ktore tylko on mogl odpowiedziec - i musial to zrobic, natychmiast! Rozpostarl skrzydla i gwaltownie wzbil sie w nocne niebo.

ROZDZIAL 14

Taki sam zew wywabil go wczesniej ze statku i w zaden sposob nie mogl mu sie oprzec. Ziemie w dole skrywal mrok; jedynym swiatlem - oprócz blasku bardzo odleglych gwiazd - byla zlowieszcza zielonkawa poswiata martwego lasu. Zaden ptak nie wzbil sie za nim w niebo ani nie niepokoil go w czasie lotu. Probowal wybiec umyslem naprzod, wyszukac zrodlo tego sygnalu, lecz ustalil tylko, ze lezy gdzies na zachodzie. Tymczasem na wschodzie... Przez glowe przebiegla mu mysl o statku i czekajacych na niego towarzyszach. W zaden sposob nie mogl jednak oprzec sie sile kazacej mu oddalac sie od miejsca, gdzie moglby znalezc bezpieczne schronienie i pomoc. Zmeczenie ustapilo. Byc moze - przyszlo mu na mysl - zwalczyl je napoj podany przez Selrene. Poruszal sie dosc szybko. Minal uschniety las i przelecial nad kolejna skalna sciana, rownie wysoka, co wzgorza, na ktorych wznosil sie zamek. Zgasla poswiata grzybokształtnych narosli i znow znalazl sie nad nagimi skalami.

Lecial nad nimi dosc dlugo, odkrywajac, ze w ciemnosci widzi lepiej niz mu sie wydawalo, kiedy dostrzegl przed soba swiatlo duzo silniejsze od tego, jakie bilo od lasu. W tym samym czasie wabiacy go krzyk przeszedl w glosny jek, a potem ucichl.

Odtad panowala juz cisza. Sila, zmuszajaca go do lotu przed siebie, zelzala nieco. Zmniejszyl szybkoosc, odzyskujac czesciowo panowanie nad wlasnymi ruchami. Widoczny przed nim snop swiatla stal sie slupem, kolumna strzelajaca w niebo. Swiatlo statku! Na pewno tak!

Znajdujacy sie w tym miejscu pojazd nie mogl byc tym, do ktorego pragnal poleciec. Kiedy do jego umyslu przestal docierac zew zagluszajacy i przytepiajacy pozostale zmysly, znow mogl trzezwio myslec. Bylby glupcem, gdyby pomknal wprost ku tej kolumnie swiatla. Jeszcze raz sprobował oprzec sie przymusowi i poleciec na wschod. Nie odzyskal jednak wystarczajacej swobody, aby to zrobic.

Pasma wzgorz, nad ktorymi przelatyl, skrecalo na polnoc, i Faree stwierdzil, ze moze zboczyc z kursu na tyle, aby posuwac sie wzdluz ich nierownej linii.

-Granica! Granica!

Miał wrażenie, że ktoś krzyknął mu te słowa do ucha. Skrecił w bok, wstrzasnięty tym najsilniejszym i najboleśniejszym z myślowych przekazów, jakie dotychczas odebrał. Skierował się w lewo i dopiero po czterech silnych rozpaczliwych wymachach skrzydeł pozbył się okropnego dzwonienia w głowie.

Pomimo cierpienia nie odzyskał wolności. Lecił zygzakiem, mimowolnie wciąż kierując się na północ, starając się przekroczyć jakąś niewidzialną barierę. Przy każdej próbie słyszał jednak w głowie przeraźliwe brzęczenie, od którego wirowało mu przed oczami. Znowu skrecił w lewo i wykonał skok w powietrzu.

-Granica!

Otepiał od bólu głowy, z wrażeniem, że wszystko w dole wiruje opętanczo, leciał dalej. Musiał przebić się przez barierę, lecz ledwo zdawał sobie sprawę, że wciąż jest w powietrzu i znowu zmierza w stronę odległego snopu światła. Powoli przychodził do siebie po ostatnim przykrym spotkaniu. Ponownie znalazł się na otwartej przestrzeni i zostawił za sobą strome skalne ściany, kiedy niezależnie od swej woli zdążył w stronę oddalonej kolumny jasności.

Nie było już słychać wabiącego go skowytu, lecz mimo to Faree był pewny, że miał związek z tym światłem. Wkrótce krążył wokół obozu będącego prawdopodobnie siedzibą przybyszów z obcej planety.

Stojący na otwartej przestrzeni statek był nieco większy od tego, którym sam przyleciał. U podnoża spuszczonego trapu stało kilkanaście namiotów, co wskazywało, że oboz założono już jakiś czas temu. Latarnia, która zwabiała Faree, znajdowała się na szczycie statku i mierzyla prosto w nocne niebo. Być może służyła za drogowskaz tym, którzy podróżowali po planecie - ostrzegała lub wzywała.

Na dole świeciły słabsze światła. Faree wylądował, pospiesznie zwinął skrzydła i znowu stapał po ziemi. Czyżby osoby przebywające w statku i obozie wciąż nie zauważyły jego przybycia? Widział zbyt wiele urządzeń pokładowych, aby sądzić, że nie działał żaden system ostrzegania przed wizytami nieznajomych.

Główny reflektor na ziemi oświetlał miejsce, gdzie stał smigacz - lekki pojazd zwiadowczy. Faree widział sylwetki pracujących przy nim ludzi; domyślał się, że go naprawiali. W obozie stało pięć namiotów. Cztery male, mogące pomieścić w najlepszym przypadku dwóch ludzi, otaczały pojedynczy, trzykrotnie od nich większy.

Oczy Faree szybko przyzwyczaiły się do silnego blasku, jaki padał od latarni i reflektorów u jej podnoża. Teraz już widział, kto tam pracował - albo przyglądał się z boku. Z tej odległości wszyscy wyglądali na ludzi. Nie dostrzegł jednak żadnych mundurów, a już na pewno niczego, co wskazywałoby, że stanowią zwiad Patrolu, który z powodu jakis

kłopotów zmuszony był wylądować i ustawić latarnie, aby wezwać pomoc. Statek na pewno nie był pekatym frachtowcem, nawet o takim ograniczonym tonażu, jakim mogłaby przylecieć załoga Wolnych Kupców.

Naliczył siedmiu mężczyzn - trzech zajętych pracą we wnętrzu smigacza, dwóch obserwatorów i jeszcze dwóch przy wejściu do jednego z małych namiotów. Ich pozy wskazywały, że stali na straży - co powinno oznaczać obecność jenca. Wspomnienia szybko podsunęły mu obraz - czyżby to tutaj przetrzymywano tę nieszczęsną Atre, o której słyszał? Wtedy dotarł do niego psychiczny przekaz, jakby sama myśl o jej imieniu rozluźniła czyjs mocny ucisk.

-Na pomoc, och, skrzydlaty bracie, na pomoc!

Blagalny impuls nie uderzył mocno ani nie wniknął głęboko; był raczej cichym szeptem. Faree natychmiast wznosił psychiczną osłonę i zaszył się głębiej w pobliskich zaroślach.

-Skrzydlaty bracie... - Był to żalostny lament, wołanie istoty w wielkim niebezpieczeństwie, wzywającej pomocy wbrew wszelkiej nadziei na ratunek. To nie on schylił tu Faree wbrew jego woli; resztki tego przymusu splonęły podczas walki z tym, co krzyczało do niego: "Granica". Mimo to miał nad nim władzę, pozbawiał pewności, co tam robił i dlaczego.

Po trapieniu statku zbiegł mężczyzna i pobiegł pośpiesznie w stronę strzeżonego namiotu. Do Faree dotarło ciche echo krzyku. Wartownicy odwrócili się raptownie; jeden stanął przed drzwiami z bronią w ręku, drugi pośpiesznie okrzyknął podobne do banki schronienie, aby zajrzeć na tyły.

Nadbiegający człowiek odepchnął strażnika i podniósł zasłone w wejściu, podczas gdy obaj wartownicy krzykali wokół namiotu, obserwując otoczenie i trzymając bronie w pogotowiu.

Faree zatesknął za Toggorem. Gdyby tylko mógł wysłać smaksa do środka, widzieć jego oczami jak dawniej...! Tylko że teraz nie miał go za pazuchę i mógł polegać wyłącznie na sobie.

-Skrzydlaty bracie... Faree... chodź... chodź...!

Skowyt w jego głowie omal nie wywabiał go kryjówki, aby sprowadzić do obozowiska. Przynęta! To przynęta w zastawionej pułapce. Ta druga prośba o pomoc brzmiała jednak inaczej - było w niej coś, co zagłuszyło gniew i strach Faree.

-Nie! Neeee...!

Zaciśnął dłonie na otaczających go galeziach. Ból, prawdziwy ból, piekący i ostry. Miał wrażenie, że smagnięto go batem po plecach, jak za dawnych czasów. Te, która wołała, zmuszano do tego siłą!

Staral się zablokować ten myślowy przekaz. Wiedział, że celem impulsu było nakłonienie go, aby pobiegł lub poleciał w stronę jego źródła, myśleć jedynie o potrzebie niesienia pomocy. Podstęp przypuszczalnie zadziałałby, gdyby Faree istotnie był skrzydlatym człowiekiem, wychowanym wśród swoich pobratymców. Tyle że nie istniała żadna prawdziwa więź między nim a tymi, których widział i słyszał. Bardowie, Selrena? Dla Dardów skrzydlaci byli bezwartościowi - Dardowie żyli według innych zasad. A ta ukryta za zwierzęcą maską istota w kryształowym pałacu? Nie odebrał żadnych sygnałów wskazujących na to, że on, ona lub ono miałyby ochotę pospieszyć uwiezionej z pomocą. Ta wołająca kobieta - to musiała być Atra, o której wspominali...

-Chodź... - Głos w jego myślach był bladym cieniem samego siebie. Wyczuwał jego drżenie i wiedział, że wołająca opuszczają siły.

Nastąpiła cisza, która sprawiła, że zadrżał, chociaż starał się panować nad sobą. Taka cisza pewnie zapada, kiedy nadchodzi śmierć. Czyżby uwieziona umarła? Faree ścisnął galezie tak mocno, że połamał drobne pędy i wbil sobie w dłoń ich ostre konce.

Straznicy pełniący wartę na dole rozdzielili się, dołączyło teraz do nich dwóch spośród stojących przy smigaczu mężczyzn. Rozproszyli się - dwóch z bronią w reku poszło na zachód, dwaj pozostali zbliżali się do jego kryjówki na wschodzie.

W pobliżu kępy krzaków, gdzie się schował, nie było innych miejsc do ukrycia się. Nie miał też czym się bronić. Gdyby wzbil się w powietrze, stałby się widoczny, a doskonale zdawał sobie sprawę, że przybysze mogą mieć bardzo czuły sprzęt wykrywający. Być może znajdował się już w pułapce, ale jeszcze nie wpadł w ich ręce.

Mógł tylko zaprzestac wszelkiej komunikacji myślowej. Kiedyś już zetknął się z nieprzyjaciółmi używającymi sztucznych tłumików myśli. Urządzenia te osłaniały ich, a jednocześnie pozwalały zorientować się, czy w pobliżu przebywa ktoś, z kim należy się liczyć.

Faree zaczął powoli człapać się w prawo. Lowcy szli ostrożnie. Co jakiś czas zatrzymywali się na chwilę przy jakiejś kępie gęstej roślinności. Unosili wtedy ręce na wysokość pasa i spoglądali na jakies instrumenty noszone na nadgarstkach. Faree przyszło na myśl, że źródła alarmu mogli szukać nawet pod ziemią. Pod ziemią... czyżby ci, którzy go pojмали, również krecili się w pobliżu, zastawiając pułapki albo szpiegując?

Dotarł do skraju zarosli i człapał się wzdłuż niego w nadziei, że ścieżka zacznie wznosić się i zaprowadzi go do podnoża urwiska. Miał nadzieję, że kępy wysokiej roślinności osłonią go.

Staral się, jak dotąd bezskutecznie, zaplanować swój następny krok po tym, kiedy już dotrze do nagiej ziemi u stop urwiska. Wtedy, bez ostrzeżenia, zapadła ciemność. Strzelający w niebo słup światła raptownie zgasł. Upłynęło kilka długich chwil i Faree skwapliwie skorzystał z nadarżającej się okazji. Z szalenczym łopotem skrzydeł wzbil się w

niebo, wznosząc się coraz wyżej. Zrobił to w ostatniej chwili, gdyż z dziobu stojącego na ziemi statku strzelił cienki snop światła, tym razem nie pionowy, lecz poziomy, i szybko omiótł oboz.

Faree wzbijał się, poki obozowisko w dole nie znalazło do tego stopnia, że można je było nakryć dłonią. Miał teraz szansę uciec - dotrzeć do stromych skal, wydostać się z pułapki, mimo wszystko najwyraźniej mającej granice. Kiedy jednak zawrócił na zachód, uswiadomił sobie, że co prawda impuls, który go tu sciągnął, zelżał, lecz nie zanikł całkowicie. Światło w dole nie tylko zataczało krąg, lecz szybkimi skokami sięgało ku niebu. Faree ledwo uchylił się przed jednym z takich promieni. Było jasne, że choć wartownicy najwyraźniej obawiali się czegoś pod powierzchnią ziemi, mieli się również na baczności przed czymś, co mogło nadejść z góry, z powietrza.

Faree skierował się w stronę szczytu góry, lecz wydawało mu się, że jego skrzydła grzezną w lepkiej fali; z trudem utrzymał się w powietrzu. Z całych sił próbował wzbic się wyżej i jednocześnie zyskać na szybkości. Dotychczas miał wiele szczęścia, że nie trafił go ten wędrujący promień, chociaż wiązka światła najwyraźniej wymierzona była w miejsce poniżej poziomu, na jaki starał się wzniesć. Faree był już prawie przy krawędzi urwiska, kiedy w powietrzu coś się poruszyło. Ptaki... ? To smokokształtne stworzenie, które kiedyś zapędziło go z powrotem do statku?

Niespodziewanie światło zgasło, potem znowu błysnęło i padło na skraj czegoś, co mogło być tylko skrzydłem tak wielkim, jak jego własne - tyle że czarnym. Znikło ono natychmiast.

Faree próbował wzniesć się wyżej, przekonany, że światło powróci. Tak, promień już zawracał! Tym razem zawadził o jedno z jego skrzydeł, i to nie tylko o sam jego koniuszek! Kiedy oddalał się od skraju promienia, światło strzeliło w górę i padło na niego.

Pociągnęła go w dół nieodparta siła. Opadał bardzo szybko, nie panując nad swymi ruchami. Mogł tylko mieć nadzieję, że nie roztrzaska się o ścianę urwiska. Jeszcze tylko ostatni wymach skrzydeł, który kosztował go wiele wysiłku, i dotarł do zbocza. Wylądował ciężko na wystającej skale, bolesnie zdzierając sobie skórę w zderzeniu z twardą powierzchnią. Trzymał się jednak mocno i pomimo bólu ręk podciągnął się trochę, wpelzając na mikroskopijna polkę. Tam zdołał się obrócić, odsuwając skrzydła do tyłu i na boki, aby mieć jak najwięcej miejsca.

Był wolny tylko do chwili, kiedy znalazł go ludzie, których nawoływania teraz słyszał. Wiazka oświetlała go, żeby uniemożliwić mu ucieczkę, jej jaskrawy blask oslepił. Nagle światło zamigotało: coś przemknęło między Faree a źródłem jasności. Znowu skrzydła - ciemne, niewidoczne w nocy - potem coś jeszcze przeszło powietrze. Początkowo sądził, że czymś w niego rzucono, lecz pocisk utkwiał w szczelinie poza zasięgiem jego ręki. Zobaczył rozdzkę, która drżała od siły uderzenia.

Faree czuł się po polce. Snop światła już nie obezwładniał go tak mocno, gdyż znowu

krazil po niebie, usilujac schwycic te druga skrzydlata istote. Byc moze tym na dole wydawalo sie, dostali juz Faree w swoje rece, i starali sie teraz pojmac drugiego jenca.

Faree wyciagnal reke najdalej, jak mogl. Wymacal rozdzke, wciaz lekko wibrujaca i scisnal ja w garsci. Z calych sil celowo wzmocnil to drzenie, probujac wyciagnac pret ze szczeliny. Z poczatku sadzil, ze nie zdola tego zrobic, lecz potem wyrwal go tak nagle, ze omal nie spadl z polki.

Trzymal teraz w rekach wydrazono pret prawie tak dlugi, jak on sam. Pomimo swoich rozmiarow wazyl niewiele. Promien nie zaskoczyl Faree przy wyciaganiu rozdzki - wzniosl sie za to wyzej i omiatal krawedz urwiska, znow padajac na krawedz szybko znikajacego skrzydla.

Faree pogladzil rozdzke. Byla gladka, jedynie na koncu miala cztery podobne do guzikow wybrzuszenia. Przeczuzwal, ze jest to bron, lecz zupełnie mu nie znana. Przywierajac plecami jak najblizej do sciany, przelozyl pret z reki do reki. Nie potrafil znalezc zadnego ostrza; nie przypominalo to rowniez ogluszacza ani oplatywacza. Podejrzewal, ze to zwykly kij do obrony, bezuzyteczny w walce z orezem tych lowcow na dole.

Snop swiatla poruszal sie z duza szybkościa. Potem powietrze przecial blysk jaskrawej czerwieni. Choc mlodzieniec nie zauwazyl juz skrzydel, ktos musial strzelic z lasera.

Po tym pojedynczym blysku morderczego promienia - Faree poznal po intensywnosci koloru, ze bron ustawiono na zabijanie - drugiego juz nie bylo.

Niespodziewanie jeknal cicho. Snop swiatla nie zawrocil, lecz znenacka jakas sila uderzyla go, przygniotla do skaly i zupełnie unieruchomila. Trwalo to zaledwie kilka chwil, w czasie ktorych z trudem lupal oddech. Potem nacisk ustapil. Faree domyslil sie, ze czymkolwiek byla ta moc, metodycznie kierowano ja na sciane urwiska, aby zlapac i uwiezic niewidzialnego lotnika.

Wytezyl wzrok. W dole blysnely swiatelka. Ciagnely sie wzdluz skalnej sciany. One rowniez przesuwaly sie na boki jak snop swiatla reflektora, a takze w gore i w dol. Dwukrotnie przeslizgnely sie po nim, lecz nie zatrzymaly sie dluzej. Zapewne uznali - pomyslal z rosnaca wsciekloscia - ze juz go unieruchomili i zajeli sie szukaniem innej ofiary.

Nie odwazyl sie na wspinaczke, gdyz snopy swiatla, ten duzy i te mniejsze, znajdowaly sie zbyt blisko niego. Jesli znow wzbije sie w niebo, moze go trafic laser. Rozdzka drgnela i z wlasnej woli obrocila sie w jego rece. Faree scisnal ja mocniej, nie chcac przez zaskoczenie stracic broni, nawet jesli jego zdaniem byla malo przydatna. Zaczepil palcem o jeden z guzikow, a wewnetrzna strona dloni nacisnal drugi.

Z przeciwnego konca preta wystrzelilo cos w rodzaju malego pocisku, a w scianie pojawilo sie wglebienie. Mala swiecaca kropelka w miejscu zderzenia szybko przekszaltcila sie w nieduza jamke wypelniona ogniem. Faree czym predzej puscil oba przyciski. Cokolwiek

wpadło mu w ręce przez przypadek lub dzięki staraniom tej drugiej skrzydlatej istoty, miało potężniejszą moc niż przypuszczał.

Po raz pierwszy jego gniew wziął górę nad ostrożnością. Niech tylko spróbują przyjść po niego, a będzie miał dla nich odpowiedź.

-Chodź... chodź... W ciszy znów dało się słyszeć błagalne wołanie. - Chodź... - Kontakt myślowy urwał się. Potem wrócił, ostry, nagły... - Uciekaj, nie, uciekaj! Nadchodzą z sieciami...

Znów zapadła cisza, jak gdyby nadawcy myśli ogluszono. Faree nie odważył się powtórnie nawiązać łączności.

Nagle w sam środek wielkiego promienia wleciała skrzydlata istota, chwilę później jeszcze jedna, dwie, trzy... Za nimi mknęło coś dziwnego - przuło przed siebie, nie zważając na światło ani na ludzi na dole. Miało kształt płaskiej platformy bez skrzydeł, wyglądało inaczej niż jakikolwiek powietrzny pojazd. Stała na niej jakaś postać.

Jej obcisły strój błyszczał i skrzył się w świetle reflektorów - wydawało się, że odziana jest w metal. Faree bez trudu poznał twarz tej, która miała śmiałość wypróbować siłę nieprzyjaciela, tak lekceważąc ich zdolność atakowania. To była Selrena.

Mknęła na platformie tak szybko, że długie pasma ciągnących się za nią srebrzystych włosów sprawiały wrażenie rozwianej peleryny. W obu rękach trzymała najwyraźniej bliźniaczy egzemplarz tej dziwnej broni, jaką dostał Faree.

Towarzyszące jej skrzydlate istoty pochodziły z jego rasy, tyle że miały czarne skrzydła i włosy koloru nocnego nieba bez gwiazd. Każda z nich dzierżyła w ręku srebrny lancuch podobny do tego, jaki Faree zabrał zmarłym w podziemnych korytarzach. Lancuchy wisiały bardzo sztywno, jakby na drugim końcu zostały obciążone, a wokół nich pietrzyły się prawie niewidzialne faldy dziwnej masy, dostrzegalne jednak na tle błyszczącego srebra.

Kiedy się zbliżyły, reflektor obrócił się, aby snop światła stałe padał na grupę lecących. Laserowe promienie strzeliły w górę, a potem skreśliły, jakby salwę wymierzono w ścianę. Żaden jednak mur ani konstrukcja znana Faree nie byłyby w stanie wytrzymać ataku laserów o takim natężeniu.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że przybysze przyciągnęły uwagę napastników. Faree zachwiał się na krawędzi skalnej polki. Gdyby udało mu się dotrzeć do szczytu urwiska, mógłby uciec. Zeskoczył z występu.

Przez chwilę sądził, że nie utrzyma się na skrzydłach. Znów odczuwał tę samą ocieplalność. Nie mógł dolecieć do szczytu góry. Nie zamierzał też podążyć za tą dziwną grupą istot, które minęły już jego polkę i leciały spokojnie, jakby nic im nie groziło ze strony rozbłysków lasera. Promienie przesywały powietrze powyżej i poniżej, przed nimi i za nimi, lecz nigdy

nie dotykały ich samych.

Mógł uciec tylko w jednym kierunku, podczas gdy tamci odciągali od niego uwagę - w stronę obozu, jeszcze dalej na zachód. Zaczynał sadzić, że taki manewr mógł być niezłym pomysłem. Poleci na zachód, później skreci na północ i wschód...

Postanowił polecieć nad głowami ludzi ze statku, choć ledwo utrzymywał wysokość. Ich uwagę wciąż przyciągała grupa istot w świetle.

Selrena zmieniła pozę. Nie stała już spokojnie, niesiona na skrzydłach wiatru, lecz wycelowana trzymaną w reku rozdzkę w ziemię. Faree kątem oka dostrzegł, że również jej towarzysze posłusznie skierowali broń w dół, kiedy potężny wybuch rzucił go na ziemię. Był zły na siebie, że odważył się na coś tak nierozsądnego. Lecz przyciągał uwagę każdego, kto chciałby go zestrzelić.

Oczekiwał strzału lub napadów, kiedy dotknął stopami ziemi. Tu panował głębszy mrok. Całe światło skupiało się w pobliżu miejsca, gdzie latali powietrzni najeźdźcy.

Wystrzelona z ciemności pętla oplotła jego ciało na wysokości talii i wypuściła następnie macki, przyciskając jego ręce mocno do tułowia. Oplatywacz! Wpadł w potrzask i zmuszony był poddać się woli łowcy, kiedy szarpnięciem zbiło go z nóg, a potem pociągnięto twarzą w dół po gołej zdeptanej ziemi. Podrapane podczas lądowania na skalach kolana i dłonie znów zaczęły krwawić.

Zamrugnął. Zawleczono go w pobliże jednego z namiotów i zostawiono przy otwartym wejściu. Z mroku wylonil się jego przesładowca. Był to wysoki mężczyzna, równy wzrostem jednemu z Dardów, lecz zupełnie nie przypominał tych chłodnych i wyniosłych istot. Nosił stroj kosmicznych wędrowców, brudny i poplamiony. Kiedy się ruszał, wydzielal zwierzęcy smród, podobny do tego, jaki bil od włoczegów na Obrzezach. Skóra miał prawie czarna od kosmicznej opalenizny, a w szerokich ustach, wykrzywionych w uśmiechu, ziały szczyrby po brakujących zębach.

Mężczyzna nachylił się, podniósł Faree za włosy i jednym mocnym szarpnięciem wciągnął go do namiotu.

-Jak się masz, panienko? Przeprowadziłem ci przyjaciela.

Faree, bezsilny w uścisku przesładowcy, spojrzał na dziewczynę, nie tylko jeszcze bardziej bezradna od niego, lecz także zmaltrretowana. Kulila się na ziemi; jej wynędzniałe ciało wydawało się niematerialne, dziwnie płaskie. Pod skórą zaznaczały się kości, gdyż za całe odzienie służyło jej zaledwie kilka łachmanów, dość dziurawych, aby widac było stare i nowe ślady chłosty. Na głowie miała splątany koltun włosów, a małe dłonie i stopy przypominały bardziej szpony niż kończyny. Nie podniosła głowy ani nie spojrzała na mężczyznę i Faree.

Kosmiczny przybysz odczepił od paska cienka rurkę. Odepchnawszy Faree, wyciągnął ją nad głowę uwieszonej. Dziewczyna drgnęła i uniosła twarz tak wykrzywiona cierpieniem, że młodzieniec szarpnął się, nadaremnie próbując jej pomóc.

-No, dalej. Wyślij zaproszenie - rozkazał jej przesładowca.

Dziewczyna patrzyła obok Faree, jakby go nie dostrzegając, albo nawet jeśli widziała, nie rozumiała jego obecności. Młodzieniec odebrał w myślach donosny, pełny bólu, znajomy zew.

-Chodź... chodź! - Wyczuwał wokół siebie dziwne zawirowanie, jakby w jej myślowym blaganiu było coś więcej niż same słowa. Dziewczyna jęknęła cicho i przycisnęła rękami głowę. Wysoki mężczyzna zaśmiał się.

-Spełniło się twoje życzenie, panienko. Przyszli do ciebie przyjaciel. Zadnemu z was to jednak nie pomoże.

ROZDZIAŁ 15

Przesładowca odsunął się od dziewczyny, która wydawała się nie zwracać większej uwagi na niego ani na Faree. Jej związane i owinięte prawie przezroczysta folia skrzydła miały ten sam kolor, co skrzydła młodzieńca - w odcieniach zieleni - lecz połysk ich puszystej okrywy maskowała krepująca je blona. Strażnik zbliżył się do Faree i postukał palcem w jego oplecione sznurem skrzydła. - Pierwszorzędne. - Mężczyzna obliznął wargi. - Towar doskonałej jakości. Vass się ucieszy. Przyniosłeś mu szczęście, latający chłopcze. Na aukcji dostaniemy za nie niezłą sumkę, a Vass nie zapomina o tych, którzy wykonali dobrą robotę. Tak, to piękna para.

Pogładził palcami brzeg bliższego skrzydła i Faree zadrżał. Dotyk zapowiadał coś gorszego, niż się spodziewał. Dał się słyszeć klekoczący sygnał i strażnik szybko odczepił od paska jakiś dysk, wsłuchując się w staccato niezrozumiałej dla młodzieńca mowy.

Kosmiczny przybysz warknął coś do krazka i ponownie schował urządzenie. Przez chwilę przyglądał się im z oblesnym uśmiechem na twarzy. Potem odezwał się do dziewczyny.

-Nie wyobrażaj sobie tylko, panienko, że zdołasz z nim uciec. - Wskazał kciukiem na Faree.
- Chcesz, żebym cię uciszył?

Pytanie najwyraźniej dotarło do jej oszłomionego umysłu, gdyż wydała cichy jęk i potrząsnęła głową. Strażnik roześmiał się.

-Nie, też sobie pomyślałem, że nie chciałabys tego! A co do ciebie - spojrzał na Faree - nie szamocz się. I tak nie uwolnisz się z tych wieżow! - Rzuciwszy te słowa, wyszedł z namiotu i opuścił za sobą zasłone.

Faree już wiedział, że nie zerwie sznurow opłatywacza. Tylko ogień mógł zniszczyć te wiezy - chyba, że zostanie wcisnięty odpowiedni sygnał na urządzeniu, z którego je wysnuto. Rzucił okiem na towarzyszkę. Dziewczyna kulila się, jakby chciała zapasać się pod ziemię. Miała zwieszona głowę i całą uwagę skupiała na swoich zacisniętych pięściach.

Potem odezwała się, a jej głos zabrzmiał całkiem trzeźwo - jakby była zupełnie przytomna i nie odczuwała skutków złego traktowania, natomiast doskonale wiedziała, co robić. Tyle że słowa, które wymówiła cichutko, prawie szeptem, były dla Faree całkiem niezrozumiałe. Nie był to uniwersalny język kupców - brzmiał raczej jak pieśń.

-Nie rozumiem. - Zniżył głos, mówiąc nie głośniejszym od niej. Watpił, aby z kolei ona go zrozumiała. Domyslił się, że kontakt myślowy byłby w tej sytuacji najgorszym wyjściem.

Dziewczyna nie uniosła głowy, lecz zerknęła na niego spod wilgotnej od potu gestwiny włosów opadającej jej na czoło. Wyraz oszłomienia zniknął z jej oczu, zastąpiony przez pytanie tak nieufne, jakby Faree zamierzał powiększyć zbior ran i blizn, jakimi poznaczone było jej ciało.

Rozprostowała dłonie mocno zacisnięte w pięści. Wymierzyła w niego palec i z jej ust padło słowo, którego znowu nie rozumiał, lecz odgadł, czego dotyczyło pytanie.

-Faree. - W odpowiedzi wymówił swoje imię.

Dziewczyna zrobiła zniecierpliwioną minę i zaczęła potrząsać głową, lecz potem skrzywiła się, jakby z bólu. Znowu wskazała palcem, dzgając nim powietrze, jakby w ten sposób chciała podkreślić powagę pytania.

Oplatany mocno sznurami młodzieniec mógł tylko lekko pokręcić głową. Jeśli nie pytała go o imię, lecz raczej o powód jego obecności, nie mógł udzielić odpowiedzi.

Dziewczyna odsunęła się trochę, przyglądając mu się uważnie. Potem wyciągnęła przed siebie ręce. Powoli poruszała palcami, jakby pisała w powietrzu.

Faree gwałtownie wciągnął powietrze. Kilka razy widział, jak Maelen wykonywała takie gesty; uwieziona kobieta nie była jednak Thassa. On sam nie mógł podnieść mocno skrepowanych sznurem opłatywacza rąk. Gdyby nawet było to możliwe, co miałby zrobić - naśladować jej gest?

Maelen! Bez zastanowienia wyobraził ją sobie.

Dziewczyna skoczyła naprzód, wyciągając ręce w kierunku jego głowy i ostrzegając go jednym stanowczym ruchem.

Było już jednak za późno. Na skraju myślowych pasm poczuł znajomy dotyk - Toggor! Pomimo nieustających zdecydowanych gestów, jakimi ostrzegała go towarzyszką, Faree

swiadomie odtworzył w umyśle obraz smaksa z dokładnością do ostatniej krzywizny jego jadowitych szponów. Potem skupił na nim całą uwagę, nie próbując kontaktować się z nikim innym z ich grupy. Być może posyłał smaksowi komunikat na tak odmiennym pasmie myślowym, że nie zdolają go wykryć żadne czujniki, psychiczne ani mechaniczne, jakimi posługują się ci zbrojcy.

Wysłał rozpaczliwy sygnał.

-Przyjaciół, przyjaciół! - Toggor nawiązał kontakt! Gdzie był smaks -jak daleko? Faree przestał o tym myśleć i skupił się wyłącznie na obrazie Toggora oraz na utrzymywaniu z nim łączności. Sądząc po sile sygnału i fakcie, że z każdą chwilą był coraz wyraźniejszy, nabrał przekonania, że jakimś niewiarygodnym wyrokiem losu szczęście uśmiechnęło się do niego - Toggor!

Dziewczyna klęczała przed nim, patrząc mu prosto w oczy, jakby mogła w nich zobaczyć to, co on widział w myślach - krepce ciało jego pierwszego i najbliższego sprzymierzeńca.

Odsunęła spadające jej na twarz pasma włosów, wyciągnęła przed siebie obie ręce i dotknęła ciała Faree między zwojami krepującego go sznura. Popłynął do niego strumień energii. Na twarzy dziewczyny odbiło się zdumienie. Strach niemal nie skłonił jej do odruchowego zerwania z nim kontaktu. Najwyraźniej nie spodziewała się tego, co wyczuła dotykiem.

-Toggor... - Faree wyteżył myślowy zmysł do granic możliwości. I skontaktował się z kimś jeszcze...!

Fakt, że tych dwoje udało się z nim porozumieć - a nie odebrał żadnego sygnału od Zakatianina, Maelen ani Vorlunda - był dla niego zaskakujący. Może przeciwdziałało temu jakieś urządzenie uruchomione przez jego przesładowców. Nie mógł jednak dopuścić do tego, aby jego towarzysze ze statku znaleźli się w zasięgu tych, którzy rozbili tu oboz. Wtedy i oni dostaliby się do niewoli.

Otepienie, jakie malowało się na twarzy dziewczyny podczas obecności strażnika, znikło bez śladu. Jej oblicze i cała postawa wyrażały ostrożność. Dotykała teraz Faree w inny sposób. Chwyła go za obie dłonie, mimo iż sznur oplatywacza przyciskał mu ręce do boków, i pomiędzy nimi popłynęła potężna moc.

-Niedobre... niedobre w powietrzu... - nadawał Toggor. I powtórzył z jeszcze większą stanowczością: - W powietrzu, niedobre.

Wciąż komunikując się ze smaksem, Faree zaczął nasłuchiwać. Rozległy się kolejne krzyki i trzaski laserów. Czyżby oznaczało to, że najeźdźcy wciąż usiłują zestrzelić Selrene i jej czarnoskrzydłą eskortę? A może trójce jego towarzyszy przyleciało własnym śmigaczem ze statku i walczyło?

Stal odwrocony plecami do wejścia do chaty, lecz zauważył zdziwienie w oczach dziewczyny i poczuł nieznacznie wzmocniony ucisk jej dłoni. Ktoś tam był. Potem poczuł kwasną won, jaka wydzielal Toggor, kiedy się podniecił i gotowy był wstrzyknąć nieprzyjacielowi dawkę jadu swymi pazurami. Czuł także inny zapach.

-Yazz!

Kosmate ciało na chwilę przygłębło do jego pleców, a potem okrzykiło go. Na grzbiecie smukłej łowczyny jechał Toggor, trzymając się paska opasującego jej tułów tuż za przednimi łapami.

-Toggor, Yazz! - Miał ochotę krzyknąć głośno, lecz powstrzymywał się. Yazz uniosła smukły pysk i obwahała zdumiona dziewczynę.

-Przyjaciele! - Faree, nie mogąc wskazać gości z powodu związanych rak, kiwnął w ich stronę głową.

Dziewczyna wypuściła jego dłoń z ucisku, cofnęła się i skuliła tak jak na początku. Mimo to ze zdumieniem przyglądała się całej trójce. Yazz podeszła bliżej i rozwarła pysk pełen ostrych zębów, aby przegryźć więzy Faree.

Czym prędzej posłał jej komunikat ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Gdyby dotknęła sznura, sama mogłaby się w niego zaplątać. Musiał odzyskać wolność, lecz nie wiedział, kiedy wróci strażnik. Ogień - nie mieli ognia, który spaliłby sznury oplatające na czarne nitki, jak widywał to wcześniej. Nie było także rekojesci bicia kontrolującego strumień lepkich sznurów. Wciąż jak... ?

Odpowiedzi udzielił Toggor. Zeskoczył z grzbietu Yazz i podreptał naprzód z lekko uniesionymi wielkimi szczypcami. Lśnił na nich jad, a jedna czy dwie jego krople skapnęły, kiedy zbliżył się do Faree.

Czy to była odpowiedź? Czy z raca substancja obronna smaksa mogła palić? Faree uchwycił się tej myśli. Toggor nie mógł kiwnąć potwierdzająco głową, kiedy przykucnął na chwilę przed przyjacielem, lecz młodzieniec był pewny, że proponował właśnie przepalenie więzów z racym jadem.

Smaks zaklekał szczypcami i Yazz podeszła do niego. Chwytając za zwisający koniec paska, dzięki któremu mógł utrzymać się na większym zwierzęciu, wdrapał się na jej grzbiet. Yazz odwróciła się bokiem i małymi ostrożnymi krokami podeszła do Faree najbliżej, jak mogła, nie dotykając białych sznurów. Toggor trzymał się jej tylnymi nogami i małymi szczypcami, a duże wyciągnął do Faree, naprezając ciało, żeby dosięgnąć więźnia.

Pomimo nasilającego się smrodu trucizny i groźby, jaka stanowiły szczypce smaksa, gdyby źle wymierzył, Faree stał najspokojniej jak mógł. Toggor wybrał fragment więzów możliwie najodleglejszy od nagiej skóry i scisnął go lekko.

Rozszedł się jeszcze silniejszy zapach jadu. Sidła nie oplatały jednak smaksa. Kiedy zwierzątko rozwarło szczypce, w miejscu uścisku widniał na sznurze czarny pierścien. Od tego punktu rozprzestrzenił się w obie strony.

Sznur nagle pękł i spadł, a czern oddalała się coraz bardziej od obu końców rozcięcia. Faree drgnął raz, kiedy kawałek spalonej substancji dotknął jego skóry, sprawiając mu tak ostry ból, jak gdyby włożył rękę do ognia. Ręce miał już wolne, a szerniałe wieży zsuwały się. Po chwili mógł już strzasnąć z siebie resztki dymiących sznurów oplatywacza.

Kopnął je na bok i stał spokojnie, czekając, aż Toggor przeskoczy z grzbietu Yazz na swoje ulubione miejsce za jego koszulą. Dziewczyna zasłaniała usta dłonią, jak gdyby gryzła kostki palców.

Faree wyciągnął rękę, zachęcając ją do wstania. Może miał bardzo niewielkie szanse, aby wydostać się z obozu, lecz to jeszcze nie powód, żeby nie próbować. Wtedy dziewczyna energicznie pokręciła głową i wskazała coś leżące na podłodze, co wcześniej uszło jego uwagi. Na smukłej kostce miała obroż z lancuchem przymocowanym do dużego słupa pośrodku namiotu; jej mocno posiniaczona kostka wskazywała na to, że wcześniej sama próbowała odzyskać wolność.

Obroż wykonano z tego samego srebrzystego metalu, który Faree znalazł w lochach pod zamkiem Selreny. Lancuch miał jednak ciemniejszy odcień i wyglądał na stalowy. Koniec przy samym słupie był jeszcze ciemniejszy.

Faree sięgnął po najbliższy fragment lancucha, żeby sprawdzić jego wytrzymałość. Dziewczyna chwyciła go za rękę i energicznie pokręciła głową. Wysunawszy się z jej uścisku najdelikatniej, jak potrafił, przyklakł i wziął go w dłoń. Ogniwa były ciepłe, nawet gorące w dotyku, lecz kiedy szarpnął za pętle wokół słupa, wydawało mu się, że obłuzował się on lekko. Kwasny jad Toggora przepalił sznur oplatywacza; czy zadziałałby również w tym przypadku?

Faree przesunął lancuch w dłoniach, aż jego palce zbliżyły się do obroży wokół kostki dziewczyny. Im dłużej trzymał metalowe ogniwa, tym stawały się gorętsze, aż wreszcie ledwo mógł ich dotykać. Ułożył jednak lancuch równo na udeptanej ziemi i wysłał impuls myślowy do smaksa.

-Tnij!

Toggor znowu zsunął się z grzbietu Yazz i drepcząc bokiem, przyszedł przyjrzeć się ogniom. Wysunął na całą długość oczy na szypulkach, omal nie dotykając lancucha, i przez dłuższą chwilę się nie ruszał.

-Cofnij się... - Faree odebrał jego rozkaz. Posłusznie odsunął się na kolanach. Obolalymi rękami wyciągnął z sakiewki przy pasie trochę zwiedłego wszechleku, rozgniecionego na mokra papkę. Wziął tę masę w dłoń i zaczął ugniatać z niej kulkę. Pierwszy ból -

spowodowany poruszaniem zaczerwienionymi palcami - ustąpił pod wpływem kojącego chłodu ziola. Tymczasem Toggor przykucnął i scisnął lancuch w szczypcach.

Ile jadu zostało mu jeszcze w pazurach? Czy trucizna zdoła przepalić metal równie łatwo jak sznury oplatywacza?

Toggor zacisnął obie pary kleszczy na tym samym ogniwie i trzymał je mocno. Kiedy pieczenie dłoni zelzało, Faree chwycił lancuch po obu stronach kolka, trzymanego przez smaksa i szarpnął z całych sił.

Nic się nie wydarzyło. Wszędzie przestawał działać i ręce Faree znów palił dziwny ogień. Toggor odchylił się do tyłu, kucając na tylnych nogach. Widac było, że wkłada w to wszystkie siły.

Smaks wypuścił lancuch ze szponów.

-Boli... - Jego skarga dotarła do Faree. Na krawędziach szczypiec nie pojawiały się już banieczki. Zrozumiał, że gruczoly jadowe są już puste. Może upłynąć pół dnia - albo nocy - zanim znów się wypełnią. Pomimo bólu Faree jeszcze raz szarpnął za lancuch.

Ogniwo pękło. Przez chwilę patrzył na jego konce, a potem chwycił towarzyszkę za ramię i pociągnął do wyjścia z namiotu. Niestety dziewczyna była bardzo wycieńczona. Musiała przytrzymać się go, inaczej upadłaby. Yazz przysunęła się do niego z prawej strony, Toggor znów siedział na jej grzbiecie. Dziewczyna chwyciła za fałd luźnej skóry na karku Yazz, żeby nie stracić równowagi, podczas gdy Faree, upewniwszy się, że jego towarzyszka zdoła przez chwilę utrzymać się na nogach, ostrożnie odsunął zasłone i wyrzucił na zewnątrz. Słychać było trzask laserów. Nocne niebo rozświetlały nieustanne błyski, walka toczyła się jednak w oddali. Faree zastanawiał się, czy złowieszcze i morderczo smigające promienie nie trafiły Selreny albo kogoś z jej skrzydlatej załogi.

Jak Toggor i Yazz tutaj trafili? Czyżby odnaleźli jego ślad w krainie, której on sam nie znalazł? Skoro już o tym mowa, jak on sam zawedrował do zamku Selreny?

-Nie tutaj! Racja, Dardowie zagarnęli wszystko. Ale Fragon jeszcze nigdy niczego nikomu nie zbudował...

Słowa w umyśle Faree sprawiały wrażenie gardłowego belkotu. Młodzieniec mimowolnie oderwał wzrok od nieba i spojrzał niżej. Za sąsiednim namiotem w kształcie banki znajdowało się coś, co przypominało otwór studni. Był matowoczarny, widoczny tylko przez kilka sekund, kiedy walki na niebie się zbliżały. Na brzegu studni siedziała zgarbiona postać i młodzieniec zdał sobie sprawę, że myślowy przekaz pochodził od niej.

-Idź! - Toggor nalegał z taką siłą, że jego impuls niemal wspinał się na inny poziom komunikacji myślowej.

Choc Faree mogl wpasc z jednej pulapki w druga, nie zawahal sie. Wrocil, aby wyciagnac towarzyske z namiotu. Dziewczyna skubala przezrzysta substancje oblepiajaca jej skrzydla, jednak nie udalo sie od niej uwolnic. Faree chwycil ja za reke i pchnal w strone kregu ciemnosci. Gdy zgarbiona postac wyprostowala sie, okazala sie tak wysoka jak Faree, gdyby nie liczyc luku skrzydel nad jego glowa. Z tego, co mlodzieniec dostrzegl, przypominala przywodce gromady podazajacej pod ziemia, zeby zaatakowac Bojora. Duzo dalby teraz za ten dziwny pret, ktory zgubil po dostaniu sie do niewoli, za jakakolwiek bron. Z mroku dobiegl go zgrzytliwy dzwiek przypominajacy suchy smiech.

-Chcesz zwiac, skrzydlaku? Sprobujesz tedy? - Mieszkaniec podziemi uniosl wysoko reke, zeby wskazac na niebo, chociaz swiatlo bylo tak slabe, ze Faree nie potrafil powiedziec, ile jeszcze latajacych istot toczylo walke. Wiedzial, ze gdyby rzucil sie w zamet bitwy, postapilby rownie nierozsadnie, jesli nie gorzej, niz gdyby wrocil do namiotu, aby tam czekac bezradnie na los, jaki zgotuje im nieprzyjaciel. Sprobował zajrzec w glab dziury. Watpil, czy sie w niej zmiesci, mial przeciez skrzydla.

Znow rozlegl sie chichot i towarzyszaca mu mowa mysli.

-Tym razem nie pofruwasz sobie, skrzydlaku! Ani ona, chyba, ze zwinie te swoje lotki.

Dziewczyna znow szarpnela za brzeg przezroczystej substancji przyciskajacej jej skrzydla do siebie tak ciasno, jakby byly zlozonymi dlonmi.

Szarzejace w oddali niebo wskazywalo, ze zbliza sie swit. Nie mieli czasu do stracenia.

Choc rece mial wciaz sztywne i obolale od lancucha, staral sie jej pomoc zerwac te blone. Potem podniosl Toggora. Wprawdzie smaks nie mial juz jadu - ani tez nie moglby go tu uzyc - ale wewnetrzna krawedz jego szczypiec przypominala ostrze pily. Faree posluzyl sie nimi, trzymajac Toggora, gdy ten wycinal dziure w mocno napietej folii. Kiedy raz zostala uszkodzona, latwo odchodzila pasami, uwalniajac skrzydla.

-Zwawo, skrzydlaki! - Mieszkaniec podziemi wskoczyl do jamy, lecz jego komunikaty myslowe wciaz do nich docieraly. - Nie zamierzamy czekac, az przyjdzie ktorys z Duzych Ludzi. Chodźcie wreszcie!

Faree posadzil Toggora z powrotem na Yazz i przytrzymal stojaca obok dziewczynę. Nadal nie mial odwagi wyslac przekazu myslowego - przynajmniej do niej. Yazz i Toggor "rozmawiali" na innym poziomie, na samym skraju pasma, jakie potrafil odebrac. Maelen lepiej komunikowala sie z tym, jak go nazywala "malym ludkiem w futrze", ale dlugi kontakt ze smaksem sprawil, ze mlodzieniec potrafil bez trudu odbierac jego mysli. Fakt, ze ludzie ze statku zdolali zmusic dziewczynę do wysylania sygnalów sluzacych ich celom, powstrzymywal go od wyprobowania innych kanalow - chociaz przekaz mieszkanka podziemi mocno przypominal impuls Toggora w nizszym pasmie.

Faree dotknal skrzydla dziewczyny, chociaz bol zeszywnialych palcow utrudnil mu gest.

Nacisnal delikatnie jego brzég, probujac dac do zrozumienia dziewczynie, aby je zwinela. Przypuszczalnie odebrala rozkaz mieszkanka podziemi; poruszala skrzydlami, wciaz zeszywnialymi od dlugiego przebywania w bezruchu, lecz drzala, jakby kazdy ruch sprawial jej bol. Wreszcie zwinela je tak ciasno, jak jej towarzysz. Kiedy byla gotowa zejsc do jamy, Faree chwycil ja za nadgarstki, aby spuscic ja na dol. Yazz i Toggor juz wskoczyli do otworu.

Studnia byla dosc gleboka; mlodzieniec musial polozyc sie na brzuchu, zanim poczul, ze dziewczyna stanela na dnie i rozluznila palce, a wtedy on sam blyskawicznie wskoczyl do dziury. Gdy spadl na ziemie, poczul kwasna i stechla won, ktora wydawala sie zawsze unosic w podziemnych korytarzach. W pewnej odleglosci po lewej stronie palilo sie slabe swiatlo i znow dal sie slyszec myslowy impuls Toggora:

-Chodz...

Korytarz nie byl duzy i niewatpliwie wykopano go niedawno, gdyz skrzydla Faree, chociaz ciasno zwiniete, ocieraly sie o sklepienie i sciany. Zaczal sie obawiac, ze caly tunel moze zawalic mu sie na glowe. Swiatlo nie stalo w miejscu, lecz przesuwalo sie do przodu i domyslil sie, ze to latarnia w rekach kogos z ich druzyny.

Potem minal nisze w scianie tunelu i uslyszal dobiegajacy z niej szelest. Poczul chlod. Wprawdzie nie wiedzial, skad ma te pewnosc, ale byl przekonany, ze tuz obok, w minietej pospiesznie wnece, siedzialy wlochate, dlugonogie stwory, ktore wykopaly tunel, zeby zaatakowac Bojora w dolinie ze statkiem.

Cos z tylu zaszelescilo i Faree z calych sil wytezyl zmysl. Tak, to byly potwory z podziemnych korytarzy, jednak wbrew jego obawom nie szly za nim, lecz mknely z powrotem w strone obozu. Z pewnoscia zaskoczyloby kazdego, kto chcialby je scigac, lecz mogly tez zasypywac wejście do tunelu.

Przyspieszyl kroku. Trzymal reke wyciagnieta przed siebie, aby wymacywac przeszkody, o ktore moglby zahaczyc skrzydlami. Nie natkнал sie jednak na zadna z bulw zwisajacych ze sklepienia w poprzednim tunelu.

Dwukrotnie korytarz ostro skrecil i na drugim zakrecie Faree dogonil pozostalych. Grupa w bardzo niklym swietle, jakie rozsiewal krzywy kijek w rekach prowadzacego te wyprawe ratunkowa - przypominala pochod cieni. W slabej poswiacie glowa przywodcy wydawala sie zbyt duza w stosunku do ciala, a rece i nogi - niemal niewidoczne pod brudnoburym obcislym ubraniem - chude jak patyki. Reszta ciala porastaly kepki szorstkiej, gestej, czarnej szczeciny. Mial bardzo duze usta, a nad nimi cos w ksztalcie ryja. Czubki jego spiczastych i osadzonych wysoko na nagiej czaszce uszu zaginaly sie lekko. Pod pewnymi wzgledami przypominal istote w zwierzecej masce ze snu Faree. Mlodzienciec, ktory podczas pobytu na Obrzezach i w trakcie pozniejszych podrozy widzial wielu dziwnych przybyszy, uwazal, ze jego brzydota byla zdecydowanie nieprzecietna.

Po wyprowadzeniu uciekinierow z tajnego przejścia, mieszkaniac podziemi nie zwracał już na nich uwagi. Człapał naprzód, nie patrząc, czy idą za nim, czy nie.

Dziewczyna szła za Yazz, trzymając ją za ruchliwy ogon, jakby potrzebowała kontaktu z kims mniej wstretnym niż ich przewodnik. Było zbyt wąsko, aby się do niej zbliżyć, więc Faree nadal zamykał pochod. Z mijanych ścian osypywała się ziemia i widac było na nich smugi wilgoci. Gliniak szybko mijal te plamy i oni też musieli przyspieszyć kroku. Te znaki świadczące o tym, że tunel może się zawalić, bardzo niepokoiły młodzieńca.

Jeszcze jeden zakręt i w korytarzu wyraźnie pojasniało. Mimowolnie wszyscy przyspieszyli kroku i znaleźli się w miejscu tak odmiennym niż to, którym przywędrowali, że po przejściu przez dziurę w murze Faree stanął osłupiały i wytrzeszczył oczy.

ROZDZIAŁ 16

W sali, pełnej migoczącego światła, było jasno jak w dzień. Tak jak wcześniej w powietrzu błyskały lasery, tak tu strzelały snopy tęczowych błysków. Faree wydawało się, że znów jest w kryształowym zamku ze swego snu. Tyle że tych kryształów nikt nie ociosał, a kształt nadała im natura. Olbrzymie kolce gorowały nad nim i sterczały ze skał, jakby wyrosły z nich niczym drzewa. Jedne - przezroczyste jak gorska woda - rozszczepiały światło na tęczę, inne wyrastały z podłoża w kolorach ametystu, przejrzystej żółci, dymnego srebra. Pośrodku tej olbrzymiej groty albo sali znajdowało się wiele szarych kryształów, ciemnych, nie srebrzystych, i przypominających te kule, Glob Ummar, która rozpadła się na części.

Już sam ten fakt wskazywał, że poddano je celowej obróbce. Ułożono je ciasno obok siebie płaskimi bokami do góry, a za kawałkiem płaskiej przestrzeni, na której ktoś siedział, wznosiła się ściana z wysokich, spiczastych kryształów.

Gliniak pobiegł naprzód, a jego podopieczni zatrzymali się na progu sali pełnej barwnych światel, osłepieni bijącym z niej jaskrawym blaskiem. Ich przewodnik człapał dalej, aż stanął u podnoża sterty kryształów, które ułożono na kształt siedziska... lub tronu...

Sklonił się nisko, następnie spojrzał w twarz...

Nie twarz - pomyślał Faree i znów ogarnął go chłód - lecz oblicze podobne do czaszki, nawet jeśli sterczące kości pokrywała pozółkła skóra. Ostre krawędzie oczodołów przysłaniały mocno napięte powieki. Skóra na dloniach, spoczywających na kryształach z boku, była głęboko pobrużdżona. Długie paznokcie zakrzywiały się na czubkach palców na kształt szponów. Wszystkie mieniły się jaskrawym szkarlatem, czego nie mogła zamaskować gra światel.

Reszta postaci otulana szarą szatą, nie przypominająca rzeczywistej substancji, lecz raczej narecze mgły narzucone na chude jak szkielet ciało. Między kolanami siedzącej na tronie istoty znajdowała się masywna rekojesc miecza, a u jej niewidocznych stop leżał czerep, znacznie większy od tych, jakie widywał Faree. W czaszce tkwiło głęboko wbite ostrze

miecza - godło tak widoczne w zamku, gdzie czatowała Selrena.

W tej samej chwili Faree poczuł coś, co mogło być pierwszym ciosem w bardzo dziwnej bitwie - ułucie natarczywego przekazu myślowego.

-Glasrant. - To jedno słowo przeszło mu głowę, jak miecz przebijał czerep u stop siedzącej istoty. Coś zawrzało, zaczęło się rozpychać - ból, jakiego wcześniej nie potrafił sobie wyobrazić, rozlupywał mu czaszkę. Przez łzy cisnące mu się do oczu i spływające po policzkach Faree zobaczył, że mocno napięte powieki istoty nie były już zamknięte. Zniknęły, a kiedy chwiejnym krokiem ruszył naprzód, odpowiadając na bezgłosny rozkaz, jego spojrzenie zostało schwytań i uwiezione przez to, co kryło się w glebi odsłoniętych jam: jasne płomienie, czerwone, żółte, prawie białe... Wdarły się do jego głowy, weszyły, przeszukiwały jej zawartość, oceniały, odrzucały na bok rzeczy bezwartościowe, znalazły to, czego chciał stwor w stroju z mgły i ulepiły z tego coś, co potrafiło myśleć, a myśleć, znowu słyszeć.

-Byłeś martwy - stwierdziła otulona szata istota.

-Nieprawda. - Faree miał wrażenie, że ktoś inny włada jego ciałem, jego umysłem. - Twoi kopacze nie byli dokładni, Fragonie. A potem jeszcze Malor. Twoi słudzy nie spisali się dobrze.

Tylko siła woli utrzymywał się na nogach; w jego głowie płonęło piekło uwolnionych myśli i wspomnień, starające się zagarnąć więcej przestrzeni, aby znowu zająć należne mu miejsce.

-Ach tak, Malor. Często trzeba korzystać z wadliwych narzędzi. - Zakonczone czerwonymi paznokciami palce szkieletu zacisnęły się na rekojesci miecza. Jeśli ten gest wyrażał jakies uczucie, nie odbiło się ono na obciążonej skóra kościstej twarzy, w której żyły tylko płonące oczy.

-Więc Malor niczego nie zyskał na zdradzie? - Faree zobaczył w myślach twarz o rysach tak podobnych do jego własnych, że mogłoby to być twarz jego syna - albo brata?

-Powodziło mu się przez jeden sezon - rzekł obojętnym tonem Fragon. - Jak owocowi kwas. Potem nadszedł czas imion i rzucania wyzwania; wyobrażał sobie, że jest niezwycięzony. Wkrótce przekonał się, że tak nie jest. W locie zwyciężył Quaffer.

-I co się wtedy stało? - spytał Faree, widząc przed oczami drugą twarz, tym razem wroga.

-Quaffer był głupcem! - Odpowiedzi udzielił nie żywo-martwy Darda na tronie z dymnych kryształów, lecz dziewczyna, o której Faree zapomniał.

Musiała iść za nim, gdyż teraz podeszła do niego, również nie spuszczając oczu z Mrocznego Dardy.

-Quaffer był głupcem. - Młodzieniec odebrał myślowy impuls przyznający jej rację. - Głupcy i niczemnicy wypływają na wierzch jak szumowiny w garnku z mięsem postawionym na ogniu. Zawarli pakt z Przekletemi, którzy odkryli nasz świat. To on kupił ich pomoc, składając im ofiarę - z ciebie, Glasrancie. Szukali cie po całym świecie. Po odlocie gwiazdowego statku, kiedy Jasna Pani i Władca Mieczy zagrozili mu żelaznym płaszczem, przysięgał, że zgubił cie zło Przekletych. Tak, młodzieńcze, niejedna tarcza została zboczona krwią i wiele stop wtedy maszerowało. Wszyscy wiedzieliśmy, że Przekleci znowu wroczą; i tym razem złożono przysięgę na Światło i Ciemność, na Noc i Dzień, Słońce i Księżyc, że cały Lud - Bardowie, Skrzydlaci, Hodlinowie, Wisserowie, Thormowie i Wendowie - zawrze pakt i dotrzyma go, choćby klan był skłócony z klanem i plemię z plemieniem. Zapomnimy o wasniach, dopóki nie nadejdzie czas ostatniej próby. Odkąd przybyli Przekleci, dokładaliśmy wszelkich starań, aby dotrzymać słowa. A teraz ty przybywasz, Glasrancie, i to z gwiazdowego statku w towarzystwie Przekletych... - Fragon zamilkł.

Faree pomyślał o Maelen i Vorlundzie, o Zororze i o tym, kim dla niego byli, odkąd uciekł z Obrzeży. Innych wspomnień - tych, na które skazało go brutalne zdjęcie blokady - nie chciał przyjąć do wiadomości.

Fragon pochylał się lekko, opierając dłonie na rekojesci miecza.

-Oni wiedzą... - Wymówił te dwa słowa w taki sposób, jakby żuł coś tak gorzkiego, jak jad Toggora. - Oni wiedzą!

Dziewczyna odwróciła się lekko i spojrzała uważnie na Faree. Jej delikatna, zielonkawa skóra nie maskowała rumienia, gdy posłała mu pełen gniewu impuls myślowy.

-Ty... - zaczęła, kiedy wtracił się potężniejszy i wyraźniejszy przekaz Fragona, zagłuszając jej komunikat.

-Nie, Atro, Glasrant nie grał twojej roli. Ty, będąca przynętą Przekletych, nie możesz zrzucić na niego ciężaru takiej winy.

Rumieniec dziewczyny pociemniał, a potem zgasł. Policzki zbladły jej tak bardzo, że Faree domyślił się, że to, co usłyszała musiało ją głęboko wstrząsnąć. Potem spuściła głowę i zamilkła.

Fragon jednak mówił do niej dalej:

-Jakże to, niebiańska tancerko, chcesz zadać cios czyms, co wydaje ci się prawdą, lecz sama nie potrafisz jej spojrzeć w oczy? Najwyraźniej Glasrant odkrył coś nowego: Przekletych starających się zyskać nasze zaufanie. Przyprowadził cie ten, który pokryty jest łuskami jak wisser i dwoje mogących być Dardami. Poszukiwanego przez nich skarbu nie można wyrwać z ziemi ani wyciągnąć z naszych rzek, jezior i morz; on znajduje się w głowach! - Poruszył rekojescią miecza, najwyraźniej wbijając go jeszcze głębiej w czaszkę. -

Jest takie bardzo stare porzekadło pochodzące z osnutych mgła prapoczątków naszych dziejów, a są to bardzo odległe czasy według rachuby Przeklętych. Brzmi ono tak: my, mający wspólnego wroga, możemy sprzymierzyć się bez przeszkód, chociaż nie wszyscy pochodzimy z tej samej rasy i tego samego gatunku. Być może twoi kompani, Glasrancie, należą do takiego właśnie paktu.

Dziewczyna znowu uniosła głowę.

-Wszyscy przybysze z gwiazd są przekleci.

-Tak twierdzisz? Zobaczmy. - Fragon odwrócił lekko głowę na koscistych barkach rysujących się pod szatą z mgły; wpatrywał się w drugi koniec wykutej w kamieniu sali.

Pomiędzy szpiczastymi kryształami szła Selrena. Na ramieniu miała zaczerwieniona kreskę, a na srebrzystym, obcisłym kombinezonie, okrywającym prawie całe jej ciało, matowe, czarne plamy. Za nią podążały dwie inne osoby, wyższe od niej. Byli to Vestrum, mężczyzna, którego Faree spotkał w kryształowej komnacie, oraz otulona peleryną, w pokrytej szczytami masce postać ze snu Faree.

Za nimi szli następni, każdy w towarzystwie sobie podobnych. Zdażali tam uskrzydłony lord o czerwonych skrzydłach i istoty o skrzydłach czarnych niczym mrok bezgwiezdnej nocy. Człapały stworzenia podobne do gliniaka, który ich przyprowadził, i inne różnej wielkości; przynajmniej cztery tak wysokie, że musiały stać się schylać, aby nie zawadzić o sterczące ze sklepień kryształy. Vestrumowi towarzyszyli dwaj mali flecisci plasający i grający na piszczalkach, jakby chcieli nakłonić wszystkich do tańca, i trzy panie, wysokie jak Selrena. Miały one złotorude i rozwiane włosy, a suknie przystrojone girlandami kwiatów nie szerszymi od wstążek.

-Wzywales - rozległ się chrapliwy głos Zwierzecej Maski, który zajął miejsce przed kryształowym tronem. Nie złożył holdu Fragonowi, choć cała jego wstętna i pstra swita skłoniła się przed Panem Ciemności.

-A ty postanowiłeś przybyć - odpowiedział mu myślą Fragon. Najwyraźniej Zwierzeca Maska nie zamierzał dalej się posługiwać tą formą komunikacji, gdyż znowu przemówił. Faree nie zdziwił fakt, że go rozumie. Sama obecność Fragona, jak i jego własna, utwierdzały go w przekonaniu, że kiedyś było tu miejsce dla niego, a strzępy pamięci, które przypuszczalnie nigdy się już nie spletały, dały mu moc, jakiej nie próbował jeszcze zrozumieć.

-Zwracam ci wolność - rzekła Selrena, nie do młodzieńca, lecz do dziewczyny. - Masz jednak... - rozłożyła szeroko palce prawej dłoni i położyła je na czubku głowy Atry - ...coś, co należy do Nich. - Zaglebiła palce w splecione włosy dziewczyny, a ona krzyknęła cicho z bólu i zachwiała się na nogach. Faree odwrócił się i chwycił ją, nie pozwalając upaść. Z włosów dziewczyny Selrena wyciągnęła coś, co wyglądało na luźno spleciony czepek z

cienkiego drutu. Był mocno wpleciony we włosy i musiała go wyrwać, a przy każdym szarpnięciu Atra jęczała. Selrena odrzuciła siatkę od siebie gestem obrzydzenia.

Przedmiot spadł na posadzkę i Fragon przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Potem skinął na gliniaka, który był ich przewodnikiem. Stwor kopnął czepek ogromną stopą, aż ten się poturlał pod jeden z dymnych kryształów podpierających tron Fragona. Błysnęło jaskrawe światło i po siatce została tylko bryłka dymiącego metalu.

-Aaach... - Atra przeczesywała włosy dłońmi. Być może szukała innych krepujących ją jeszcze wiezów. Rozpostarła skrzydła, odpychając nimi Faree. Były teraz większe, a kiedy się poruszały, widac było na nich drobne srebrzyste wzory. Z dumnie wzniesioną głową spojrzęła na Selrene.

-Dzięki ci, Pani. Jaki dług mają teraz wobec ciebie Langrone i czy żyje jeszcze ktoś z tego rodu, aby go spłacić? Wielu zginęło od rzeźnickiego noża, a krew części z nich spada na mnie, gdyż wciągnęłam ich w śmiertelną pułapkę, będąc jencem!

-To prawda. - Zwierzęca Maski spojrzęła na nią, a jego lub jej szorstki głos zabrzmiał chłodno. - Zaciągnięto więcej niż jeden dług, Corko Langrone, gdyż to Noperowi zawdzięczasz wolność...

Stwor będący ich przewodnikiem ukazał rząd złotych kłów w grymasie mogącym uchodzić za uśmiech.

-Nieprawda! - rozległ się głos lorda o czerwonych skrzydłach. - Może rzeczywiście przyszła podziemnymi drogami, lecz uwolnił ją ktoś z jej własnego rodu. - Kiwnął głową w kierunku Faree. Młodzieniec zauważył, że skrzydlate plemię unika kontaktu z dziwnymi stworami ze swity Zwierzęcej Maski.

-Dostę tego! - Ryk nie był słyszalny, lecz brutalnie wdzieral się do umysłu i Faree był pewny, że nie on jeden odczuł siłę tego rozkazu. - Nie czas teraz rozpamiętywać starych wsní między naszymi plemionami. Glasrant uwolnił ją z niewoli. Ostry Nos wysłał tych, którzy przyszli mu z pomocą. Cel osiągnięto wspólnie. Ważniejsze jest, aby Glasrant powiedział nam, czego możemy się spodziewać po załodze drugiego statku... Kim są ci handlarze niewolników, Synu Langrone? I jakie nowe szkody zamierzają tu wyrządzić? Faree gwałtownie potrząsnął głową.

-Żadne szkody, przywieźli mnie...

-Jako przynęte! - syknął ktoś ze swity Zwierzęcej Maski.

-Nie. - Faree pomasaował swoją obolałą głowę. Być może mur w jego umyśle został naruszony, miejscami strząskany, lecz nadal przypominał sobie tylko wyblakłe strzępki i skrawki wydarzeń, jakby patrzył na jakąś kronikę z kolekcji Zorora, na wpol zniszczoną przez wilgoć i nadgryziona przez robactwo. Wiedział, że należy do zgromadzonego tu

skrzydlatego ludu, a oddał go przemytnikom jeden z jego rodaków, zadny władzy, po jaka moglby siegnac dorosly Faree. Zywil instynktowna niechec do Fragona, wyczuwajac odrazajacy smrod bijacy z mglistej szaty. Nie mial takze zaufania do Selreny i czarnoskrzydlych, tworzacych jej eskorte. Jednak nawet teraz przypominal sobie tak niewiele...

Selrena musiala sledzic jego mysli.

-Co pamietasz, przypomnij sobie!

Faree stwierdzil, ze nie moze sprzeciwic sie jej rozkazowi. Rozpoczal od mglistych wspomnien pol-zycia, jakie pedzil na Obrzezach. Wspomnienia nabraly wyrazistosci dopiero, gdy trzymajacy go w niewoli kosmiczny wedrowiec zmarl, a on sam uciekl. Kolejne dni byly tak jednakowo wypelnione nieustannym zagrozeniem, ze zlewaly sie w jedno pasmo nieszczescia, a jedyna odrobine swiatla wnosila jego wiez z Toggorem. Potem zjawili sie Maelen i Vorlund. Jakims cudem przejeci sie jego losem wystarczajaco, aby podzwignac go ze smrodliwego blota Obrzezy i przyjac do waskiego kregu swych przyjaciol.

Po tym, jak Gildia probowala przejac nad nimi wladze, polecili na Yiktor i spotkali Thassow. Mysl o Thassach i ludziach Maelen po raz pierwszy wywolala poruszenie wsrod sluchajacych i odczytujacych obrazy w jego pamieci. Vestrum przerwal ten nieomal hipnotyczny trans odslanjajacy przeszlosc Faree.

-Ci Thassowie, z jakiej sa planety? Skad pochodza? Jakie maja zdolnosci?

-Dlaczego sam ich o to nie spytasz? - odparla Selrena. Jej orszak rozstapil sie, aby zrobic przejscie dla Maelen. Migotliwe swiatla krysztalow zdawaly sie skupiac na jej smuklym ciele odzianym w ciemny kosmiczny kombinezon, upodabniajac go do stroju osoby rownej Selrenie lub nawet godniejszej. U jej boku szedl Vorlund; on rowniez wydawal sie spokrewniony z Dardami i na swoj sposob rownie potezny jak Vestrum. Za nimi podazal Zoror, rozgladajac sie uwaznie w prawo i lewo, jakby chcial zanotowac w pamieci kazdy najdrobniejszy szczegol otoczenia.

Przybyli lekko skineli dlonia Fragonowi, witajac sie z nim tak, jak gdyby witali pobratymca, z ktorym niewiele ich laczylo. Maelen jednak usmiechnela sie do Selreny i uniosla przed nia obie rece, wykonujac palcami skomplikowane ruchy, jakby zapisywala jakas wiadomosc w powietrzu.

Po raz pierwszy Faree dostrzegl na twarzy Dardy dziwny wyraz - slad konsternacji. Vestrum podszedl do niej i zmierzyl kosmiczna przybyszke baczny spojrzaniem. Jeden z malenkich flecistow niespodziewanie wykonal szybki ruch i przykucnal miedzy nim i Maelen.

Z jego piszczalki wydobyła sie cicha, slodka melodia. Maelen sluchala jej przez kilka chwil. Potem z jej ust poplynela piesn bez slow, nuta w nute taka sama. Na twarzy Vestruma

odbilo sie zdumienie. Rece Selreny poruszały sie mimowolnie, palce wznosily sie i opadaly w takt pieszni bez slow.

Skrzydlate istoty tak byly wzburzone, tak lopotaly skrzydlami, jakby chcialy wzleciec ponad tron Fragona, chociaz nikt tego nie zrobil. Mlodzieniec rowniez zareagowal - zrobilo mu sie tak lekko na sercu, jak jeszcze nigdy, odkad rozpozceli te wyprawe. Poczul, ze ktos chwytal go za dlon i wiedzial, ze to Atra na swoj sposob reaguje na moc zaklecia. Tylko Fragon, istota w masce bestii i jego orszak pokurczy nie drgneli. Wykrzywione grymasem twarze niektorych dorownywaly brzydota masce ich wodza.

-Jestescie... z Rodu! - rzekl Vestrum, kiedy flecista przestal grac i ucichla pieszni Maelen. - Z zaginionego ludu wedrowcow!

-Jestem Thassa - odpowiedziala Maelen. - Moj lud jest tak stary, ze zapomnielismy o wlasnej przeszlosci. Dawno temu wyrzeklismy sie wszelkiej wlasnosci: stalych domow, ziemi - oprócz tej, po ktorej sie jezdzi - mienia, wszystkiego, co ciazylo naszym duszom. Zerwalismy wiezi z przeszloscia - pragnac tylko tego, co dawalo nam zycie z Malenstwami - wiedzy przynoszacej dobro, a nie wyrzadzajacej szkody...

-Jestescie z Rodu! - powtorzyl Vestrum. - I pochodzicie z Zaginionego Ludu! Jest nas niewielu. Zaledwie pol setki. Wielu zamknelo sie w stworzonych przez siebie swiatach, gdzie moga byc bogami, bohaterami lub... - poslal spojrzzenie Fragonowi, po czym odwrocil wzrok - diablami. Starzejemy sie ze znuzeniem i swiadomoscia, ze dokadkolwiek pojdzimy, Oni podaza za nami, przynoszac smierc i swoje choroby, az wreszcie zniszcza wszystko, co znamy. Czy podrozujecie wsrod gwiazd, szukajac odleglych krewnych? Jesli tak, udalo wam sie - twierdze, ze nalezycie do Rodu!

-Do Rodu - powtorzyla jak echo Selrena. - Sadze jednak, ze zdazaja inna sciezka. Macie moc, lecz nigdy nie wykorzystaliscie jej w pelni... - Uniosla glowe i wydawalo sie, ze jej ciemne oczy powiekszyly sie. - Wybraliscie inny sposob zycia. Moze... - zawahala sie - wasza decyzja dala wam zadowolenie, jakiego my nie zaznalismy. Co robicie z Nimi, kiedy nadchodza?

-Zyjemy osobno, a poniewaz nie mamy skarbow i chodzimy innymi sciezkami, od niepamietnych czasow nie znamy ciemnosci. Sa teraz inni, ktorzy ustanowili prawo, ze nikogo nie wolno niepokoic, jesli zyje w pokoju. - Maelen spojrzala na Fragona. - Jaki jest twój pokoj, panie? Twoje absolutne rzady? A co wy na to? - Powoli spogladala na wszystkich zgromadzonych w polkolu. - Czy zanim przybyli obcy z innej planety, panowal tu pokoj?

Faree przypomniat sobie szkielety w ciemnych korytarzach i komnate okropnosci.

-Zdarzaly sie miedzy nami zwady. - Fragon odpowiedzial pierwszy. - Takie nieporozumienia zawsze kiedys ustaja. Nawet wladza moze sie znudzic. Powiem to pierwszy - ja, o ktorym

mowiono wiele zlego i byc moze slusnie. Nadchodzi taka chwila, kiedy spelnilo sie wszystkie zyczenia, zaspokoilo wszystkie zadze. Wtedy... - jego dlon na rekojesci miecza wbitego w czaszke musiala zadrzec lekko, gdyz dal sie slyszec zgrzyt - jest sie niczym. - Potem celowo zagrzechotal czaszka, obracajac rekojescia miecza w obie strony. - Oni znalezi nas i bawili sie naszym kosztem, szczujac nas na siebie nawzajem, jak czynili to juz niezliczona ilosc razy. Po ich przybyciu odzyly dawne wasnie. Dlaczego nie dac im tego, czego chca - niewatpliwie zwracal sie do stojacych za Maelen - jestesmy juz zgubieni...

-To nieprawda. - Dalo sie slyszec troche nizsze pasmo myslowego przekazu Zorora. - Nigdy sie jeszcze nie zdarzylo, aby jedne drzwi sie zamknely, a drugie nie czekaly, aby je otworzyc...

-Co z tego? - spytal Fragon. - Nie nalezysz do nich ani do Rodu, chyba ze nasze kroniki nie sa kompletne. Jaka w tym role odgrywa twoje plemie?

-Gromadzimy wiedze, szukamy poczatkow...

-Sadzac, ze zakonczenia sa lepiej oznaczone? - Vestrum utkwil wzrok w oczach Zakatianina i stal nieruchomo, jakby powstala miedzy nimi jakas wiez. Potem dodal: - Kim jestes, ze potrafisz tak gleboko zajrzec do wnetrza innych? Jestes...

-Zakatianinem.

Faree wiedzial, ze mieszkancy tej planety uznali go za swego, a jego towarzysze prawdopodobnie zgadzali sie z ich zdaniem. Pomimo to w tej chwili nie czul zadnej wiezi z innymi skrzydlatymi istotami, chociaz pragnal tego, odkad jego wlasne skrzydla wylonily sie ze swej okrywy.

-My szukamy wiedzy.

-Wiedza potrafi byc obosiecznym... - zaczela Selrena, kiedy - po raz pierwszy - Fragon wypuscil z reki rekojesc miecza. Uniosl szponiasta dlon i lekkim gestem przerwal jej w pol slowa.

-Wiedzy nigdy nie wolno zaniedbywac. Powiedz nam, poszukiwaczu zaginionych rzeczy, co nas teraz czeka? Dzisiejsze klopoty maja korzenie w przeszlosci.

-To, co ty i twoj lud juz znacie. - Zoror pokiwal glowa. - Sam powiedziales, ze choc w przeszlosci nie byliscie przyjaciolmi, zbrataliscie sie teraz...

-Zbratalismy sie? - przerwala im Atra, mowiac wysokim, ostrym glosem. - Spytaj tych, ktorzy na wezwanie do zgromadzenia wylecieli z Burdenholmu, co stalo sie potem! Trafnie Wczesniejsi nazwali cie przekletym, Fragonie!

-Sam widzisz... - Prastary Darda nie odpowiedzial na jej wyzwanie, lecz postanowil

dokonczyc rozmowe z Zakatianinem - ze mamy niewielkie podstawy do budowania czegokolwiek, co chociaz troche przypominaloby prawdziwe braterstwo. O ile wiemy, Langrone zostali prawie calkiem wymazani z kart naszej historii. To prawda, ze wszystko zaczelo sie od zdrady i niegodziwych czynow. On sam - wskazal reka Faree - moze o tym zaswiadczyć, choc pamiec o tym fakcie niemal calkiem zatarto w jego umysle. To rzeczywiscie Glasrant i prawdziwy wladca tych samych Langrone, po ktorych juz prawie nie ma sladu. Wszystkie jego przezycia stanowią rezultat krwawych zatargow miedzy dwiema osobami przedkladajacymi falszowy honor nad dobro ogolu. A Atra, przemawiajaca teraz tak szczerze, tez posluzyla za bron w walce ze swym wlasnym ludem - lecz wine za to nie ponosi zaden z nas - skrzydlakow, gliniakow czy Bardow. Przekleci Niebianscy Jezdzczy prawie czwarta czesc naszego swiata splamili krwia i uczynili miejscem rzezi. Zawsze podazaja za nami, od jednej planety do drugiej. Uzywaja przeciwko nam parzacego metalu i rozmaitych mocy, ktorych zrodlem sa przedmioty zrobione z tego samego zelaza. Potrafią odebrac nam zmysly - swiadkiem moze byc Atra. Walcza ogniem, a my mozemy tylko polegac na dawno nabytych umiejetnosciami i bronie sie ze wszystkich sil. W tej godzinie stoimy razem, moc obok mocy, abysmy nie zostali zmieceni z powierzchni ziemi. Wy rowniez przybywacie z gwiazdnych szlakow, lecz nie przypominacie Ich. Jest w was cos, co upodabnia was duzo bardziej do nas samych. Przywiezliście ze soba Glasranta. Przebadalismy jego umysl i wiemy, ze nie jesteście zatruci tym jadem, ktorým Oni kalaja wszystko, czego dotkna. Jest was troje i pochodzicie z roznych ras... Ty, Pani - zwrocil sie do Maelen -jestes z bratniego ludu. A on - teraz wskazal Vorlunda - myśli tak jak ty, chociaz nie zrodzil sie z waszej krwi i wewnatrz moze byc jednym z Nich. W tobie, Zakatianinie, nie ma nienawisci do nas, jedynie zdumienie i radosc z odkrycia naszego ludu. Nie jesteśmy wiec wrogami, chociaz moze nie jesteśmy tez przyjaciolmi...

Vestrum drgnal lekko.

-Słowa za słowami, Fragonie! Wezwales nas do czynow. Kazalismy Selrenie i jej skrzydlatym slugom toczyc walke z wrogami sama tylko sila psychiczna, nasylajac na Tych, ktorzy zabijaja bez litosci, upiory stworzone przez umysl...

-To prawda - wtracila Selrena. - Czy nie poswiecilismy zbyt wiele czasu na słowa? Póki Atra byla z nimi, nie mielismy szans na atak, gdyz domyslilaby sie wszystkiego i mimowolnie by nas zdradzila. Kiedy wiec on - kiwnela glowa w kierunku Faree - znalazl sie w zasiegu naszych rak, z latwoscia go schwytalismy i uzylismy jako klucza, aby otworzyc wiezienie Atry - z czego wywiazal sie doskonale. Co mamy teraz zrobic? Jeszcze raz stworzyc widmowe wizerunki samych siebie i kazac im przemierzac niebo? Widma niewiele moga zrobic i wiemy juz, ze Oni w nas watpia. Pytam wiec was Fragonie i Vestrumie, jak rowniez ciebie - wskazala Zwierzeca Maske - co zrobimy?

Fragon zwrocil sie wprost do Maelen.

-Co zrobimy?

"Co zrobimy?" - Fragon spytał Maelen. Może nie spodziewał się, że odpowie, jednak to zrobiła. Faree - nie potrafił jeszcze nazywać się tym drugim imieniem, jakie mu nadano, ani w pełni pogodzić się z faktem, że należy do tutejszej rasy - leżał na brzuchu na skalnym występie. Jego rozpostarte skrzydła miały ten sam kolor, co keпки porostów między kamieniami i służyły mu za kamuflaż. Toggor kulił się tuż pod skrajem jego prawego skrzydła. Smaks nie sięgał wzrokiem tak daleko jak młodzieniec, ale wyteżał swoje zmysły ze wszystkich sił.

Za nimi leżeli inni skrzydlaci, a ich naturalne kolory skrzydeł zlewały się z tłem skal - szarzy ze srebrzystymi wzorami i ci o ciemniejszej skorze towarzyszący Selrenie. Obserwowali z góry obcy statek i małą osadę przy jego statecznikach.

Było późne popołudnie i w obozie panował ruch. Trzy dni temu kilku kosmonautów próbowało zejść do podziemnego tunelu, aby odnaleźć zbiegłych więźniów. Przekonali się jednak, że większość korytarza zawałowała się; po przejściu kilku stop nie można było nawet stwierdzić, w jakim biegnie kierunku.

Przybysze penetrowali też niebo. Przyspieszono naprawy smigacza, aby uzbrojone w lasery patrole znowu mogły krążyć po okolicy, zataczając coraz szersze kregi. Mieszkańcy kryształowej groty dwukrotnie sprowadzili mgłę, która najczęściej się bronili, ale smigacz przelatywał przez nią, najwyraźniej zupełnie nie zwracając uwagi na te oslepiającą projekcję. Nie próbowali już więcej masowej halucynacji, jaką posłużyli się do zatarcia śladów ucieczki Atry.

Z prób psychopolacji, jakie podjęli Fragon i Maelen - dwoje nieoczekiwanych towarzyszy broni - wynikało niezbicie, że mieszkańców obozu strzegły urządzenia chroniące zarówno przed penetracją umysłu, jak i trwałym złudzeniem - dwoma rodzajami prastarego i stosunkowo skutecznego oreza Ludku.

Pod względem siły fizycznej też nie mogli się z nimi mierzyć. Miecze i naładowane energią rozdzki, inna tradycyjna broń, jakiej używali od niezliczonych pokoleń, nie mogły równać się z laserami, oplatywaczami, a nawet nieharmonijnym dźwiękiem. Kiedy jakiś czas temu taki hałas skierowano z obozu, większość skrzydlatych, Dardów i kilku jeszcze innych ze starej rasy zostało na jakiś czas obezwładnionych. Tylko mieszkańcy podziemi, którzy natychmiast uciekli do swoich tuneli, nie ucierpieli. Wtedy Zoror wypuścił coś, co przypominało uskrzydloną rurkę. Urządzenie wzniosło się nad wrogi statek i obozowisko i wydało taki sam świdrujący dźwięk, odbijając go niczym lustro. Dźwięk wznosił się coraz wyżej, jakby każda nuta nawleczono na sznurek i wyciągnięto poza skalę.

Ujrzeni wtedy ludzi wybiegających na otwartą przestrzeń, zataczających się i przyciskających ręce do uszu. Niektórzy osuwali się na kolana, potem padali na ziemię i tarzali się po niej, najwyraźniej z bólu. Wreszcie któryś oprzytomniał na tyle, żeby wyłączyć

własny sygnał. Cisza, jaka wtedy zapadła, przypominała przejmująca cisze śmierci.

Grupka szpiegów zaczajona na zboczach wielkiej doliny, gdzie wylądował statek, odzyskała przytomność szybciej niż ich wrogowie. Kiedy Faree i jego towarzysze ocknęli się, do największego z namiotów w obozie niesiono przynajmniej trzy bezwładne ciała, a kilku innych ludzi z trudem wlokło się do statku.

Chwile później wystartował smigacz i zaczął przeczesywać okolice, zataczając coraz szersze kregi. Faree, obserwując ten lot, obawiał się, że najeźdźcy mogą być wyposażeni w urządzenia wykrywające. Trzymali Atrę dość długo, aby ją zbadać i wprowadzić jej wzor do "pamięci" czujnika. Dzięki temu każdego przedstawiciela jej gatunku można było natychmiast wykryć na ekranie smigacza. Fakt, że nieprzyjaciel nie przyleciał od nawietrznej i nie ostrzelał ich ze wszystkich z laserów, był dla młodzieńca czymś zupełnie niezrozumiałym. Przywarł mocniej do ziemi, wbijając palce głęboko w glebę, jak gdyby był gliniakiem przyzwyczajonym do szybkiego znikania pod ziemią.

Atra była na gorze z Maelen i Fragonem, którzy poszukiwali w jej psychicznym zmysle zapowiedzi przyszłego ataku, chcąc się upewnić, czy nie umieszczono w nim jakiejś nieprzyjemnej i ukrytej broni na wypadek, gdyby udało się jej dokonać niemożliwego i uciec. Młodzieniec współczuł jej; w przeszłości sam zbyt często poddawany był badaniom niedostępnej dla niego części umysłu.

Jeśli najeźdźcy zbadali Atrę, wyniki musiały mieć zbyt bliski związek z jej osobowością, aby mogły posłużyć do zlokalizowania jej pobratymców. Smigacz zataczał coraz większe koła i nie zmniejszył szybkości, kiedy przeleciał nad kryjówką drużyny Faree.

Trzej olbrzymi, którzy weszli do kryształowej groty w towarzystwie Zwierzęcej Maski, wiele godzin temu poszli z Vorlundem do jego statku. Byli potrzebni do przetransportowania sprzętu, jaki Krip i Zoror zabrali w tę podróż. Nie wybrano niczego, czego nie wolno byłoby używać w prymitywnym świecie - jeśli te planety, nazwana przez pierwszych przybyszy Elothian, można było nazwać prymitywną. Lud dawno wypracował własne metody obrony, przypominał sobie lekcje historii, aby strzec swego nowego świata najlepiej, jak to możliwe. Fakt, że raniły ich ciężkie metale, zwłaszcza żelazo (Faree wystarczyło spojrzeć na opatrunki, jakimi pokryto oparzenia Atry, powstałe od lancuchów, żeby zrozumieć, jakie szkody mogło spowodować), zawsze stawiał ich w niekorzystnym położeniu podczas starć z pozaziemcami.

Kryształy w grotach, jakie tu znaleźli, dostarczyły broni równie groźnej, co lasery. Lasery jednak mogły zabijać z odległości znacznie większej od tej, z jakiej strzelec Ludu mógł wypuścić elfie strzałki, niewielkie, ostre niczym igły okruchy ciemnych kryształów, po wbiciu się w ciało powodujące choroby i zmacenie zmysłów. Istniały także inne rodzaje broni, w większości związane ze zdolnościami psychicznymi. Te z kolei wymagały dokładnej oceny mentalnej siły przeciwnika. Podczas pobytu w niewoli u pozaziemców Atra zachowała jednak taką przytomność umysłu, że mogła teraz przekazać swojemu ludowi wyraźny obraz

ich zdolności.

Zoror krążył po wyższych partiach gór - dość daleko od nich. Wyposażony w miotacz odpowiedni dla silnego Zakatianina, odcinał wszelkie drogi, jakimi nieprzyjaciel mógłby wdrzec się do twierdzy Ludu, pominawszy atak z powietrza.

Choć ciałem był obecny przy tym zajęciu, Faree wiedział, że duch Zakatianina znajdował się w zupełnie innym miejscu - szukał w swej obszernej pamięci wszystkich faktów z przeszłości, jakie mogłyby im się teraz przydać. Co się zaś tyczy samego Faree...

Spojrzał na oboz w dole, który po godzinach obserwacji wydawał mu się tak znajomy, że był pewien, iż zapamiętał wszystkie krzywizny każdego namiotu. Przed nim pełnili swoje inne, lecz wnikliwa obserwacja terenu nie dała im wiele.

Szybko zorientował się, że latarnia oświetlająca okolice podczas jego pierwszej wizyty była nowym nabytkiem. Zdaniem Vorlunda i Zorora statek przeprowadzał tylko zwiad dla liczniejszych sił. Co noc z dziobu statku wysyłano promień świetlny, aby wskazywał im drogę.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że przybycie posiłków uniemożliwi im skuteczną obronę. Dlatego musieli pozbyć się latarni. To było zadanie dla Faree. Rozwiązanie tego problemu spoczywało tuż pod łukiem jego skrzydła - płaskie pudełko, trochę większe od jednej z jego obciążonych dłoni.

Vorlund poświęcił prawie cały dzień na skonstruowanie tego, co znajdowało się w jego wnętrzu. Pomagało mu dwóch pokracznych gliniaków obrabiających metal w ogniu z pomocą mistrzów kowalstwa. Przyglądali się rysunkom, jakie sporządził kosmiczny przybysz, i bacznie wsłuchiwali się w jazgot stanowczych poleceń Zwierzęcej Maski, wodza tych mieszkańców mroków - istot o umysłach przebiegłych i często zdradzieckich. Użyli metalu, lecz był to stop srebra, lanego z glinianych czerpaków, i złota, spuszczonego do wąskich glinianych rurek, który później kuto młotami. Splatano z niego drut prawie tak cienki i giętki jak nici.

Miesiące temu skrzydlata rasa Ludu odkryła, placąc za to wysoką cenę, że zbliżanie się do obozu z powietrza jest szalenstwem. Powietrze wokół statku przecinały niewidzialne zakłocenia zdolne sparaliżować skrzydła i stracić lotników ginących podczas upadku, lub - jeśli skrzydła miały zostać odcięte - ściągnąć te bezradne i nieruchome istoty na ziemię, gdzie czekała na nie inna śmierć. Niemniej jednak wszystkie te loty - a kiedy stwierdzono, czym się kończą, było ich już bardzo niewiele - miały miejsce tylko wtedy, kiedy skrzydlaci nierozsądnie przelatywali nad namiotami albo nad odsłoniętą częścią statku na dużej wysokości.

Ciało Faree było teraz opasane dwoma szerokimi pasami. W każdym z nich znajdowały się wąskie kieszenie, gdzie Vorlund umieścił małe urządzenia wykonane przez kowali w

pospiechu. Odkąd spotkali się w tej kryształowej grocie siedem dni temu, wszyscy czuli, że muszą się spieszyć. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim sygnał latarni ściągnie liczniejsze siły wroga?

Szansa na zwycięstwo zależała od tak wielu "jesli" - jeśli Faree zdoła wlecieć niepostrzeżenie w przestrzeń powietrzną nad obozem nieprzyjaciela, jeśli uda mu się przyczepić urządzenie do właściwego miejsca na statku, jeśli to rzeczywiście poskutkuje. Podstawa wszystkiego była nadzieja i to, czego mogły dostarczyć obserwacje i wiedza Ludu, encyklopedyczna pamięć Zorora, okretowa wiedza Vorlunda, urodzonego kosmicznego wędrowcy, oraz Maelen i Dardow współpracujących ze sobą po raz pierwszy w historii ich kolonii na Elothian. Tak wiele "jesli" - pomyślał Faree, lecz chyba nie mieli innej szansy. Obserwował powoli zachodzące słońce. Całe ciało bolało go od nerwowego napięcia wywołanego oczekiwaniem.

Wraz z nadejściem zmierzchu smigacz zawrócił i wylądował w polmroku niedaleko trapez statku. Czteropersonowa załoga małego pojazdu wysiadła - trzech mężczyzn poszło w stronę namiotów, jeden wbiegł po trapie do statku. Faree kleknał i Toggor jednym susem wcisnął mu się pod koszulę. Młodzienczek wyczuwał napięcie wciąż ukrywających się towarzyszy. Nie było czasu ani odpowiednich materiałów, aby wyposażać pozostałych w ten niewypróbowany jeszcze środek ochrony, jaki miał przy sobie. Oni jednak mieli własne zadanie i już wzbijali się w powietrze, aby zastawić pułapkę stanowiącą następny punkt obrony.

Pomiędzy dwoma przywódcami o skrzydłach czarnych jak noc wisiała siatkowa torba. Obciążała ją przynęta - naczynia i ozdoby ze srebra i złota. Wykonali je kowale, czerpiąc radość z opracowania kryształów w taki sposób, aby skrzyły się najpiękniej. Atra, a także inni gliniacy, którzy wybrali się na przeszpiegi na własną rękę, powiedzieli im, że najeźdźcy cenili Lud nie tylko jako surowiec w handlu (kiedy mogli wyrwać skrzydła konającym), ale też wierzyli, że jest on strażnikiem skarbu. Potwierdził to Zoror, mówiąc, że takie historie stanowiły nieodłączną część wielu opowieści, do jakich dotarli.

Na brzegu strumienia było miejsce, gdzie nurt podciął spory kawałek ziemi. Tam chcieli częściowo ukryć "skarb"; kilka przedmiotów miało leżeć w wodzie na pływności i czekać, aż najeźdźcy je zauważą. Selrena ukończyła nadzorowanie przygotowań i zajęła miejsce u stop wzniesienia, z którego miał odlecieć Faree. Gliniacy donieśli jej o najeźdźcach śpiących poza statkiem. Dwoch z nich wybrała sobie na ofiary. Tej nocy będa mieli sny, gdyż Selrena testowała umiejętność wywoływania halucynacji subtelnym psychicznym kontaktem. Tak jak rzekomym atakiem z powietrza kierowała wyłącznie za pomocą wysyłanych obrazów, tak potrafiła dotrzeć we śnie do każdego z ludzi w obozie. "Rzeczywistość" tego snu podzielała najsilniej na pewne charaktery, a Vorlund i Maelen byli przekonani, że takich charakterów tam nie brakowało. Ci dwaj będa mieć tej nocy barwne sny, tak wyraziste, że następnego poranka zaczną działać. Zwążywszy na to, kim byli, będa prawdopodobnie próbowali ukryć swe zamiary.

Faree lecial, rekami przyciskajac mocno do piersi urzadzenie, ktore mial umiescic na statku (Toggor wspial sie wyzej i siedzial tuz pod jego podbrodkiem). Wzbijal sie coraz wyzej w chlodne nocne niebo, mknac w strone snopu swiatla strzelajacego z dziobu statku prosto w gromadzace sie chmury. Lecial rozpaczliwie, nie wiedzac, czy nie straci go z nieba jakies bezglosne urzadzenie obronne. Wprawdzie nic go nie zaatakowalo podczas tych pierwszych chwil, kiedy znajdowal sie na otwartej przestrzeni na skraju obozu, nie byl jednak pewny, czy jego lotu nie rejestruje jakies skomplikowane urzadzenie na dole.

Musial wyladowac na kadlubie statku duzo ponizej miejsca, skad wydostal sie ten slup swiatla. Dobrze pamietal informacje, jakie wbil mu do glowy Vorlund. Ten wedrowiec, niemal od urodzenia podrozujacy gwiezdnyimi statkami, doskonale znal ich slabe miejsca i wiedzial, gdzie najlepiej uderzyc.

Faree wymacal krawedz niewielkich drzwiczek, z ktorych robotnicy korzystali podczas remontu. Wiedzial, ze nie dostanie sie nimi do srodka. Od dnia jego uciezki wszystkie takie miejsca byly z pewnoscia obserwowane. Posluzily mu jednak za punkt orientacyjny. Gdy dotarl do nich, nic nie wskazywalo, zeby zauwazyl go ktorykolwiek ze straznikow, jacy niewatpliwie pelnili tam sluzbe. Mial ogromna ochote uzyc psychopolacji - napotkanie obcych wzorow mysli stanowiloby dla niego ostrzezenie. Musial jednak poruszac sie na oslep.

Podciagnal sie na jednej rece i palcami stop wymacal prawie niewidoczna szczeline drzwi. Jeden z krazkow na jego pasku niespodziewanie poruszyl sie w przod i przywarl mocno do powierzchni zamknietego wlazu.

Bosymi stopami wyczuwal pulsowanie ciepla. Statek nie zostal zbudowany z zimnego zelaza, tego zaboicznego metalu, jednak w stopie pokrywajacym jego powierzchnie bylo go wystarczajaco duzo, aby odczul jego obecosc. Zapominajac o bolu, wyjal przyniesiona skrzynke i chwycil zebami sznurek, jakim bylo obwiazane jej wieko, aby obie rece miec wolne.

W tej samej chwili otrzymal ostrzezenie, ze rzeczywiscie wykryl go jakis alarm. Przez glowe przemknelo mu pasmo chaotycznych mysli. Uczepil sie prawie niewidocznej szpary wlazu i rozpaczliwie wdrapywal sie na gore, podczas gdy natretny impuls szturchal i tracal jego naturalna bariere myslowa.

Przylozyl waskie pudelko do kadluba statku, troche ponizej dzioba. Skrzynka natychmiast mocno skleila sie z jego powierzchnia - bez dlugotrwej pracy z narzedziami, na co najezdzczy nie mieli czasu, nic nie moglo jej oderwac. Kiedy pudelko przywarlo do sciany, Faree palcem uruchomil to, co znajdowalo sie w jego wnetrzu. Odsunal sie i odlecial z lopotem skrzydel, starajac sie jak najszybciej oddalic od przyniesionego przedmiotu.

Byl juz daleko od statku, poza kregiem namiotow, kiedy urzadzenie wykonane przez Vorlunda wybuchlo. Plomien rozjasnil niebo i wzniosl sie na spotkanie promienia latarni.

Snop światła raptownie zgasł i Faree usłyszał ryk. Potem nastąpił drugi wybuch, który osmalilby mu skrzydło, gdyby ze strachu nie skrecił w bok, nie oddalając się już od obozu najkrotsza droga.

Na dole podniósł się zgiełk. Powietrze przeszły dwie laserowe włocznie, co przyprawilo Faree o dreszcze tak gwałtowne, że jego miarowo łopoczące skrzydła omal nie znieruchomiały. Mimo to promienie laserów przecinały powietrze wystarczająco daleko, aby sadzić, że nie został zauważony, że strzelano na oslep, wyłącznie ze strachu.

Zdolał uciec i gwałtownymi machnięciami skrzydeł zmierzał w stronę miejsca, gdzie ukrywał się za dnia. Minal je i pomknął ku zwietrzalym kamiennym słupom strzegącym jedyne go wejścia do podziemnych tuneli. Tam znajdowała się kryształowa sala, miejsce umowionego spotkania. Faree wylądował przy wejściu do groty i poczuł zapach stechlizny, który poinformował go o obecności przynajmniej jednego gliniaka. Nie wszedł do środka, lecz odwrócił się, żeby spojrzeć na statek.

Latarnia zgasła, lecz dziób statku wciąż był mglisto oświetlony, jakby klebiły się wokół niego chmury ognia. Co jakiś czas Faree wyraźnie dostrzegał błysk płomieni, niewatpliwie niszczących powłokę statku tuż poniżej sterówki.

Włoczedzy i kosmiczni wędrowcy pokroju tej kompanii wozili zwykle ze sobą pewne materiały do napraw, jednakże Faree był przekonany, że statek został zbyt poważnie uszkodzony, aby pomógł mu prowizoryczny remont, jaki potrafiła przeprowadzić załoga. Sam Vorlund mimowolnie nauczył się - pomagając naprawiać inne samotnie podróżujące statki - jak wyrzadzić największe szkody za pomocą tego, co można wykonać z dostępnych materiałów.

Z oddali dobiegł go jakiś odgłos, być może zarlocznych płomieni albo krzyków wielu ludzi. Jak gdyby w odpowiedzi, ciemne chmury nad ich głowami odbijające blask ognia, zbily się ciasniej, a potem spadł z nich ulewny deszcz. Towarzyszył mu zrywający ziemię wiatr. Faree schował się do jaskini. Wiedział, że z mokrymi skrzydłami nie może latać, choćby nie wiem jak pragnął dołączyć do skrzydlatych, zastawiających pułapki, albo do Maelen, która ze starym Darda poszła do zapomnianej chatowni we wnętrzu góry.

Z tyłu, z ciemności dobiegło go warczenie, a smród się nasilił.

-Skrzydlaty - słowo to zabrzmiało jak przekleństwo - precz z drogi... może ty boisz się wiatru i wilgoci, ale my nie.

Faree zwinął skrzydła najciasniej jak mógł i cofnął się pod scianę po lewej stronie. Jego oczy, wciąż trochę oslepione, przywykły do mroku dopiero po chwili. Dwukrotnie poczuł szturchnięcie ostrym łokciem, kiedy gliniaki przepychały się obok niego. Nie liczył przechodzących, lecz był pewny, że szło ich wielu. Zastanawiał się, co skłoniło ich do wyjścia na deszcz. Słyszał kiedyś, że niektórzy Dardowie umieją zaklinać pogodę.

Spotkanie to miało jednak jakiś cel, którego nie pojmował - zresztą przedstawiono mu zaledwie mglisty zarys tego, co stanie się tej nocy. Ważne było tylko, aby wykonał swoje zadanie, a to właśnie zrobił.

W ciemności nie dostrzegł, dokąd poszły gliniaki. Stwierdził też, że nie ma szczególnej ochoty się tego dowiadywać. Wzdrygał się przed wejściem do tej cuchnącej jamy, lecz musiał stawić się na wyznaczonym miejscu, więc powoli poszedł ścieżką w dół. Tu i tam jakaś bulwa rzucała nagle światło. Dopóki widział przed sobą te blade kregi, gotów był iść drogą, która wzbudzała w nim głęboki wstret.

Toggor wysunął głowę zza jego koszuli i umieszczonymi na słupkach oczami, obracając nimi powoli, uważnie obserwował otoczenie.

Faree potarł dłonie. Wciąż czuł ból oparzeń od żelaza, chociaż opatrunki z lepkich liści, jakich użyła Selrena, przykrywały grubą warstwę masy ze wszechleku. Pomyślał o Dardach - widział tylko trzech, chyba że ten, ukrywający się pod maską bestii, też do nich należał. Fragon mówił, że zostało ich niewielu.

Ilu przedstawicieli jego rasy - skrzydlatego ludu - żyło jeszcze? Członkowie jego klanu albo przynajmniej tego, do którego go przypisano, najwyraźniej zostali prawie całkiem wybiti przez najeźdźców. Inne rody nie były tak zdziesiątkowane, gdyż Langrone zagłada spotkała wkrótce po tym, jak wrogowie wylądowali. Ponieważ skrzydłacy żyli w dużym rozproszeniu na zajmowanej przez nich rozległej przestrzeni, większość ich pobratymców zdołała uciec, z wyjątkiem kilku zaskoczonych - na spustoszonych ziemiach byłych krewniaków - podczas powrotu na swoje terytoria.

Rozumiał, że Ludek podzielił się, gdy spadło nieszczęście z innego świata. On sam odgrywał ważną rolę z powodu wiezów rodzinnych, na jakie mógł się powołać. Mimo to był wtedy bezbronny, skazany na chodzenie po ziemi, dopóki nie urosną mu skrzydła. Ze strzępków informacji, jakie podsuneli mu Fragon, Selrena i Atra, wywnioskował, że w tym czasie padł ofiarą zazdrości własnego plemienia. Jego ojciec - wódz Langronów - został obalony podczas klanowo-gatunkowego zatargu, jaki wybuchł między jego ludem a gliniakami (za namową Fragona i z powodu, którego Faree nie potrafił odgadnąć). Trafił wtedy do niewoli Museyonów, mieszkańców nocy i tropicieli w mroku. Odpowiadali oni - czasami - przed Zwierzecą Maską, lecz z reguły chodzili własnymi pokretnymi ścieżkami.

Z ich rąk wyzwolił go zdrajca - krewny jego ojca, urazony faktem, że władza nie przypadła jemu. Naiwny przekazał im młodzieńca, ludząc się, że w ten sposób usunie go bez zostawiania śladów, a sam zyska sojuszników.

Ludzie ze statku, który Faree niedawno zaatakował, nie byli pierwszymi przybyszami - przed nimi lądowały inne pojazdy. Pierwszy z nich nie dysponował żadnym z tych sposobów obrony, jakie czyniły z tego statku i jego załogi tak groźnych przeciwników. Tamci przybysze zagarnęli trochę skarbów; wskazano im kryjówkę gliniaków, których Langrone uważali za

nieprzyjaciół. Ten lup drogo ich jednak kosztował, gdyż wielu z nich zginęło. Wtedy przypuszczono atak na jamy gliniaków, a ich mieszkańców wylapano i zabito. Wreszcie po stracie prawie połowy ludzi załoga odleciała z drogo okupionym ładunkiem i stanowczym postanowieniem, że wróci lepiej przygotowana, aby wyrwać ostatni skrawek cennego metalu albo klejnot jego posiadaczom.

To, jak on sam trafił na Obrzeza z Lantim, którego alkohol i zucie gazu zmieniło w złośnię pijaczyny niezdolnego do dalszej pracy na statku, było częścią wspomnień, wciąż wymykająca mu się. Teraz nie miało to znaczenia. Była to historia tak odległa, jak Yiktor od planety, w głąb której schodził. Później wylądował tu jeszcze jeden obcy statek i został przez jakiś czas. W zastawione sidła wpadło kilka ofiar - nawet jeden Darda. Nikt nie wiedział, co zrobiono z jencami, ponieważ sondy psychiczne nie docierały w głąb statku. Samo użycie tego talentu mogło spowodować, i spowodowało, pojmanie kolejnych więźniów - najeźdźcy najwyraźniej potrafili namierzyć każde źródło impulsów myślowych.

W ten sposób, nie mogąc użyć jednej ze swych najważniejszych broni - zdolności nawiązywania psychicznego kontaktu, a nawet narzucania innym swojej woli - Lud zdał sobie sprawę, że znowu dogonił ich odwieczny nieprzyjaciel i nie mają dużych szans na zwycięstwo nad przybyszami. Żyli na Elothian od wieków i zapomnieli już o prastarej groźbie. Nie dysponowali już niezbędną wiedzą ani materiałami, aby przygotować się do kolejnej ucieczki. Musieli zostać i stoczyć tą skazaną na niepowodzenie walkę. Początkowo powstał między nimi rozłam, gdyż gliniaki uznały, że nic im nie grozi - potrafiły kopać tunele i ukrywać się tam, a najeźdźcy nie byli w stanie za nimi podążać, chyba że chcieliby pęzać albo człapać się na brzuchu w ciemności, bezbronni wobec ataku z zasadki. Łatwiejszy cel stanowili skrzydlaci i zamki Dardów. Dopiero kiedy jedno z miast w jaskiniach zostało zdobyte, a jego mieszkańcy padli ofiarą klebów dymu z metalowych kul, gliniaki przystąpiły do walki z najeźdźcą.

Ten statek również po pewnym czasie odleciał. Jednak tym razem Dardowie, skrzydlaci i inni zachowali czujność. Ich historia była zbyt prosta - wraz z przybyciem najeźdźców nadszedł dzień ich klęski i mogli już tylko na nią czekać.

Teraz dołączyli jeszcze inni gracze. Faree pomyślał o Maelen, Vorlundzie i Zakatianinie dysponującym wiedzą zgromadzoną w przeciągu wieków. A on sam? Był Langrone, ale także kims więcej. Uchodząc cało z okropnych Obrzezy, udowodnił, że ma w sobie wiele siły, a podróże z Maelen i Vorlundem nauczyły go rzeczy, o jakich jego rasa mogła nigdy wcześniej nie wiedzieć. Tak, może nie był Darda, ale nie był też zwykłym skrzydlatym.

Przed nim błysnęło jaskrawe światło. Wszedł szybko do kryształowej komnaty, chcąc się jak najszybciej dowiedzieć, co zrobili pozostali.

ROZDZIAŁ 18

Fragon siedział na tronie z ciemnego kryształu. Przypuszczalnie nie ruszył się z miejsca,

odkad Faree widzial go ostatnio. Wokol zajeli miejsca pozostali, niektorzy miedzy druzami jasnieszych krysztalow. Na takim wlasnie siedzisku dostrzegl Selrene. Kobieta miala wzniesiona wysoko glowe i zamkniete oczy. Obok niej, trzymajac jej smukla dlon w swoich, siedziala Maelen. Choc miala otwarte oczy, jej nieobecny wyraz twarzy swiadczył o tym, ze myslami byla gdzie indziej. U ich stop siedziala Atra. Znajdowala sie w dosc duzej odleglosci od reszty przedstawicieli swej rasy; ci stali zbici w barwna gromade na uboczu. Ich skrzydla byly zwiniete, uwaga skupiona na tych trzech, od ktorych trzymali sie z daleka.

Po drugiej stronie tronu Fragona stal Zwierzeca Maska. Po raz pierwszy Faree zobaczyl, ze zsunieta maska lezy jak wiotki kaptur na jego ramionach. Twarz - podobna do oblicza Dardy - miala ciemna cere, szarawa, jak Fragon. Nie przypominala trupiej czaszki. Ciemna, obrzekla skora policzkow zaslaniata malenkie oczka. Nabrzmiata jak bania glowa byla lysa. Mezczyzna czy kobieta? Nie mogl rozpoznac. Natychmiast poczul odraze, co wiecej - strach. Na swoj sposob owa istota byla rownie potezna jak Fragon.

Drugiego Dardy, Vestruma, i jego flecisty, nie dostrzegl. Jednakze w chwili, gdy stanal w swietle krysztalow, z przeciwnej strony nadszedl Zoror. Polozyl na ziemi przewod energetyczny, ktory ciagnal po zboczu. Zauwazyl wtedy Faree i machnal do niego reka. Nie dojrzal Vorlunda; przypuszczalnie nie wrocil jeszcze ze statku.

Atra otworzyla oczy i wbila w Faree twarde, rozkazujace spojrzenie, jakby czekala na niego. Mlodzieniec stanal. Dziewczyna odsunela sie od Maelen i Selreny i podeszla do niego. Porwane i brudne ubranie zmienila na krotka, kremowobiala suknie sciagnieta w talii paskiem ze srebrnej siatki i nieduzymi, zielononiebieskimi kamykami. Opaska z takiego samego materialu przytrzymywala wlosy na jej smuklym karku.

Faree zauwazyl, ze lukiem ominela innych skrzydlatych, ktorych skrzydla pulsowaly rozem, blekitem lub zolcia. Nie mogl tez nie odebrac impulsu myslowego - on nie mogl sobie znalezc miejsca w tym towarzystwie, ja tez najwyrazniej odtracono. Nie mial watpliwosci, ze wyzwolila sie z psychicznej niewoli wrogow, gdyz inaczej nie bylaby tu obecna. Mimo to wciaz ciazy nad nia cien krzywdy, jaka wyrzadzono jej, a przez nia innym.

Zaplonal gniewem. Odsunal sie od Zakatianina i - w gescie sympatii, ktorej nie uswiadamiat sobie az do tej chwili - wyciagnal do niej obie rece. Jej delikatne dlonie, wciaz ciemne od sincow i poorane bruzdami zadrapan, spoczywaly przez chwile na jego dloniach, a w jego umysle zabrzmialy spiewne slowa.

-Badz pozdrowiony. Dokonales rzeczy wiekszych niz Siedem Czynow Malfora! Sadzilismy, ze dni Trojnazwanych juz minely. - Po raz pierwszy odwrocila wzrok i spojrzala na tych, ktorzy znajdowali sie najblizej. - Klan Langrone moze sie poszczycic Tallenem i Asdirem, Tullusa i Rondem. Wstapiles w szeregi szlachetnej i pieknej kompanii, krewniaku!

Dzwiek tych imion zbudzil w nim bardzo blade i niewyrazne wspomnienia. Pokrecil glowa.

-To dla mnie wielki zaszczyt, krewniaczko. Nie swojej jednak mocy uzylem. - Opuscil rece i dotknal paska, aby pokazac przedmioty, ktore zrobili dla niego kowale i Vorlund. - Langrone... - zawahal sie. Co ona sobie pomysli, kiedy powie, ze dla niego to slowo nie oznaczalo rodziny, ze to tylko imie?

-Tak, imie - uslyszal w myslach. - I byc moze wylacznie imie, gdyz klanu juz nie ma. Widzisz? - Wskazala glowa na szeregi skrzydlatych. Potem uniosla reke i pogladzila krawedz jednego ze swych skrzydel, a wtedy zrozumial, co miala na mysli. Tego koloru nie znajdowal wsrod innych zgromadzonych, jedynie na jego wlasnych skrzydlach.

-Lanquar i Lis, Lystal i Loyn. - Gdy poslala mu w myslach te imiona, wydaly mu sie tak znajome, jakby od dawna tkwily w jego umysle. - Wiecej Langrone jednak juz nie odpowie, chyba ze ci rozproszeni na Dalekim Pograniczu. A sposrod tych, ilu ich bylo? - Uniosla reke i wyprostowala smukle palce raz, a potem raz jeszcze.

W myslach Faree zobaczyl to, co przekazala mu sila woli - surowy krajobraz, wysoka gore, nagie skaly i promieniujacy od nich mrok, ktory ciazyl na sercu jak olow. Jesli jego krewniacy zostali tam przepedzeni lub uciekli w rozpacz...

-Oni nie odpowiedzieli na wezwanie...

Nagle, ku jego zaskoczeniu, do jego umyslu bezceremonialnie wdarl sie drugi glos. Przemowil idacy w ich strone skrzydlaty mezczyzna o czerwono-bialych skrzydlach. Faree nie wyczuwal w jego slowach sympatii, jedynie odstreczajacy chlod.

-Skoro nie przybyli na Wielkie Zebranie, to albo nie zyja, albo ich mysli sa odlegle i slabe. Nie masz bliskich krewnych, Glasrancie.

-Chcialbys tego! - poslala mu mysl Atra. - Kto zamknal podniebna droge przed brzemienna Amassa? Kto wyslal w tej godzinie Spiewakow Zguby?

-Zrobiono to, co trzeba bylo zrobic. Czasami jeden ginie za wielu...

-Juz to kiedys slyszalem - oburzył sie Faree. - Czyz to nie wlasnie te mysl wasza siostra... - Dotknal ramienia Atry i zadrzal, gdyz dotyk ten zjednoczyl go ze zrodlem ciepla, ktorego istnienia nawet nie podejrzewal: nie parzylo jak ogien, lecz raczej piescilo, uzdrawialo... - Czyz nie to wlasnie przychodzilo wam do glowy - znow zaczel - kiedy wasza siostra przebywala w Ich rekach?

-Byla przyneta... - odparl tamten. - Lepiej byloby, gdyby wziala ten ognisty metal i owinela nim...

Faree poruszyl sie. Stanal pomiedzy Atra i wodzem Lystalow; kolejny strzep wspomnien powiedzial mu, jaki zrobic uzytek z tego imienia.

-Czy mówisz teraz za wszystkich, Qua? - spytał, mrużąc oczy. Chociaż wciąż nie czuł się jednym z tych tak z wyglądu do niego podobnych, złościło go, że najwyraźniej nie mieli ochoty przyjąć go do swojego grona. Odtrącenie sprawiło go w jeszcze większy gniew. Rzeczywiście jego umysł był ślepy, więc nie pamiętał, kiedy ostatnio przebywał w kregu rodziny, ogrzewany i wspierany. Porzucił jednak myśl o tym, co stracił. Nie czułby się też dobrze w żadnym innym klanie. Nagle zrozumiał, że w tym właśnie rzecz. Oto Lanquarowie i Lisowie, Lystalowie i Lyonowie... Widział ich. Jednak oprócz Qua, żaden nie zbliżył się do niego, żaden nie posłał mu przyjaznego przekazu myślowego. Tylko Atra...

Jego dłoń zsunęła się po jej rece do nadgarstka. Zaciśnął palce na przegubie dziewczyny, jakby jej zatrzymanie było sprawą najwyższej wagi. Na statku polegał na urządzeniu Vorlunda, tutaj ona była jego jedyną opoką i to, czego szukał, mógł znaleźć tylko z nią i przy niej.

-Przemawiam... - Qua zawahał się i na jego przystojnej twarzy odmalował się cień posepnego grymasu; zwinięte skrzydła drgnęły lekko, jakby chciał je rozłożyć i w ten sposób zaprezentować swoją posturę. - Tak, przemawiam w imieniu wszystkich. Oboje przebywaliście w cieniu, w mocy Ich samych. Oni was oslepili i śpeli - coż więc w tym dziwnego, że odtąd nigdy nie będziemy pewni, czy można wam ufać?

-Dobrze mówisz, Qua. - Atra uśmiechnęła się chłodno. - Czy rzeczywiście przemawiasz słowami Slithy z Lisów, Userna z Lystalów i Cambara z Loynów?

Teraz przyglądało im się całe zgromadzenie skrzydlatych. Faree wiedział, że pozostali śledzili ich rozmowę dzięki kontaktowi myślowemu. Kiedy Atra wymieniła te imiona, zapanowało wśród nich poruszenie. Znowu strzępy wspomnień podsunęły mu to, czego potrzebował. Nie czekał, aż Qua odpowie, lecz sam przejął inicjatywę.

-Jeśli mówisz jednym głosem za wszystkich, Qua - rzekł - nie musisz się niczego obawiać. Nie po raz pierwszy Langronowie zostali samotni. Valfor nosił zielone skrzydła - i z ich powodu zginął jak bohater. My jednak nie mamy zamiaru ginać. Langronowie będą żyli pod prastarą władzą tak długo, dopóki oboje latamy... - Przyciągnął Atrę nieco bliżej. - Skoro pragniesz naszych Dwoch Równin i ziemi nad rzeką, weź je sobie, Qua. Nie będziemy toczyć o nie sporów. Ale też nie dajmy o sobie zapomnieć, kiedy na Koniec Roku zostanie ogłoszone Wielkie Wezwanie. Pamiętaj o tym, Qua! - Faree patrzył teraz ponad ramieniem Lanquara na pozostałych. - I wy, Slitho - posłał spojrzenie smukłej skrzydlatej kobiecie o dumnej postawie królowej i skrzydłach ze złota - i Usernie - błękitne skrzydła zadrżały, kiedy jego myśl trafiła do celu - i Cambarze. - Skrzydła tego przywódcy były szare, przechodzące w biel, cera znacznie ciemniejsza, a ciało bardziej krepie niż u pozostałych.

-Zapamiętajcie! - Słowo, jakim Atra wzmocniła efekt jego przemowy, było więcej niż ostrzeżeniem, było rozkazem.

Qua wlepił wzrok w dziewczynę, a potem uśmiechnął się tak chłodno, jak wcześniej ona.

-Teraz mamy wspólnego wroga; lecimy tylko w tym kierunku. - On również mógł tylko przypominać, lecz Faree był pewny, że z jego słów należało także wyczytać ostrzeżenie.

-Jak już uczynił to Glasrant! - posłała myślowy impuls Atra. Cokolwiek rzecznik skrzydlatych chciał jeszcze powiedzieć, nigdy nie padło to z jego ust, gdyż w tej chwili Maelen otworzyła oczy, a ciasno napięta skóra Fragona zadrżała i rozstąpiła się, ukazując oczodole.

-Stało się! - rozległ się zarówno głos, jak i impuls myślowy Maelen. - Ich latarnia zgasła, a co więcej, wiele mechanizmów obronnych i pułapek, jakie zastawili, przestało działać. A ci dwaj, mający wszczać kłotnie w gronie swych towarzyszy, są w mocy snu!

Selrena przemówiła do istoty bez maski:

-Rozeslij teraz swe sługi, Sorwinie!

Istota w szacie uniosła obie ręce do ust i złożyła je na kształt rogu. Nabrzmięte policzki wydała jeszcze bardziej i rozległ się sygnał, a jego echo rozeszło się w głowie Faree. Była w nim dzikość, jakiś żądza i głód zwiastujące zagładę. Gliniaki warknęły i wybiegły w pośpiechu z tupotem ogromnych bosych stóp. Za nimi pospieszyły stworzenia o kolyszających się i falujących ciałach zdających się zmieniać kształty w ruchu - a wszystkie formy, jakie przybierały, wszystkie bezustannie zmieniające się postaci, wywodziły się z najmroczniejszych koszmarów nocy. Jak na ironię ci, którzy od urodzenia byli zacieklejmi nieprzyjaciółmi, teraz maszerowali przeciwko wspólnemu wrogowi.

Zniknęli i Faree odniósł wrażenie, że po ich wyjściu w kryształowej jaskini zrobiło się jasniej. Zastanawiał się, jakie szkody mogli wyrządzić najeźdźcom, gdyż sprawiali wrażenie nie bardziej materialnych od obłoku mgły pojawiającego się na rozkaz Dardów.

Zakatianin poruszył się po raz pierwszy, odwracając ostry pysk, aby odprowadzić ich wzrokiem. Młodzieniec wiedział, że Zoror notuje w pamięci wszystko, co się tu działo. Jakie imiona nadalby tym, którzy właśnie wyszli? Ilu z nich jeszcze wymieniono dawno temu w tak dobrze znanych mu kronikach?

Niemniej jednak skoro jeden hufiec wyszedł, wszedł inny. Faree usłyszał znajome, dzwiczne tony fletu. Po tej zapowiedzi wkroczył Vestrum. Ubrany był inaczej niż poprzednio. Miał na sobie srebrny strój z koleczek tak drobnych i miękich, że poruszały się nawet przy oddechu. Nosił kryształowy pret zakończony rekojescią podobną do gardy miecza, którego Fragon nigdy nie wypuszczał z ręki. Flecista skakał w przód i w tył jak podniecony ogar, czekający, aby naszyć na jakas zwierzyne, a idące krok za nim dwie kobiety również nosiły kolczugi; na wyciągniętym nadgarstku trzymały latające jaszczurki, mniejsze od tych, jakie towarzyszyły Faree podczas pierwszej wędrowki po tej krainie, lecz najwyraźniej należące do tej samej rasy.

Nie był to koniec orszaku, gdyż tuż za Dardami szedł Vorlund, a obok niego dwaj olbrzymi człapiacy ze spuszczonej głowami, aby uniknąć bolesnego zderzenia ze sterczącymi z

sufitu kryształami.

Vestrum zabrał głos, jednak najwyraźniej nie zwracał się do nikogo konkretnego, lecz do wszystkich zgromadzonych, od Fragona do najmniejszego ze skrzydlatych.

-Ten oto człowiek - wskazał na Vorlunda w taki sposób, jakby rzeczywiście czuł do niego jedynie lekka wrogość - postąpił tak, jak obiecał, wysłał swego posłanca.

-A ty, Vestrumie, czego dokonałeś? - Selrena pierwsza przerwała ciszę, jaka zapadła po tej wiadomości.

-Dopilnowałem, aby nie było zdrady w tym, co zrobiono! - odparł chłodno Darda. Teraz po raz pierwszy spojrzał na Faree i błyskawicznym ruchem wymierzył pret w jego głowę. Po klindze przebiegł punktik tęczowego światła. Pamięć Faree znowu odżyła. Młodzieniec zrobił dwa kroki naprzód, unosił obandażowaną dłoń i chwycił koniec preta. Kryształ był chłodny, wydawał się promieniować przenikliwym zimnem, lecz Faree nie wypuścił go przez dziesięć powolnych oddechów. Potem opuścił rękę i jego spokojne, przenikliwe spojrzenie napotkało wzrok Vestruma.

Czyżby w oczach bacznie przyglądającego mu się Dardy odmalował się lekki cień rozczarowania? Faree nie był tego pewny.

-No i co, Vestrumie. - Tym razem Atra przerwała milczenie, kiedy podskakujący flecista usiadł u stóp swego pana i zaczął wygrywać na swoim instrumencie dzweczne trele. - Wierzysz w to? Czy też za chwilę oznajmisz, że Glasrant potrafi ukryć przed tobą swoje myśli?

-Dość tego! - Po raz pierwszy Faree zobaczył, że Fragon wstaje. Wyprostowany Darda był równie wysoki, co chudy; mógł się mierzyć z gigantami, którzy przybyli z Vorlundem. - Cokolwiek mogło tkwić w tych dwojgu, już znikło. Tej nocy Glasrant dokonał czynu godnego Valfora - tyle że, choć nasi Starsi swego czasu byli potężni, nie mieli wiedzy o Nich. Otrzymaliśmy coś, co utraciliśmy z chwilą przybycia do tego świata. Zylismy i wznosiliśmy budowle, teraz wymieramy, mieszkamy pod ziemią albo kontaktujemy się z jedną rasą, nawet jednym rodem, tylko swoimi bliskimi. Wiele utraciliśmy i teraz jesteśmy zbyt starzy i zbyt nieliczni, żeby sami się obronić przed Nimi. Ile jeszcze razy muszą przybywać ich gwiazdne statki, niosąc śmierć? Ich jest sto razy więcej niż ziaren piasku pod naszymi stopami. Zawsze będzie przybywać następni, a nas będzie zostawać coraz mniej po ich odejściu. Jeśli w ogóle odejda, gdyż tym razem ich sygnał miał sciągnąć innych. Spójrz na rezultaty swych badań starożytnej wiedzy, Vestrumie. Co odkryłeś? Drobne, ulotne rzeczy... Czy potrafisz stworzyć coś, co jest nie większe od twojej dłoni, lecz może wstrząsnąć gwiazdnym statkiem?

Nuty fletu wzbijały się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie zabrzmiały jak wołanie o pomoc. Darda w kolczudze stał z posepną miną, głaszcząc obiema dłońmi pret z rekojescią.

-A ty, Sorwinie. - Fragon pochylił głowę, szukając szeroko otwartymi oczami istoty bez maski. - Tobie w to graj... tak, od dawna tak właśnie myślałeś. Twoje gliniaki i upiory - one nie muszą się ich obawiać. Ty i twoi podwładni sadzicie, że możecie zaszyć się w takiej kryjówce, z jakiej żaden pozaziemski umysł ani ciało nie zdola was wydobyć! Teraz już wiemy, że myliłeś się bardziej, niż ci się wydaje. I powiadam ci, Oni zawsze szukali wiedzy, coraz częściej tam, gdzie my nie możemy lub nie chcemy chodzić. Potrafimy wezwać burzę, obrocić przeciwko nim samą ziemię. Nie potrafimy tylko wytrwać - jesteśmy zbyt nieliczni i zbyt zmęczeni. Jakie inne jeszcze tajemnice odkryli? Nie sadzicie, że będziecie bezpieczni w kryjówce.

Sorwin nie odpowiedział, lecz Fragon najwyraźniej jeszcze nie skończył. Wykonał gest jedną dłonią, palcami drugiej wciąż sciskając mocno rekojesc miecza tkwiącego w czaszce. Było to wezwanie i nikt nie zamierzał go lekceważyć.

Zakatianin, a także Maelen i Vorlund ze swymi olbrzymimi pomocnikami zbliżyli się do niego. Faree z ociąganiem wypuścił dłoń Atry, aby stanąć przy nich. Fragon znowu się ruszył, zszedł ze swego ciemnego tronu. Stał i czekał, aż podejda do niego.

Nie podeszli zbyt blisko, gdyż Mroczny Darda wymachiwał mieczem w obie strony, wygładzając czaszkę piasek. Kiedy uznał, że powierzchnia jest wystarczająco równa, sięgnął za pazuchę i cisnął na przygotowane miejsce kulę z metnego kryształu, taka sama, jaka Faree wziął do ręki w komnacie Vestruma. Ta jednak nie rozbiła się przy upadku. Zamiast tego trysnęło z niej światło. Wtedy wszystkim wydało się, że wzbili się w niebo i patrzą z góry na bezustannie, niemal gorączkowo zmieniającą się scenę. Gwiezdny statek nie stał już prosto, lecz przechylił się, a jego dziób był dziwnie wykrzywiony. Grad i wichry smagały pojazd i ziemię wokół niego. Strzepy namiotów łopotąły na wietrze. Ludzi nie było widać.

Wtedy z huraganu wylonilo się stado skrzydlatych weży podobnych do tych, jakie Faree widział wcześniej. Te jednak były cztery, sześć razy większe i wirowały jak szalone wokół przechylonego statku, raz za razem przelatując i nurkując tuż nad pobożowiskiem.

Potem noc i burza znikły, a wraz z nimi uszkodzony statek i resztki namiotów. Patrzyli teraz na wezbrany od deszczu strumień; był jasny dzień. Na brzegu strugi zebrała się garstka mężczyzn. Kilku na klęczkach grzebało w ziemi gołymi rękami. Jeden wyszarpnął z ciemnej gliny kawałek błyszczącego metalu. Stojący najbliżej niego, wyrwał mu go z ręki. Mieli otwarte usta i przypuszczalnie krzyczeli na siebie. Po chwili najwyraźniej wszystkich ogarnął szal, a potem błysk lasera zakończył scenę.

-Juz nie sprawia nam kłopotow... - nadeszła myśl Vestruma, w której pobrzmiwała satysfakcja i triumf.

-Beda inni. - Selrena zerwała te nic satysfakcji. - Zawsze beda inni! Jest tak, jak powiedział Fragon; ich jest tylu, co ziaren piasku. Żyją krótko, lecz mnożą się bez opamiętania, a my

mamy mało dzieci. Od dawna uciekamy przed nimi - teraz za sobą mamy wysokie góry i nie znamy gwiazdnych dróg. Już jesteśmy martwi, chociaż się jeszcze szarpiemy...

-To nie całkiem prawda.

Wszyscy odwrócili się, żeby spojrzeć na Vorlunda.

-Wy posłużyliście się swoimi siłami. - Wskazał kule leżącą na piasku, nie wysyłając już obrazów. - My naszymi. Pracowaliśmy nie tylko w ciągu tych dni i nocy, jakie minęły, lecz zrobiliśmy też coś dla przyszłości. Od dawna trzymaliście się na uboczu - nie sądzicie jednak, że jesteście osamotnieni. Macie swoje obrzędy i zwyczaje, własne prawa i kary za ich złamanie. Prawa i kary istnieją także na innych planetach. Sądzicie, że przyniosłem ze swojego statku coś, co wam pomoże. Tak, to prawda. Możemy wam jednak dać coś więcej...

-Spójrzcie na nas! - rzekła władczyni Maelen. Wyciągnęła rękę, którą chwycił Zakatianin. On z kolei podał rękę Vorlundowi, a kosmiczny wedrowiec ścisnął dłoń Faree. - Różnicie się wyglądem, a mimo to podejmujecie wspólnie decyzje; z nami wśród gwiazd jest tak samo. Istnieją zły ludzie będący waszymi wrogami, lecz wcale nie są tak liczni jak ziarenka piasku. Wiemy też, jak można ich zniszczyć, jak wzniesć ochronną barierę, przez którą nie przedrze się żaden ich statek.

Mysłowy przekaz Zakatianina był cięższy, lecz równie wyraźny.

-Prawda jest również, że na innych planetach są lądy i morza, a ich mieszkańcy mogliby łatwo paść ofiarą złych ludzi. Nie muszą się jednak niczego obawiać...

-Dlaczego? - Vestrum podszedł bliżej, żeby zadać pytanie. Bliżej od niego atmosfera wrogości, a mina miała bunczuczną.

-Ponieważ w przestrzeni wokół tych światów znajdują się obrońcy. Nie są to żywe, oddychające istoty naszego rodzaju, lecz bardzo małe statki poruszające się według określonego wzoru. Jeśli nadleci jakiś gwiazdny pojazd, szybko go dogonia i wysła ostrzeżenie. Jeśli go nie posłucha, jeszcze w locie zacznie przypominać statek najeźdźców, który przed chwilą widzieliście. Tylko znający właściwe słowa i potrafiący wymówić je w myślach mogą przejść bezpiecznie. Co cztery lata jeden ze znających sygnał przyleci tutaj i wylądować w wybranym przez was miejscu. Tam będziecie mogli spotkać się z ludźmi ze statku. W ten sposób w ciągu następnych lat poznamy się nawzajem, a kiedy nadejdzie pora, będziemy umieli żyć w pokoju.

-Ty, Który Myślisz i Pamiętasz - odparł Fragon. - Wiemy, że to, co mówisz, jest prawda - twoim zdaniem. Mimo to prawda ma wiele twarzy, kiedy mieszka wśród różnych ludów. Czasami jest zmienna, tak jak życie, i to, co teraz jest dobre, może być złe kiedy indziej. Nie mamy jednak wyboru. Jeśli nie chcemy paść ofiarą każdego obcego statku, jaki tu wylądować, musimy się zgodzić na to, co proponujecie. Jak jednak zamierzacie tego

dokonac? Wy macie statek i mozecie uciec do innych gwiazd. My jestesmy przykuci do ziemi i zanim doczekamy sie tego, co obiecujecie, mozemy przyciagnac nastepnych grabiezcow.

-Nieprawda. - Vorlund pokrecil glowa dla podkreslenia swych slow. - Wsrod waszych gor umieszczono urzadzenie obronne, podobne do tego, jakim zaloga statku usilowala sciagnac swych zlodziejskich kompanow. Teraz jednak wysyla inna wiazke. Wszyscy obawiaja sie smierci, ktorej nie mozna zwyciezyc ani wyleczyc zadnym wszechlekiem. Sa takie swiaty - wasz lud byl kiedys gwiazdnymi wedrowcami, moze wiec pamietacie - gdzie smierc czyha na kazdego, kto odwazy sie tam wyladowac. Na takich planetach stroze prawa ustawili latarnie ostrzegajace kazdy statek zblizajacy sie do orbity ladowania. Wystarczy, ze zadbacie o ten sygnal ostrzegawczy, a nie bedziecie musieli sie obawiac, ze ktos odkryje wasz swiat przez przypadek. To wam wystarczy, dopoki nie wrocimy ze skuteczniejszym srodkiem obrony, o ktorym wspominalem...

Przerwala mu szorstko brzmiaca mysl Sorwina.

-Mamy wiec czekac, az przybeda obcy i ustanowia swoje rzady. Znow nas zniewola...

-Nie - zaprzeczyl Zoror. - Mam nadzieje, ze tu wroce, gdyz tyle jeszcze chcialbym sie nauczyc. Czyz zakuwam was w palace zelazo? Inni tez moga byc podobni do mnie - do nich... - Kiwnal glowa w kierunku Maelen i Vorlunda. - Spytajcie swojego brata. - Teraz wskazal Faree. - Czy mozna nam ufac, czy jestesmy wladcami wydajacymi rozkazy?

-Oni na swoj sposob sa naszymi krewnymi - odparl Faree. - Wyprowadzili mnie z Glebokiego Mroku i nazywaja przyjacielem. Tak jak dla mnie przyjacielem jest on. - Wyciagnal zza koszuli smaksa. - Nie ksztalt jest wazny, lecz to, co znajduje sie we wnetrzu. Poza tym - uporządkowal swe myśli - przysiegam na swoje ciało po Wielkiej Pamięci - mozecie zrobic ze mna, co zechcecie, jesli sadzicie, ze wypaczylem prawde.

Vorlund polozyl dlon na ramieniu mlodzienia.

-On wiele dla nas znaczy, z kazdym mijajacym dniem coraz wiecej. Przekazemy mu cala wiedze, jakiej potrzebujecie, aby zachowac wolnosc. On jest naszym bratem i przyjacielem. Zawsze nim bedzie.

Sorwin burknal cos, lecz Fragon powoli kiwal glowa.

-Nie wyczuwam falszu w tym, co powiedziales. Ty w to wierzysz. Jesli trudno nam sie z tym pogodzic, to dlatego, ze czesto bylo inaczej. Glasrant podrozowal wsrod gwiazd jako jeden z was. Rzeczywiscie mozemy sie od niego uczyć. Dlatego zgadzamy sie, abyscie powierzyli mu taka wiedze, jaka chcecie sie podzielic. Dla was jednak nie mamy niczego - z wyjatkiem wdziecznosc za to, co juz zrobiliscie. Niech czas udowodni, czy mieliscie racje.

Faree stal tam, gdzie skrzydla zaniosly go o swiecie. Patrzyl z gory na nieckie doliny. Oni

znajdowali się już na pokładzie statku. Wszyscy, z wyjątkiem dwóch... Na moment zerknął na to, co trzymał w ręku, poczuł znajomy ucisk odnoży na ramieniu i nadgarstku.

-Zimno... - Również ta skarga zabrzmiała znajomo. Toggor nie lubił wiatru, jaki dał na szczycie gór.

-Lady Maelen? - Szybko wysłana myśl i odpowiedź.

-Lord Krip? - Drugie pozdrowienie i pożegnanie.

-Lord Zoror...?

-Tylko do następnego spotkania - odpowiedziała mu szybko myśl Zorora.

Faree obserwował płomienie dysz i wznoszący się coraz wyżej statek zmierzający znowu ku gwiazdom.

-Naprawdę chcesz tu zostać?

Wylądowała na porośniętym trawą szczycie urwiska wystarczająco daleko, aby jej nie zauważył, dopóki ich myśli nie spleły się.

-Sam nie wiem... Tutaj jestem samotny.

-Tutaj należysz do rodziny. - Jej przekaz był wyraźny i dziwnie miękki. Zwinęła skrzydła i szła w jego stronę. W dłoniach trzymała bukiet kwiatów wszechleku, których zapach był również jej zapachem.

-Rodzina, rodzina - nuciła teraz na głos i każde jej słowo było jak wonny uzdrowicielski oddech tej rośliny.

Faree zadarł głowę i spojrzał w niebo zabarwione switem. Widział tylko bardzo nikły ślad. Potem i on zniknął.

-Rodzina! - Atra była przy nim i zapach kwiatów przyniósł ze sobą ukojenie wszystkich smutków.

Nie szukał już na niebie przeszłości, lecz spojrzał w twarz przyszłości i uśmiechnął się radośnie.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

